

Jan Kąkol

Skradziony
relikwiarz

WYDAWNICTWO
 **ASTRUM**
www.wydawnictwo-astrum.pl

WROCLAW

© Copyright by Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.
Wrocław 2008
Wszelkie prawa zastrzeżone

Opracowanie redakcyjne
ALEKSANDRA OTREBSKA

Redakcja techniczna
ELŻBIETA BURSZTYNOWICZ

Projekt okładki
ANNA JANKOWSKA

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy

Nasz adres Wydawnictwo
ASTRUM Sp. z o.o.
50-950 Wrocław 2, skr... poczt. 292
e-mail: handlowy@astrum.wroc.pl
tel. (71) 328-19-92, fax (71) 372-18-34

Zamówienia na książki można składać na kartach pocztowych lub przez Internetową
Księgarnię Wysyłkową
<http://www.wydawnictwo-astrum.pl>

Napisz do nas lub zadzwoń!

ISBN 978-83-7277-436-1
Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Mizerny blask płonącej zapalki nieco rozproszył nocny mrok. Ogień na chwilę przygasł, by po chwili rozbłysnąć na knocie świecy. Z półmroku wylaniał się pokój, w tym świetle przypominający graciarnię, ale jednak zamieszkały, o czym świadczył wędrujący płomień i przenikliwe skrzywienie łóżka. Może to wszechogarniająca cisza sprawiła, że owe odgłosy wydawały się przeraźliwie głośnie, zdolne nawet obudzić śpiącego w łóżku starca. Po chwili skrzywienie stało się intensywniejsze, dało się słyszeć męczący płuca kaszel. Na ścianie pojawił się cień. Szuranie nogami wskazywało, że rozbudzony osobnik wstał.

Między pokasywaniem a świszczącym oddechem, dało się słyszeć gderliwe narzekanie na bolące kolana i plecy, obwinianie wieku o te przypadłości i nadzieję na ulgę po zażyciu tabletki przeciwbólowej. Plusk wody nalewanej do kubka i głośnie połykanie koło komody wskazywało, że starzec wziął pigułkę. Szedł do łóżka, ale o spaniu chyba nie mogło być mowy – gderając udał się do innego pokoju i zapalił lampę. Okazało się, że próg stanowił granicę dwóch światów. Potok elektrycznego światła zalał pomieszczenie, zupełnie inne od poprzedniego. Załśniły nowoczesne meble i wszelkie udogodnienia cywilizacji.

Pokój był rzeczywiście imponujący. Dwie ściany od podłogi do sufitu zajmowały regały z książkami, sąsiadował z nimi niski stolik i wygodny fotel, zaś na wolnej od książek ścianie obok okna stało duże biurko, a naprzeciwko znajdowały się imponujące szafy, w jedną z nich wkomponowany był dość duży barek.

Nagły błysk przestraszył skrywającego się pod ścianą domu mężczyznę. Zanim zaskoczony tym faktem człowiek odsunął się od świetlistej strugi, można było dostrzec blask na długiej lufie broni, którą trzymał w dłoni. Widząc, że światło nie gaśnie, mężczyzna zaklął pod nosem i ostrożnie się oddalił, nie zadawszy sobie najmniejszego trudu, aby zajrzeć przez szparę i dowiedzieć się, co robi ten starszy człowiek o tak niestosownej porze w rzadko przez niego używanej części domu.

Tymczasem nieświadomy niczego starzec stanął przy dużym biurku, przysunął sobie aparat telefoniczny i wystukał jakiś numer. Chwilę słuchał sygnału oznaczającego, że numer jest zajęty, po czym odłożył słuchawkę i wszedł do sąsiadującej z pokojem łazienki.

Kiedy wyszedł był zupełnie odmieniony. Miejsce nocnej koszuli zajęła bonzurka, a na głowie zamiast smętnie zwisającej staromodnej szlafmicy widać było starannie uczesane rzadkie, siwe włosy. Ponadto, lek zaczynał już chyba działać, ponieważ ustały zarówno jęki, jak i świszczący oddech.

Starzec ponownie podjął próbę połączenia. Tym razem numer był wolny, jednak chwilę czekał. Wszystko wskazywało, że koniecznie chciał się z kimś skontaktować, albo z innym „nocnym Markiem”, albo z rozmówcą innej strefy czasowej. Wreszcie uzyskał połączenie i odbył krótką rozmowę. Wypowiedział jedynie kilka słów i odłożył słuchawkę. Teraz, jakby już zupełnie nie potrzebując snu, podszedł do zawałonego książkami regału, ale podniósł tylko leżące na niskim stoliku dzieło i zagłębił się w lekturze.

Pozycja okazała się oprawioną w czerwoną skórę księgą średniego formatu. Złocene litery pozwalały odczytać tytuł, „Power of relic” i nazwisko autora Eideard. Sprawiała wrażenie ładnie oprawionej pracy literackiej samego twórcy – czytelnika. Druk i ilustracje wyszły chyba z wysokiej klasy, komputerowej drukarki, a nie z profesjonalnej maszyny poligraficznej. Było to dzieło istniejące zapewne w jednym egzemplarzu.

Książka nosiła ślady częstego przeglądania, więc jako autor i czytelnik, nie mógł chyba znaleźć w niej nic nowego. A jednak pilność z jaką czytał, wodząc palcem po szczególnie interesujących go linijkach, była zastanawiająca. Co więcej, chwilami przymykał oczy i powtarzał przeczytane fragmenty z pamięci.

Jedna ze stron, na której się teraz zatrzymał, przedstawiała jakiś przedmiot, przypominający żółtą rzeźbioną skrzyneczkę, a niektóre jej fragmenty prezentowano w dużym powiększeniu. Starzec zamknął księgę i zamyślił się głęboko. Pochłonięty myślami ponownie nie zauważył jak bardzo pod ścianą jego domu tej nocy kwitło życie towarzyskie. Po odejściu osobnika z bronią pod tym samym oknem przycupnął chłopak z dziewczyną. Po wyszeptaniu kilku nerwowych słów pożegnali się i każde z nich pobiegło w inną stronę.

Po chwili, jakby tylko czekając na sposobność, podszedł ukradkiem ktoś obcy i ten już z premedytacją zajrzał do środka. Stał tak z 10 minut, po czym podbiegł do najbliższych zarośli, wsiadł na ukryty w nich rower i śpiesznie odjechał. Nieświadomy obserwatora starzec zachowywał się w tym czasie dość osobiście. Wstał z fotel i podszedł do szafki przypominającej barek. Zamiast alkoholu mieścił się w niej domowy ołtarzyk. Wiekowa księga i prosty drewniany krzyż, identyczny jak umieszczony na okładce księgi. Alabastrowa miseczka z wodą, zapewne święconą, dopełniała wyposażenia.

Stary człowiek zanurzył palce w naczyniu, przeżegnał się, a następnie przesunął księgę i sięgając ręką jeszcze dalej w głąb, otworzył tylną ściankę mebla, zasłaniającą ogniotrwałą skrytkę. Nie miała ona zamka, bo przypuszczalnie złodziej nie natrafiłby na nią, zadowolając się łupem cennej biblii i wyraźnie zabytkowej miseczki z alabastru. Jedyne proste krzyż, choć wykonany z hebanowego drewna, nikogo by chyba nie skusił. Starzec ostrożnie otworzył stalowe drzwi skrytki i wy dobył prawdziwy skarb.

Złotą, zdobioną drogimi kamieniami skrzyneczkę. Na jej bogatych złoceniach tańczyły refleksy światła. Mężczyzna ucałował skrzyneczkę, na moment wszedł z nią do sąsiedniego pomieszczenia i natychmiast powrócił niosąc śnieżnobiałą tkaninę. Usiadłszy przy biurku, długo i dokładnie czyścił i polerował powierzchnię skrzyneczki, nie zaglądnął jednak do jej wnętrza. Następnie ponownie schował ją do skrytki, poustawiał przesunięte poprzednio przedmioty, przeżegnał się i zamknął barek. Cała operacja, nie trwała więcej jak 10 minut.

Z westchnieniem ponownie zagłębił się w fotelu, położył na kolanach księgę i skupił na jej treści.

Parę godzin wcześniej dostawczy samochód cicho sunął nieco wyboistą drogą. Zbliżała się już północ, ale kierowca wcale się nie śpieszył. Przeciwnie, co chwilę zwalniał, a nawet zatrzymywał się i uważnie rozglądał, jakby sprawdzając czy dane miejsce nadaje się na dłuższy postój, a nawet schronienie. Przez ulice miasteczka przejechał prawie niezauważony, ponieważ mieszkańcy skupili się na zabawie i pokazie sztucznych ogni. Specjalnie wybrał Dzień Guy'a Fewkes'a, by zrealizować swoje zadanie.

Nie było to zadanie zbyt trudne. Rozpoznanie terenu miał znakomite. Tu jednak nie tylko liczył się efekt, o który był spokojny, ale przede wszystkim to, by nikt nie skojarzył jego udziału z tym zdarzeniem. Taki obrót sprawy mógł przynieść niepowetowane szkody nie tylko jemu, ale wielu innym ludziom.

Dom w pobliżu miasteczka był pozornie cichy i senny, ale bystre oczy przybysza zauważyły snujące się tu i ówdzie cienie. To spostrzeżenie go ucieszyło. Udział kogokolwiek innego w tym miejscu, automatycznie mógł go postawić w roli podejrzanego o czyn, który on zamierzał dokonać. A to dawało mu szansę by całkowicie odsunąć jakiegokolwiek podejrzenia. Musiał jedynie być nieco bardziej czujny, co sprawiło, że decyzję o rozpoczęciu odkładał

w czasie. Kiedy zaczynało świtać, nie mógł dalej czekać. Był pewny, że jest całkowicie sam, dlatego zbliżył się do tylnej ściany domu.

Nazajutrz, w miejscowym sklepiku, jak zwykle panował poranny ruch. Ludzie kupowali pieczywo i inne wiktuały, czasem robili większe zakupy, ale przede wszystkim spotykali się, żeby pogadać. Tym razem plotkowano o starym Eideardzie, zwłaszcza o jego posuwającej się sklerozie. Tom, sprzedawca i właściciel sklepiku, miał najwięcej do opowiadania: a to, że stary Ei zapomniał po co przyszedł do sklepu, myliły mu się obecne ceny z przedwojennymi, a ostatnio zażądał gazety z wiadomościami z frontu.

– Nie wyobrażacie sobie – rechotał Tom – jak bardzo Ei niepokoił się okupacją Egiptu przez faszystowskie Włochy i jak przepowiadał rychłe oswobodzenie całej Cyranei.

– Wiem coś o tym – dodał z powagą listonosz – niedawno pytał mnie czy przysłano mu kartę powołania do wojska, ponieważ ogłoszono mobilizację.

– Biedny człowiek – westchnęła jakaś kobieta – musiał sporo wycierpieć i mu się w głowie pomieszało. Sama nie wiem, jak sobie radzi sam w tym domu. Dobrze, że często wyjeżdża na badania i do sanatorium, gdzie zapewne ma dobrą opiekę, jednak nie ma to jak własna rodzina. Że też ten stary człowiek nie ma nijakiej pomocy. Mógłby nawet poprosić kogoś z miasteczka, wielu by się na to zgodziło z dobroci serca. A tak w ogóle to powinien do niego zaglądać ktoś z urzędu. Przecież syn, który wyremontował i urządził drugą część domu, wcale tu nie zagląda, a stary siedzi dzień i noc w swojej jednej, zagraconej izdebce.

Słyszając te słowa chłopiec, zajmujący się sprzątnięciem sklepu i układaniem towaru, odwrócił głowę, a w jego głosie zabrzmiało zdumienie.

– Jak to, przecież dzisiaj w nocy w pokoju po drugiej stronie domu światło paliło się do rana.

– A cóżeś ty obwiesiu robił za rzeką w nocy aż do rana? – zapytała wsparta na kontuarze żona sklepikarza.

– A tak, nie mogłem spać i wyszedłem pospacerować – bąknął chłopak czerwony jak burak. Przypomniawszy sobie, żałując głupiej uwagi, że ostatnia noc obfitowała w różne zdarzenia. Zaczerwienił się na wspomnienie niektórych szczegółów spotkania z Glorią. Z kolei strachem napawali go dwaj inni mężczyźni, z których jeden niewątpliwie ich śledził, i mało brakowało, a byłby ich nakrył, a drugiego interesował wyłącznie domek starca.

– Założę się Elli, że Gloria też nie mogła spać – zawołał Tom do innej kobiety, w której najwyraźniej wzbierała furia. – Ale oczywiście żartuję – wycofał się szybko, widząc na co się zanosi.

– Gloria to uczciwa dziewczyna, chłopak też nie ma pstro w głowie, a i Artur chyba nie rozstaje się z dubeltówką – Tom, jakoś nie mógł całkiem zrezygnować ze zwykłej złośliwości.

– Rzeczywiście – Elli jakby zapomniała o swojej wściekłości – Artur gdzieś nocą wychodził z dubeltówką i wrócił dopiero rano – powiedziała w zamyśleniu, nie spostrzegając na szczęście, że chłopak sprzątający sklep nagle pobladł.

A to mieliśmy szczęście – myślał chłopak, gdy tożsamość jednego z mężczyzn została ujawniona – muszę powiedzieć Glorii, żeby nikomu nic nie mówiła. Pal licha tego obcego, pewnie zabłądził i chciał zapytać o drogę, widząc palące się w nocy światło. Zresztą sam widziałem jak zaraz wsiadł na rower i odjechał. On z pewnością nie powie, że nas widział, a stary choć kaszlał jeszcze dobre pół godziny, co słyszałem wracając już sam do domu, też nas z pewnością nie widział. Na razie nasza randka się nie wyda.

– Dziwne, że naszego staruszka jeszcze tutaj nie ma – zauważyła druga z kobiet –

przeważnie narzeka, że z bólu, nie może spać i wcześniej rano wychodzi, a dzisiaj jest poniedziałek i pewnie niewiele mu zostało do jedzenia. Może gorzej się czuje?

– Dobra – zdecydował się listonosz – zajrzę do niego po drodze. W piątek zaniósłem mu list z Ameryki, pewnie od tego jego syna. Był tym nieco zdziwiony i zdenerwowany. Warto sprawdzić jak się stary czuje – zakończył wychodząc.

Ludzie jakby ocknęli się po wyjściu listonosza, poniechali plotek, szybko porobili zakupy i rozeszli się do domów. Nie byli więc świadkami, gdy pół godziny później listonosz biegiem wrócił do sklepu i ostatkiem tchu wystękał zdumionemu Tomowi, że stary Ei, leży w kałuży krwi w swojej izdebce z całkowicie rozbitą głową. Kamień, narzędzie zbrodni, leżał tuż obok zwłok.

W sennym miasteczku nastał sądny dzień. Najpierw z wyciem syren nadjechała policja, potem dziennikarze. Z okolicy nadciągały tłumy gapiów. Tłumy to pewnie za dużo powiedziane, ale w tym przez Boga zapomnianym zakątku, pięćdziesiąt ludzi zgromadzonych w jednym miejscu, to nie byle jakie zgromadzenie.

Tom natychmiast, czego nigdy nie czynił, posłał własnym jeepem chłopaka po zapas piwa i różne smakołyki, wietrząc niebywałe obroty. Z niepokojem wyczekiwał powrotu samochodu, byle całego. Gotów był chłopaka obedrzeć ze skóry, gdyby stało się inaczej. Tymczasem zachwalał przed kupującymi wszystko, co miał. Miejscowi nie wierzyli w jego zapewnienia, ale paru obcych udało się skusić. Tom, widząc, że samochód wraca i prowadzony jest pewną ręką, zatarł dłonie, uspokajając sumienie nieco chaotyczną modlitwą za duszę biednego Ei. Wychwalał pod niebiosa zmarłego, jego cnoty, bohaterstwo podczas wojny i wielkie oddanie dla kraju i społeczności. Wtórował mu listonosz, dodając, że zmarły otrzymywał listy z całego świata. Tom, nie wspominając już o sklerozie, stawiał za wzór jasność myśli i trafne sądy staruszka, dodając, że jego cennych rad nikt nie lekceważył. W opowiadaniach pojawiały się nowe szczegóły i sensacje, o których dotąd nikt nie słyszał, a dziennikarze zapisywali i nagrywali wszystko jak leci. Policja nie poświęciła pismakom ani chwili uwagi. Zostali zdecydowanie przepędzeni z najbliższego otoczenia domu, dlatego też zajęli się Tomem i jego klientami. Sprzedawca łypał okiem na chłopaka, któremu powierzył obsługę sklepu i czuł się w swoim żywiole. Wkrótce dziennikarze odjechali z przekonaniem, że Szkocja straciła wybitnego człowieka, jednego z największych bohaterów Kampanii Afrykańskiej, dobrodusznego, uczynnego, oddanego krajowi obywatela i niezwykle szanowanego w całej okolicy mieszkańca. Dziennikarze nie mrugnęli nawet okiem na te rewelacje. Było im wszystko jedno, co napiszą. Wkrótce rozeszli się również gapie, a Tom zajrzał do kasy i mamrotał różne inwektywy pod adresem nędznego, jak na takie wydarzenie, zarobku. Zburczał nawet chłopaka, ale ten nawet nie zareagował. Wobec tego co się stało, zmniejszyła się jego stanowczość, co do zachowania tajemnicy wydarzeń nocnych. Oczywiście, przez myśl mu nie przeszło, aby zwierzać się Tomowi i bandzie plotkarzy odwiedzających jego sklep. Myślał raczej o policji. Postanowił najpierw porozmawiać z Glorią, a potem zdecydować, jakie począć kroki.

– Tak zrobię – zdecydował ostatecznie.

Technicy kryminalni nie mieli dużo roboty. Dom starego był zadbane i czysty. Śladów znaleziono niewiele. Odciski palców należały praktycznie tylko do denata i, jak się później okazało, listonosza. Bo też nikt inny starego nie odwiedzał. Informacja o graciarni pochodziła właśnie od doręczyciela listów. W nikłym płomieniu świecy, też mogło się tak wydawać, ale teraz, w blasku dnia, rzecz wyglądała inaczej. To prawda, że sprzęty mogły pochodzić z wyprzedaży staroci i były kiepsko dobrane, ale wyglądały na solidne i funkcjonalne. Dobrze

zakonserwowane, z nienaruszoną, podkreślającą ich wiek patyną, nadawały urok pomieszczeniu. Skrzypiące łóżko osłaniał baldachim, a wypalona do końca świeca tkwiła w solidnym secesyjnym lichtarzu, co zapewne zapobiegło pożarowi, gdyż pozostawiono ją na tak długi czas bez dozoru. Nawet kubek, z którego Ei pił lekarstwo, nie był byle jakim naczyniem, lecz ręcznie ciętym kryształowym pucharkiem.

Zdumienie policjantów rosło. Co i raz natrafiali na jakieś ciekawe przedmioty, wśród których dominowały stare gazety, zdjęcia i widokówki. Wszystko jednak pochodziło sprzed kilkudziesięciu lat i raczej nie mogło wiązać się z obecną tragedią.

Bibeloty stojące na szafkach nie miały zbyt dużej wartości, ale niektóre wyglądały oryginalnie. Z pewnością niejeden kolekcjoner mógłby za nie nieco zapłacić, może nie fortunę, ale zawsze coś. A jednak wydawało się, że nic nie zginęło. Motyw rabunku ostatecznie upadł, gdy policjanci odkryli ołtarzyk. Cenna biblia i alabastrowa czarka pozostały nietknięte. Krzyż z hebanu również. Na widok ołtarzyka policję zdziwił nieco brak jakiegokolwiek świątka czy religijnego symbolu w innych pomieszczeniach, nawet w zagraconej sypialni starego. Widać do uprawiania religijnych praktyk służył mu wyłącznie schowany w tym niby barku ołtarzyk. Na schówek nie natrafiono.

Dla porządku przejrano pobieżnie księgozbiór, ale nie było nigdzie żadnego spisu książek, dlatego nie można było stwierdzić, czy coś zostało skradzione. Pewne wątpliwości budził jedynie ślad po zabranii jakiegoś przedmiotu ze stolika obok regałów. Gładka powierzchnia stolika była nieco pokryta kilkudniowym kurzem, z wyjątkiem niewielkiej prostokątnej płaszczyzny, która wyglądała tak, jakby leżała tam jakaś książka lub koperta. Listonosz twierdził, że raz widział Eidearda z jakąś czerwoną książką, której teraz nigdzie nie było. Ale czy tylko ten przedmiot był obiektem rabunku i przyczyną brutalnego morderstwa, to należało dopiero wyjaśnić.

Nie wydawało się to łatwe.

Policja przesłuchała wyraźnie dumnego z wyróżnienia listonosza, który jako jedyny widział wewnątrz domku. Wpuszczono go nie tylko do części, w której właściciel go przyjmował, ale i do innych pomieszczeń. Wyraźnie zaintrygowany listonosz potwierdził mniemanie, że prawdopodobnie nic nie skradziono.

Policjanci, po zakończeniu czynności wstępnych, opieczętowali dom i wrócili na posterunek, by podjąć żmudną pracę papierkową. Zajęli się opisywaniem całego zdarzenia i poszukiwaniem syna ofiary. Dyskretnie obserwowano też mieszkańców i słuchano rozmaitych przypuszczeń i plotek. Pozorny bezruch i cisza wokół tej sprawy zaowocowały jednym niewątpliwym sukcesem – zauważono i osaczono chłopaka i dziewczynę podczas nocnej schadzki. Allan i Gloria, szcękając zębami i zaklinając wywiadowców na wszystkie możliwe świętości o zachowanie tajemnicy, zdradzili, że w feralną noc na miejscu zdarzenia był obecny również ojciec dziewczyny i jakiś tajemniczy cyklista.

Zeznania dwojga młodych różniły się. Chłopak był zbyt przerażony, by zauważyć cokolwiek. Był świadomy, że ojciec dziewczyny polował na niego uzbrojony w strzelbę, co nie dodawało mu odwagi. Za to dziewczyna opisała nie tylko sylwetkę, która wskazywała, że był to młody mężczyzna dobrze zbudowany i wysportowany, ale również podała, że głowę miał krótko przystrzyżoną i bardzo jasne włosy, albo miał ją całkowicie wygoloną. Ciemny kaptur uniemożliwiał dokładne rozpoznanie. Rysy twarzy wydały się jej nijakie, ale mniej więcej je pamiętała, w związku z czym sporządzono dość kiepski portret pamięciowy.

Ojca dziewczyny przesłuchano pod pretekstem, że o jego nocnych spacerach powiedziała w sklepie jego żona. Przyznał się, że istotnie miał nadzieję na przyłapanie chłopaka, który

bezczelnie zalecał się do jego córki – posługacz w sklepie, też coś – prychał. Na szczęście dla niego mylił się, ponieważ Gloria grzecznie spała, co stwierdził, przed wyjściem i po przyjeździe do domu. Policja przyjęła zeznanie z powagą i bez komentarza. Na pytanie po co wziął broń, odpowiedział, że natrętnych zalotników trzeba solidnie postraszyć. Sam widział jakiegoś obwiesia na rowerze, kręcącego się jak fryga tam i z powrotem po polnych drogach. Nie wie kto to był, chyba nikt miejscowy, ale że widział go z oddali, więc głowy nie da. Policja zainteresowała się rowerzystą, więc powiedział, gdzie go zobaczył pierwszy raz i gdzie stracił z oczu. Poza tym nic nie wiedział.

Artur zaprowadził policjantów na skraj polnej drogi, gdzie zauważyli bardzo słabo widoczny ślad opony rowerowej. Dwóch funkcjonariuszy szło tym tropem dobrą milę i wreszcie w zagajniku zauważyli o wiele głębsze ślady samochodu. Bez wątpienia była to furgonetka.

Inspektor Brian McCoy, prowadzący śledztwo, miał więc do odszukania już dwie osoby: syna zamordowanego i tajemniczego rowerzystę. Na ślad pierwszego natrafiono dzięki wydrukowi rachunku telefonicznego. Stary dzwonił tam wielokrotnie, również w noc zabójstwa. Inne numery okazały się z pozoru niewinne, był to mianowicie gabinet lekarski i proboszcz pobliskiej parafii rzymsko-katolickiej. Za to nie do sprawdzenia były dwa numery komórkowe aparatów na kartę. Ustalenie tożsamości rozmówców było niemożliwe, zaś rowerzysta na razie jakby zapadł się pod ziemię.

Inspektor McCoy coraz mniej rozumiał z całej sprawy. Przesłuchanie syna ofiary i tych, których telefony sprawdzono, sprawiało wrażenie, jakby rozmówcy mówili o zupełnie innych osobach.

Syn przyjął do wiadomości informację o śmierci ojca z godnością, wyraził żal i poinformował inspektora, że jego przedstawiciel w Londynie zajmie się sprawą pogrzebu. Wyjaśnił też, że z ojcem utrzymywał prawie wyłącznie kontakt telefoniczny. On sam mieszka w Bostonie i kieruje potężną firmą zajmującą się elektroniką. Na pytanie inspektora odpowiedział, że owszem widywali się, ale najwyżej dwa razy w roku, zawsze w Londynie, gdzie ojciec miał niewielkie mieszkanie i dość często przyjeżdżał tam samochodem.

– Czy chorował? – wykrztusił inspektor zaskoczony nową wiadomością.

– Właściwie nie, może jakieś drobne dolegliwości związane z wiekiem, ale umysł jasny, zero sklerozy, wzrok, taki, że ho, ho. Pamięć miał znakomitą. Ja używam elektronicznych gadżetów, by pamiętać o wielu sprawach, a on miał jedynie laptopa. Niech pan sprawdzi czy prowadził jakiegokolwiek bieżące notatki.

– Laptopa nie znaleziono – wyjął nieco ogłuszony McCoy.

– Może jest w mieszkaniu w Londynie. Czy będę na pogrzebie? – powtórzył następne pytanie inspektora – oczywiście. Natychmiast się z panem skontaktuję.

– Czy rozmawiał pan z ojcem w noc zabójstwa?

– Owszem – potwierdził syn – ojciec powiedział mi tylko tyle, że potrzebuje się ze mną spotkać i to jak najprędzej.

– Nie wyjaśnił po co?

– Nigdy przez telefon nie mówił, o co chodzi. Wyznawał dziwaczny pogląd, że telefony zostały stworzone do podsłuchiwania.

– Miał aż takie tajemnice, że bał się podsłuchów?

– Jego tajemnice najczęściej dotyczyły zakupu jakiejś rzadkiej książki, glinianego garnka pochodzącego koniecznie z określonego miejsca albo innych tego typu rewelacji.

– Był dziwakiem?

– Bo ja wiem? Wydawało się, że nawet w tych osobliwych poleceniach tkwiła jakaś żelazna logika, ale nie potrafię w tej kwestii panu pomóc. Zresztą, jak przyjadę to porozmawiamy obszerniej.

Inspektor odłożył słuchawkę i zamyślił się. To była niecodzienna rozmowa. Syn mówił o ojcu jak o jakimś miłym, dobrym znajomym, który nagle zmarł. Szczególnie jednak zdziwiły go informacje o zmarłym, tak różne od tych, jakie przekazali mu mieszkańcy osady. Albo więc staruszek odgrywał przed nimi komedię, jeśli tak to dłaczego, albo syn coś kręcił, ale po co?

To było ciekawe – ponad 80 letni starzec, który rozbijał się samochodem po całym terenie Wielkiej Brytanii, używał laptopa, nie potrzebował okularów, a w miasteczku znany był jako umierający samotnie dziwak. Okularów nie znaleziono, to fakt. Nie znaleziono także laptopa i samochodu. Co tu jest grane? Czyżby staruszek prowadził podwójne życie? – rozmyślał.

Następny numer telefonu należał do doktora Wilsona. Tam inspektor pojechał osobiście. Lekarz zapytany o zdrowie staruszka zaśmiał się i bez sięgnięcia po kartę chorobową oświadczył:

– Chciałbym mieć takie zdrowie jak on, no może jeszcze nie teraz – zastrzegł się na wszelki wypadek.

– Co mu dolegało?

– Nic. Trochę zmęczenie, reumatyzm przy zmianie pogody.

– Kaszlał – oświadczył z nadzieją inspektor, myśląc, że coś z niego wyciągnie.

– Alergia na kurz i niektóre pyłki. Po zażyciu lekarstwa, objawy ustępowały natychmiast.

– Mógł prowadzić samochód? – zapytał ostrożnie.

– Jeździł jak szatan. Tam stoi jego Land Rover.

– Dlaczego nie trzymał go w domu?

– Uwielbiał robić z siebie ramola. Oryginalne, nie powiem.

– Miał laptopa?

– Tego nie wiem, ale znając go, nie wykluczam.

– Jak pan sądzi, dokąd najczęściej jeździł i po co?

– Często jeździł do Londynu. Nie wiem po co. Ponadto odwiedzał naszego księdza Marco, ale do tego nie potrzeba Land Rovera. Może jeździł też gdzieś indziej, na przykład do Edynburga, czy Glasgow. Zresztą, nie mam żadnych podstaw, by wymieniać te akurat miasta. Pewnie mógłbym wymienić i inne. Raz, wiem na pewno, jechał do Aberdeen, ale tam miał się spotkać w porcie z jakimś przyjacielem. Nie wiem, kto to mógłby być.

Inspektor opuścił lekarza z mentlikiem w głowie. Był ciekaw, co powie mu ksiądz. Na stwierdzenie inspektora, że bada okoliczności śmierci pana Eidearda Campbella, ksiądz załamał ręce i rozżalił się:

– Straszne nieszczęście – przywitał go wielebny – taki święty człowiek, hojny dla biednych.

– Był bogaty? – McCoy aż zaniemówił.

– Bardzo! Był założycielem i aktywnym członkiem Towarzystwa Czcieli Relikwii.

– Czego?

– Relikwie to bardzo ważne obiekty kultu – wyjaśnił spokojnie, a nawet uroczyście ksiądz. – Sam miał niezwykle cenną i piękną. Ja byłem honorowym prezesem tego czcigodnego zgromadzenia.

– Wiem, co to są relikwie. Nie miałem tylko pojęcia o istnieniu takiego stowarzyszenia i to w dodatku mającego siedzibę w naszej okolicy.

– Nie popełniamy przestępstw panie inspektorze, więc może dlatego pan o nas nie słyszał
– odparł z godnością ksiądz.

– Pan Eideard prowadził sprawozdania z działalności stowarzyszenia bardzo rzetelnie, wszystkie dane są dostępne w komputerze. Można też je sprawdzić w czymś co starszek nazywał Internetem. Nie wiem dobrze o co chodzi, ale pokazywał mi. Bardzo przydatna rzecz.

– Czy miał laptopa?

– Tak – odparł ochoczo ksiądz – jest u mnie.

– Muszę go zabrać.

– Oczywiście, rozumiem, ale proszę uważać na dane. Tam jest cała dokumentacja zgromadzenia.

– Nie robicie kopii?

– Nie wiem. Nasz kochany założyciel i dobroczyńca sam się tym zajmował. Zaraz przyniosę.

– Niech ksiądz poczeka – zatrzymał uczynnego gospodarza tknięty nagłą myślą. – Jak wyglądał ten relikwiarz, który posiadał zmarły?

– To była drewniana skrzyneczka obita złotą blachą i wyłożona drogimi kamieniami, rubinami i szmaragdami. Diamentów nie było na pewno. Stara robota z XIII wieku.

– Nie znaleziono niczego podobnego.

– Zapewniam pana, że stary Ei na pewno ją ukrył. Jestem przekonany, że syn zna położenie skrytki. Bardzo kochał ojca i z pewnością będzie na pogrzebie. Teraz pośpiech już nie ma znaczenia. Przyniosę panu komputer.

Ksiądz podreptał gdzieś w głąb pomieszczenia, a inspektor rozglądał się z ciekawością. Izba była bardzo skromna, widać mieszkaniac nie dbał o wygodę. Z drugiej strony był prezesem jakiegoś dziwnego zgromadzenia, którego zainteresowania dotyczyły rzeczy o dużej wartości zarówno mistycznej, jak i materialnej. McCoy był przekonany, że przypadkiem trafił na bardzo tajemniczą sprawę i przewidywał spore kłopoty w dotarciu do sedna sprawy.

Inspektor nie podzielał zdania księdza, że teraz pośpiech już nie ma znaczenia, ale grzecznie czekał na sympatycznego duchownego, zabrał urządzenie i wyszedł. Był bardzo niespokojny i podświadomie czuł nadchodzące kłopoty. Ponadto rosło w nim przekonanie, że bez względu na to, czego się jeszcze dowie, w tej sprawie niewiele go już zdziwi. Bardzo się mylił. Pierwszym zaskoczeniem było włączenie w sprawę prywatnego detektywa, któremu syn ofiary zlecił wyjaśnienia zabójstwa ojca.

Angus Brian Carney, zwany przez przyjaciół Sir ABC, siedział w swoim biurze w wygodnym fotelu obok sporego kominka i jak zwykle śmiertelnie się nudził. Przejrzał już prasę i zaległą korespondencję, leniwie rozejrzał się dokoła i pomyślał, że dobrze by było zadzwonić do Charlotte. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i byli umówieni na ich wspólne spędzenie częściowo w jego domu, a częściowo w willi wdowy Wilshere.

Sięgał właśnie po słuchawkę, gdy ta warknęła niespodzianie, burząc nieco spokój i płosząc myśli detektywa. Słucham – rzucił z pewną niechęcią, ale po chwili złagodniał, usłyszawszy głos znajomego inspektora ze Scotland Yardu.

Zarówno Charlotte, jak i inspektora Luke Friedla, Carney poznał podczas rozwiązywania poprzedniej sprawy. Historia ta związana była z pewnym szantażem i morderstwem dokonany w Londynie przez młodą dziennikarkę Amandę. Carney wówczas nieco nadużył zaufania inspektora, ale w sumie pomógł mu odnieść dość spektakularny sukces, o czym szeroko informowała poważna prasa, a właściwie mający wyłączność The Times. Wówczas miłą

i niezwykle dystygowaną damę trochę więcej niż polubił, zaś inspektora cenił, choć początkowo ich wzajemne relacje były nieco napięte. Inspektor, po kilku zdawkowych zdaniach na temat pogody i wspólnych znajomych, zaprosił Carney'a do Londynu. W normalnych warunkach detektyw znalazłby tysiące wykrętów, ale w tym mieście przebywała Charlotte, więc bronił się słabo i mało przekonywująco. Wreszcie obiecał przyłot i ku własnemu zaskoczeniu wizytę jeszcze dziś wieczorem. Umówili się w tym samym pubie, gdzie jeszcze tak niedawno doszło między nimi do drobnego spięcia. Nie przejął się zapowiadaną przez inspektora dość ciekawą sprawą, ponieważ z góry zakładał, że jej po prostu nie przyjmie, ale Londyn odwiedzi. Czemu nie.

Wypełniając czas do zakończenia dyżuru, postanowił nieco posprzątać, to znaczy poskładać gazety i wówczas niespodziewanie natrafił na opis zabójstwa starego człowieka z okolic Tain. Nie pamiętał, o co chodzi, więc zajrzał ponownie do gazety i z większą uwagą przeczytał artykuł. Wynikało z niego, że niedaleko Morangie, zostało popełnione wyjątkowo ohydne morderstwo, a ofiarą był wojskowy weteran, bardzo zasłużony dla lokalnej społeczności. Zginął we własnym domu, nie stwierdzono śladów rabunku i żadnych motywów. Policja, według prasy, jak zwykle bezsilna, nie zajmowała się tą sprawą. Dziennikarze sugerowali zemstę po latach, zatuszowanie mrocznych tajemnic z czasów ostatniej wojny i wysuwali inne bzdurne przypuszczenia.

Carney wzruszył ramionami, ziewnął i odłożył wszystkie gazety na najniższą półkę, czyli na miejsce, do którego zwykle już nie zaglądał, chyba że podczas porządkowania, a dokładniej wyrzucania wszystkiego, by zrobić miejsce na nowe zbiory. Czynił tak przeważnie w ostatni dzień roku, czyli już niedługo.

Nawet nie wyciął i nie schował do skoroszytu artykuł, jak na ogół robił, gdy wiadomość była nietypowa lub go w inny sposób zainteresowała. Tym razem nie przypuszczał, by kiedykolwiek miał z nią mieć do czynienia.

Jednak jego niezawodny nos spletał mu figła.

Zadzzwonił do Charlotte i poinformował ją o swojej wizycie. Wydawało się, że bardzo się ucieszyła. Następnie zamówił bilet lotniczy z Inverness do Londynu i okazało się, że aby zdążyć musi wyjechać natychmiast. To nieco popsuło mu humor, bo planował jeszcze powrót do domu w Munloch, ale w tej sytuacji było to niemożliwe. Tak jak stał, wsiadł do samochodu i odreagowując rozdrażnienie, sunął w kierunku, pewien, że otrzyma masę mandatów za wychwycone przez fotoradary przekroczenia prędkości.

Charlotte przyjęła go jak zwykle serdecznie. Carney, jako swego rodzaju domownik, skorzystał z dóbr cywilizacji, doprowadzając swoją powierzchowność do ogólnie obowiązujących standardów. Na szczęście w drodze z lotniska zatrzymał się w centrum handlowym i dokonał odpowiedniego uzupełnienia garderoby i innych podstawowych przyborów, koniecznych dla eleganckiego mężczyzny, postanawiając, że na wszelki wypadek pozostawi je w mieszkaniu gościnniej gospodyni, na co zresztą dość chętnie się zgodziła.

Punktualnie o umówionej porze do pubu wszedł inspektor, witając detektywa tak wylewnie, że ten podświadomie poczuł najgorsze, mianowicie zajęcie się jakąś sprawą. W gruncie rzeczy, mimo poprzedniego postanowienia, że żadnej sprawy nie przyjmie, czuł

potrzebę zainteresowania się czymś, ale na Boga nie podczas świąt i to spędzanych z Charlotte. Ku jego zdumieniu inspektor był zaangażowany w morderstwo starego Szkota, o którym nomen omen, Sir ABC czytał przed swoim wyjściem z biura.

– Cieszę się, że pan przyjechał prokuratorze – proszę wybaczyć, że tak pana nazywam, ale to kwestia przyzwyczajenia, zresztą Black zawsze tak o panu mówi.

– W porządku, nic nie szkodzi. Prawdę mówiąc telefon od pana zaskoczył mnie do tego stopnia, że mimo nawału zajęć postanowiłem się z panem zobaczyć.

– Wiem od pani Charlotte jak bardzo jest pan zajęty – inspektorowi nawet udało się ukryć kpinę, ale jego oczy mówiły co innego i Carney poczuł, że mógłby się zaczerwienić.

– Co ma do tego Charlotte – zapytał wyzywająco, by ukryć zmieszanie – nie wspominała mi o tym.

– Wspomni – obiecał beznamiętnie inspektor nie chciała by jej opinia miała na pana jakikolwiek wpływ.

– Ale pan wspominając jej udział jakoś się tym nie przejmujesz – rozdrażnienie detektywa stawało się coraz bardziej widoczne.

– Ja nie, bo jestem gliną i wykorzystam każdy argument, by skłonić pana do współpracy. Ta sprawa wymaga wielkich kompetencji i człowieka o wysokiej klasie. Pan spełnia te kryteria.

– Dziękuję – nieco kpiąco zauważył Carney i dodał – jak to się stało, że pan prowadzi to śledztwo, skoro morderstwo zostało popełnione w Szkocji.

Inspektor Luke Friedel milczał i spoglądał na Carney'a. Zastanawiał się, jak poruszyć tę delikatną sprawę, w której nic nie było do końca wiadome. Nawet nie chodziło tu o wykrycie zabójcy, lecz o wyjaśnienie bardzo ulotnych wątków wkraczających w jakieś dziwaczne, mistyczne obszary. Ponadto czuł się niezręcznie, bo w tej historii pojawiła się Charlotte, która zdecydowanie odmówiła wywierania na Carney'a jakiegokolwiek osobistego wpływu. A sprawa była pilna i poważna.

– Nie prowadzę tego śledztwa – odparł powoli. Jestem tu zupełnie prywatnie. Staruszek miał mieszkanie w Londynie i nasi ludzie robili w nim rewizję. Z kolei syn zamordowanego jest moim dawnym znajomym. Prosił mnie osobiście o znalezienie odpowiedniego człowieka, który przyjrzałby się tej sprawie, a że jest to historia niezwykła, pomyślałem o panu. Widziałem pana przy poprzedniej robocie i jestem przekonany, że nikt tak jak pan się do tego nie nadaje.

– Niech pan nie przesadza – ziewnął ostentacyjnie detektyw – nie takie słyszałem pochlebstwa i odmawiałem prowadzenia dochodzenia.

– Przecież ja pana o to nie proszę. Nie schlebiam panu, tylko powtarzam to, co powiedziałem przyjacielowi szukając odpowiedniego człowieka. Niech pan zdecyduje sam. Mam jednak prośbę, by spotkał się pan z nim i go wysłuchał. Będzie tu – spojrzał na zegarek – za dziesięć minut.

– Był pan pewny, że się z nim spotkam?

– Wcale nie, ale ważne jest by pan jak najprędzej podjął decyzję przed wizytą panny Charlotte. Istotny jest czas, zwłaszcza, gdyby trzeba było szukać kogo innego. Powiem szczerze, że wówczas wycofam się z udzielenia przyjacielowi nowej rekomendacji.

– No, muszę przyznać, że rozegrał pan to po mistrzowsku – nieco odprężył się detektyw. – Jak jeszcze pan powie, że w tej sprawie będzie miał udział Black, to komplet będzie gotowy.

– Black zna sprawę, dał nawet głowę, że pan ją weźmie – po raz pierwszy inspektor pozwolił sobie na uśmiech.

Detektyw milczał i przyglądał się inspektorowi. Ten również nie spuszczał z niego oczu i Carney po raz pierwszy uświadomił sobie, że ten człowiek zna swoją robotę i musiał być dla przestępców groźnym stróżem prawa. Nie zauważył tego podczas poprzedniej współpracy, ale

spędzili z sobą wówczas niewiele czasu, być może odniósł trochę mylne wrażenie. Jakby wbrew temu co mówił, czuł delikatne zainteresowanie całą sprawą. Teraz przypomniał sobie niektóre zdania z artykułu, które brzmiały tak idiotycznie, że z kilometra widać było spekulacje pismaków i chęć, by cokolwiek na ten temat napisać, bo albo nikt nie chciał nic powiedzieć, albo faktycznie nikt nic nie wiedział.

To było intrygujące, choćby z tego względu, że w takich miejscach wszyscy o wszystkim wszystko wiedzą, a tu nie było nawet plotek o codziennym życiu, jak pisano, bardzo znanej i zasłużonej osoby.

Carney podniósł głowę i twardo spojrzał inspektorowi w oczy.

– Dobra – zdecydował – spotkam się z pana znajomym i być może nawet przyjmę zlecenie – dodał ku własnemu zaskoczeniu. – Trochę tajemnicza ta sprawa, a ja takie właśnie lubię. No i jeszcze są ciekawi współpracownicy – dodał z uśmiechem – zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Boję się, że więcej, niż się spodziewamy – tym razem inspektor był poważny – ta sprawa wygląda dość paskudnie. Poczekajmy chwilę, zaraz powinien tu być Patryk. Zamówię drinki.

Warsztat samochodowy wypełniał jazgot pracujących silników. W tej chwili przynajmniej na dwóch stanowiskach wyły na najwyższych obrotach silniki terenowych Land Roverów. Były bliźniaczo podobne, ciemnozielone, solidnie przygotowane do trudnych warunków. Chromowane, stalowe rury otaczające karoserię musiały na drodze budzić respekt.

W oddzielnym grubym szkłem pomieszczeniu hałas był nieco mniejszy, nie czuć też było spalin, ponieważ wentylacja w warsztacie i w biurze była nastawiona na maksymalną wydajność. Pracowała bardzo cicho, więc siedzący za biurkiem mężczyzna w średnim wieku mógł spokojnie prowadzić rozmowę telefoniczną.

Spokojnie to może za dużo powiedziane, bo widać było czerwoną ze złości twarz i gwałtownie wypowiedane słowa. Wreszcie się rozłączył i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Jeszcze przez chwilę przetrwał rozmowę i zastanawiał się jak ma teraz postąpić. Od jego decyzji zależało dużo, a skutki popełnienia błędów były poważnie. Miał dwa wyjścia: albo przedyskutować sprawę z kimś innym, z większą dyskrecją dokończyć pewne zadanie i usunąć niepotrzebnych świadków, albo zwrócić się z powrotem do dotychczasowych wykonawców i zażądać skuteczniejszych działań. To drugie było łatwiejsze, ale niosło pewne ryzyko, mianowicie powrotu tych samych ludzi w to samo, być może obserwowane, miejsce. Wahał się, jednak zalecano mu szybkie załatwienie sprawy, a wtajemniczenie kogoś nowego niosło niewątpliwie zwłokę.

Przemyślał nieco sytuację i postanowił wybrać drugi wariant. Jak się później okazało, decyzja ta była najgorsza z możliwych.

Peter podszedł do jednego z wozów i przekrzykując ryk silnika zawołał w głąb kanału:

– Hans!

Spod podwozia wynurzyła się umorusana twarz młodego mechanika.

– Co się stało szefie?

– Bruno spieprzył sprawę.

Mechanik sprawnie wyskoczył z kanału i wyłączył silniki. Miał spiętą twarz i nieco spłoszoną minę.

– Jak to spieprzył – zdenerwował się – przecież miał dokładne namiary i pełne informacje.

– Dzwonił Benito. Bruno, jak się okazało, przywiózł mu nędzną kopię – pozłacaną blachę z imitacją kamieni, a w środku jakieś barachło.

– No tak, z daleka trudno było rozpoznać, co stary trzyma w schowku, a zresztą Bruno to zwykły tępy osiłek. Pewnie najpierw załatwił starego, a potem szukał. Nawet gdyby się zorientował, to już niczego by się nie dowiedział. Co teraz?

– Bo ja wiem. Benito na razie studiuje księgę, mówi, że coś mu w niej nie gra, ale jeszcze nie wie co. Kazał szukać synalka starego.

– Po co?

– Może myśli, że on coś wie.

– Mało prawdopodobne. Jery miał go cały czas na oku.

Wynikało z tego, że synalek te sprawy miał gdzieś. Podobno nawet nie spotykał się ze starym. Zajmuje się nowoczesną informatyką, a nie starociami, choć z tych staroci ludzie też nieźle żyją, może niektórzy lepiej niż z elektroniki.

– Tak czy inaczej musimy go znaleźć. Jeśli Benito chce go mieć, to go dostanie. Masz kontakt z Jerym, przekaz mu zadanie. Syn był na pogrzebie i prawdopodobnie zaraz wyjechał. Niech go tam gdzieś dorwą i dobrze przebadają.

– Zaraz się tym zajmę.

– W porządku. Ja też mam pewną sprawę do załatwienia. Jadę do Monachium i dzisiaj już mnie nie będzie. Trzymaj się – rzucił na pożegnanie, po czym wsiadł do wiśniowego mercedesa i ruszył z piskiem opon.

Hans patrzył za odjeżdżającym samochodem aż do chwili, gdy zniknął za zakrętem, potem jeszcze chwilę odczekał, a następnie wszedł do oszklonego biura. Ujął słuchawkę telefonu, wykręcił numer i czekał. Rozmawiał przez chwilę. Wbrew poprzedniej obietnicy rozmówcą nie był Jery, ale właśnie Bruno.

Po zakończeniu rozmowy zamknął starannie biuro i wszedł znów do warsztatu. Nie podjął jednak pracy, lecz przeciwnie, powyłaczał wszystkie urządzenia i udał się do szatni, skąd po kwadransie wyszedł umyty i przebrany w skórzany, czarny strój motocyklisty. Jeszcze chwilę siedział, ale co chwila spoglądał na zegarek. Wyglądało jakby obliczał czas potrzebny mu do wykonania jakiegoś zadania. Nie spieszył się. Ze schowka jednego z samochodów wyciągnął mapę i powoli wodził palcem po linii autostrady łączącej Norymbergę z Monachium, jakby szukał jakiegoś szczególnie interesującego miejsca. Wreszcie jeszcze raz spojrzął na zegarek i wstał.

Zdecydowanym ruchem założył kask z przyciemnioną szybą, a gdy wciągnął rękawice, na przegubach rąk ostrą czerwienią odcinały się od czerni stroju stylizowane litery NA.

Z boksu koło magazynu warsztatu wyprowadził cielsko potężnego motocykla BMW G650 Xmoto, kopnął rozrusznik i na ostrych obrotach pojechał w ślad za swoim szefem.

Syn starego Eidearda mógł mieć około pięćdziesiątki. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, choć z pewną tendencją do tycia. Musiał prowadzić siedzący tryb życia, choć widać było, że wkładał dużo wysiłku w utrzymaniu fizycznej formy. Przywitał się mocnym uściskiem dłoni i pospiesznie zlustrował sylwetkę Carney'a. Nie zdołał ukryć podziwu, a nawet pewnej zazdrości na widok potężnej postury detektywa.

Patryk Campbell, Angus Brian Carney – przedstawił obu panów inspektor Luke Friedel. – Patryku, pan Carney zgodził się na spotkanie, a nawet śmiem twierdzić, wykazał daleko idące

zainteresowanie, wprowadzie na razie jedynie ze względu na osoby zaangażowane w tę sprawę – dodał nieco kpiąco, ale natychmiast spoważniał i zaproponował – najlepiej jak teraz szczegółowo przedstawiś problem.

– Zaraz – przerwał Carney – pański ojciec został zamordowany ponad miesiąc temu. Czytałem o tym dzisiaj w starej gazecie. Przyznam, że zupełnie przypadkowo. Dlaczego dopiero teraz postanowił pan wyjaśnić sprawę?

– To prawda – zgodził się Patryk – został zamordowany w nocy z 5 na 6 listopada, a dzisiaj mamy 7 grudnia. Ale musi pan zrozumieć, że chciałem dać czas policji na przeprowadzenie śledztwa – wyjaśnił Campbell, ale Carney wyczuł w jego głosie wahanie – myślę zresztą, że nadal to robią, ale nie w tym rzecz.

– A tak naprawdę, to dlaczego pan zwlekał, jeśli nie chodziło wyłącznie o ustalenie sprawcy?

– Musiałem uzyskać akceptację pewnych ludzi, by nadać tej sprawie nieco nieformalny bieg. Powiem może nieco brutalnie. Nie tyle chodzi o schwytanie mordercy ojca, co o wyjaśnienie okoliczności tego zabójstwa.

– Nie rozumiem – Carney nie krył zdumienia postawą syna ofiary.

– Nie dziwię się – pokiwał głową Campbell i wyjaśnił – widzi pan, ojciec był postacią dość nietuzinkową. Zabójstwem starego Eidearda – zauważył z naciskiem – zajmował się inspektor Brian McCoy. Dość obszernie, choć idiotycznie, opisywała tę sprawę lokalna prasa, ale sprawy okoliczności zabójstwa Mistrza Eidearda – ponownie położył nacisk – to nie jest temat by powierzać go w ręce pismaków i roztrząsać go, ku uciesze szukającej sensacji gawiedzi. Przyznam, że sam inspektor, choć sprawiał pozytywne wrażenie, trochę się chyba przy tej sprawie pogubił. Zaczął podejrzewać ojca o podwójne życie, widział w nim jakiegoś religijnego fanatyka z pokręconą psychiką a to bardzo mylne wrażenie.

– Powiedział pan Mistrza Eidearda?

– Tak – potwierdził Patryk – ojciec był założycielem i bardzo aktywnym członkiem Towarzystwa Czcieli Relikwii.

– Czego?

– Towarzystwa Czcieli Relikwii – bardzo szacownego grona ludzi o różnych profesjach i odmiennych statusach społecznych.

– Czy to ma coś wspólnego z zabójstwem?

– Wyłącznie to, ponieważ jedyną rzeczą, której w domu brak, jest bardzo stary i cenny relikwiarz, ukryty w sekretnym schowku i księga autorstwa ojca. Z kolei ta praca była przeznaczona dla wąskiego grona bractwa, działającego wewnątrz towarzystwa. Ojciec był właśnie Mistrzem tego bractwa.

– Kto wiedział o schowku?

– Z tego co oczywiście wiem, to wyłącznie ja. Przypadkowo trafić na niego – to było raczej niemożliwe. Sam nie wiem, dlaczego nie zostałem aresztowany – dodał z zaczepnym uśmiechem.

– Jeszcze nic straconego – odparował Carney i zapytał – a ta księga?

– Wyniki badań relikwiarza, opis, historia. Dla profana rzecz bez wartości.

– Dlaczego?

– Bez kodu nikt nie dojdzie prawdy, o czym jest ta księga.

– A kod też zginął?

– Nie. Ja mam kod odczytu.

– I co się stało z tą księgą?

– Nie mam pojęcia. Oryginał pewnie zabrał złodziej relikwiarza.

– Czyli morderca.

– Niekoniecznie. Mogło w tym uczestniczyć kilka osób.

Detektyw zamyślił się i przez chwilę wszyscy zajęli się swoimi szklaneczkami. Carney coraz bardziej był zaintrygowany historią. Zastanawiał się, jaką rolę może tu pełnić Charlotte. Chyba znał odpowiedź, przez co był jeszcze bardziej niespokojny.

– Wie pan co? – zwrócił się do Campbella. Bardziej dziwi mnie nie to, że pan nie został aresztowany, ale fakt, że pan jeszcze żyje.

– Wiem o tym – spokojnie zgodził się Patryk – i dlatego kopię kodu ma również mój przyjaciel – wskazał inspektora.

– Bardzo rozsądnie – pochwalił detektyw i zapytał – co to za stowarzyszenie? Zakon, sekta, tajna organizacja?

– Nic z tych rzeczy. Istnieje zupełnie oficjalnie, jest zarejestrowane i płaci podatki. Prezesem jest pewien ksiądz z parafii ojca, a cały zarząd to szanowani obywatele. Członkami są ludzie z całego świata, którzy wspierają finansowo konserwację i badania obiektów religijnego kultu. Albo sami są właścicielami niektórych z nich, albo działają przy parafiach, gdzie się znajdują. Więcej jest oczywiście tych drugich, bo ci pierwsi wywodzą się najczęściej z arystokracji i dawnych rodów rycerskich. Takie relikwie są w posiadaniu tych rodów od wieków, albo jak w przypadku ojca od niedawna, jeśli ponad pół wieku można określić jako niedawno.

– Skąd pana ojciec ją miał?

– Nie znam szczegółów pozyskania tej relikwii, wiem jedynie, że ojciec przywiózł ją jako zdobycz wojenną. Z pewnością opisał to w swojej księdze, ale bez kodu nikt jej nie odczyta.

– Na czym polega ten kod?

– Na zupełnie innym znaczeniu użytych wyrazów. Bardzo prosty i rzekłbym prymitywny, ale może dlatego skuteczny. Czytając tę księgę wydaje się, że jest ona jasna i spójna. Ojciec dał mi taką próbkę tekstu, kilkanaście zdań i kod ich właściwego odczytania. Te dokumenty są również w posiadaniu inspektora.

– Czy pan też jest członkiem stowarzyszenia?

– Oczywiście, ale jako zwykłe finansowe wsparcie – uśmiechnął się. – Daje mi to złudną nadzieję spokojnego sumienia, pewnej rekompensaty, gdyby przypadkiem ojciec zdobył ten relikwiarz, nazwijmy to podejrzenie, pokrętną drogą.

– A istnieje taka możliwość?

– Wszystko jest możliwe. Ojciec nie był przesadnie religijny. Ten relikwiarz traktował bardziej jak talizman. Ale za innych członków nie ręczę. Wiemy i z historii i z czasów współczesnych do czego nieraz prowadzi religijny fanatyzm. Osobiście nie widziałem, by w towarzystwie ojca taki dziwak się kręcił, ale członków stowarzyszenia, mniej lub bardziej aktywnych, jest kilka tysięcy.

– Dobrze – zdecydował Carney – zajmę się tą sprawą. Proszę przygotować pełnomocnictwo obejmujące wykrycie zabójcy ojca i kradzież relikwiarza. O księdze niech pan lepiej nie pisze.

– Bardzo panu dziękuję – skłonił się Patryk Campbell i podając wyjętą z kieszeni kopertę, dodał z przepaszającym uśmiechem – stosowne pełnomocnictwo, za radą Luka, pozwoliłem sobie już na wszelki wypadek przygotować.

– Naprawdę inspektorze jestem pod wrażeniem pańskiej znajomości ludzi – Carney patrzył na Friedla i sam nie wiedział, czy się śmiać, czy złościć.

– Wiem – uśmiechnął się inspektor Luke Friedel – Black mówił mi o pana opinii na mój temat, sam zresztą nie ukrywał, że ją podziela.

– Z góry przepraszam za wszystko co mówił Black. On lubi trochę przesadzać.
– Ten feler jego charakteru również mi jest znany.
– Dobrze – Carney był nawet zadowolony, że rozmowa stała się nieco luźniejsza i nie stoi między nimi żaden cień z przeszłości.

– Więc do rzeczy. Patryku, niech pan na razie nie wraca do Stanów. Wprawdzie tu może być gorąco, ale obszar Wielkiej Brytanii, jak sama nazwa wskazuje, nie jest mały i można się nieźle ukryć, zwłaszcza, jak się zna odpowiednich ludzi – spojrzął zezem na inspektora i kontynuował – niech pan pozornie odetnie się od tej sprawy. Ja wrócę do Szkocji i trochę się rozejrzę na miejscu. Dopiero potem spotkam się z panem inspektorem i mając jakieś karty w rękę spróbujemy to rozegrać. Niewykluczone, że skorzystamy z pomocy Blacka i Johna Carewa, znanego już panu dziennikarza, gdyby oczywiście trzeba było wsadzić jakiś kij w mrowisko.

– Zapomniał pan o pewnej sympatycznej damie panie prokuratorze – skłonił głowę Luke.
– Niestety inspektore, nie zapomniałem i prawdę powiedziawszy jej roli bardzo się obawiam.

W milczeniu dokończyli swoje drinki i Carney po chwili się pożegnał. Dwaj przyjaciele, Patryk i Luke, postanowili jeszcze pozostać przez chwilę, więc detektyw sam opuścił pub.

Charlotte pozornie spokojnie oczekiwała na powrót Carney'a. Właściwie nawet nie mieli czasu porozmawiać. Zaraz po przylocie zdążył się jedynie przywitać, odświeżyć i przebrać, po czym popędził na spotkanie z inspektorem. Kobieta była ciekawa wyniku tego spotkania, to znaczy decyzji detektywa czy zajmie się tą sprawą. Trochę się wstydziła tego, że jakby poza jego plecami uczestniczy w jakiejś zмовie. Wolałaby szczerą rozmowę, ale zarówno Patryk Campbell, jak i inspektor Friedel prosili, by tego nie robiła. Trudno. Stało się, po prostu go przeprosi za tę niejasną sytuację.

Wzdrygnęła się, gdy usłyszała szczęknięcie klucza w zamku i zaniepokojona weszła do przedpokoju. Carney był poważny, co wskazywało na to, że o wszystkim już się dowiedział. Otworzyła usta, by coś wyjaśnić, ale przerwał jej machnięciem ręki.

– Wiem już i bardzo się boję, do czego to doprowadzi. Wejdzmy do mieszkania, przebiorę się i spokojnie spróbujemy się nad tym jakoś zastanowić.

Carney wszedł do łazienki, a Charlotte w tym czasie przygotowała kawę. Chwilę trwało, zanim pojawił się w szlafroku i z mokrymi włosami. Z wyraźnym zadowoleniem wziął filiżankę kawy i wypił solidny łyk.

– Wybacz mi – zaczęła Charlotte – że nie uprzedziłam cię o całej sprawie.
– Dobrze zrobiłaś. Doceniam fakt, że nie chcesz wykorzystywać swojego osobistego wpływu na moje sprawy zawodowe.

– Nigdy bym tego nie zrobiła, bardziej mnie martwiło, że możesz to odebrać jako nielojalność, czy nawet spisek.

– Nie bądź niemądra. Ty i nielojalność czy spisek? Nigdy nie widziałem bardziej szczerzej i uczciwiej osoby od ciebie. Co innego mnie niepokoi.

– To morderstwo staruszka?

– Nie tylko. Mam na myśli beznamietność z jaką osoby uczestniczące w tej historii o tym mówią. Ten syn o zagrożeniu śmiercią mówi jak o czymś zupełnie oczywistym, mało tego, jest na nią przygotowany i zabezpiecza jedynie ciągłość działania jakiegoś religijnego stowarzyszenia. Z drugiej strony mówi, że ani jego ojciec, ani on sam nie są przesadnie religijni. O co tu chodzi i skąd tam znalazła się twoja osoba?

– Nie moja. To ojciec należał do Stowarzyszenia Czcicieli Relikwii.

– Tak przypuszczałem.

– Ojciec wiele razy spotkał się z Eideardem Campbellem. Jeszcze jako mała dziewczynka widywałam też jego syna. Wiem, że ojciec w testamencie zapisał stałe składki na rzecz stowarzyszenia, ale ja osobiście nie miałam z nimi nic wspólnego. Trudno mi teraz oceniać, a nawet wyjaśniać, jak ojciec traktował swój udział w stowarzyszeniu – może poważnie, może bardziej jako zobowiązanie towarzyskie. Wydawało się, że bardzo szanuje Eidearda. Wyglądało to nawet tak, jakby miał wobec niego jakiś moralny dług, ale na ten temat nic nie wiem. Podobnie rzecz się miała z kapitanem.

– Może znali się jeszcze z czasów wojny?

– Możliwe – zgodziła się Charlotte – raz coś takiego wymknęło się kapitanowi. Mówił, że jego statek został storpedowany i prawie trafił do otoczenia szczerów lądowych, co na zawsze stanowiłoby ujmę dla jego honorze, gdyby nie towarzystwo paru porządných chłopców.

– No, ta informacja już nam coś mówi.

– Co takiego?

– Że cała historia może mieć istotnie jakiś początek w zaszłych czasach. Ostatecznie kapitan i nieboszczyk Eideard sami mogą być obiektami historycznymi, jeszcze parę lat i można będzie ich objąć ochroną jako zabytki – zażartował z przekąsem.

– To dość prawdopodobne.

– Jak do ciebie dotarli?

– Myślę, że Patryk wymienił kilka nazwisk byłych i obecnych znajomych swojego ojca, inspektor Friedel skojarzył sobie nazwisko z moim i przez przypadek trafił. Nie wykluczam też innych przyczyn. Możliwe, że miały na to wpływ również inne osoby, właśnie kapitan. Kiedy pomyślał o mnie, postanowił poszukać i twojej pomocy, ale zdecydowanie mu odmówiłam. Zapowiedział jednak, że będzie z tobą szczery i o mnie wspomni.

– Obietnicy dotrzymał – wtrącił ponuro Carney – ale i tak bym się tym zajął. Sprawa wydaje się tyle tajemnicza, co fascynująca. Niestety ma jeden smutny aspekt.

– Jaki?

– Muszę cię odsunąć od siebie na jakiś czas.

– Nic z tego – odparła zdecydowanie Charlotte – ja w tej historii nie jestem całkiem z boku, mimo że ojciec nie żyje od wielu lat. Rodzice wprawdzie zginęli w wypadku, który chyba nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Tak przynajmniej do tej pory myślałam, teraz sama nie wiem. Poza tym pojawi się w tej sprawie wiele innych osób. Niektóre znasz.

– Pewnie wdowa Wilshere – pokiwał głową Carney.

– I kapitan – dodała z godnością Charlotte.

– Nie spodziewałem się jego w tym towarzystwie.

– A jednak to fakt. Stowarzyszenie Czcieli Relikwii to nie jest jakieś kółko parafialne, ale organizacja skupiająca bardzo bogatych i wpływowych ludzi. Z otoczenia wdowy z tym wszystkim powiązana jest również Mary, której ojciec z całą pewnością finansował działalność stowarzyszenia. To naprawdę bardzo ciekawe grono, świetnie osadzone w różnorodnych sferach społecznych, oczywiście bardziej poruszające się w kręgach towarzyskich czy biznesowych niż politycznych, ale i tego bym nie wykluczała.

– I skromny dziwak Eideard był Mistrzem tego bractwa bogaczy i biznesmenów?

– Jakim Mistrzem?

– Tak mówił Patryk, że istniało tam jakieś wewnętrzne bractwo!

– O niczym takim nie słyszałam. Wiem, że Eideard był założycielem i pełnił jakąś funkcję w zarządzie. Prezesem był jakiś ksiądz.

– A zatem, jeżeli Patryk nie fantazjował, w stowarzyszeniu istniała jakaś wewnętrzna

struktura, rodzaj tajnej rady, ale o tym pewnie nikt nie zechce rozmawiać.

– Myślę, że nie tylko nikt nie zechce rozmawiać, ale gdyby było w tym coś podejrzanego, w co osobiście wątpię, wtedy każdy zainteresowany zechciałby zamknąć usta nadmiernie dociekliwemu. W grę wchodzi naprawdę duże pieniądze, a są ludzie, którzy nie wytrzymują ich presji. Boję się o Patryka.

– Już mu to powiedziałem. Gdyby jednak zdarzyło się to najgorsze, to i tak zdążył przekazać inspektorowi wszystkie ważne materiały. Mówiłem ci, że beznamytnie i precyzyjnie analizuje sytuację i skutecznie uprzedza ewentualne następstwa, w tym własną śmierć.

– Teraz i ja zaczynam się bać, nie tyle o siebie, co o ciebie.

– Zobaczmy, jak będzie się ta sprawa rozwijać. Na razie wracam na miejsce zdarzenia i spróbuję czegoś się dowiedzieć. Znam dobrze okolice Tain i paru mieszkających tam ludzi, zresztą bardzo porządnym i uczynnym. Oni na pewno nie będą kluczyć, jeśli tylko coś wiedzą. Będziemy w kontakcie, a na dzisiaj zostawmy już tę sprawę.

Trzeba przyznać, że dalsze zajęcia domowe Charlotte i Carney'a zdecydowanie nie sprzyjały zajmowaniu się jakimikolwiek ponurymi i tajemniczymi sprawami.

Nieco niewyspany, ale bardzo z siebie zadowolony Carney wylądował w Inverness. Zabrał swój samochód z parkingu i już wolniej, zgodnie z przepisami wracał do domu. W skrzynce na listy rzeczywiście znalazł kilka mandatów, ale mniej niż się spodziewał. W domu nie pobył zbyt długo, bo oprócz ludzi, którzy zajmowali się posiadłością, to znaczy zarządcy, ogrodnika i ich żon, nie było nikogo. Po raz pierwszy poczuł, że ten dom jest dla niego prywatno-służbową sypialnią i że coś w nim umiera, a właściwie dawno już umarło. Dawniej posiadłość tętniła życiem, dom był pełen gwaru tak wszechobecnego podczas spotkań ojca z jego rubasznymi przyjaciółmi, jak i matki z plotkującymi sąsiadkami. Kiedyś – dźwięki kobzy i wesołe okrzyki chóralnie wznoszonych toastów, teraz cisza i pustka.

Wiedział, kto ponownie mógł tu wprowadzić nieco życia, ale na razie, żeby nie wpaść w przygnębienie, pojechał do biura.

Na miejscu w biurze zastanawiał się, co robić. Miał wprawdzie ogólny plan, przynajmniej co do kolejności czynności, ale czegoś mu brakowało. Czuł podświadomie, że sama wiedza tu nie wystarczy. Musiał wczuć się w atmosferę, zrozumieć motywację, która kierowała poczynaniami tych ludzi.

Jego wzrok zatrzymał się na wiszącej na frontowej ścianie biura starej kobzie. Zastanawiał się, czy tak jak relikwiarz dla Eidearda, ona mogłaby być dla niego talizmanem. Należała do jego dalekiego przodka, sir Artura. Bardzo lubił ten przedmiot, sądził, że motywowała go do działania i przynosiła szczęście. Ale gdyby ktoś ją ukradł, czy szukałby złodzieja po całej Szkocji i dla jej odzyskania gotów był na wszystko. Raczej nie, ponieważ kobza była wyłącznie sentymentalnym wspomnieniem.

Zatem w stosunku Eidearda do relikwiarza musiało tkwić coś bardziej szczególnego niż przywiązanie, nawet bardziej niż niewątpliwa wartość materialna. Jeśli istotnie Ei zdobył ją na wojnie, to czy przypadkiem potomek poprzedniego właściciela nie zechciałby odzyskać rodzowego skarbu.

Jak zabójca dotarł do starego Eidearda? – monologował Carney. Z tego co czytał w prasie, Ei żył raczej na uboczu, a o jego drugiej naturze z pewnością wiedzieli jedynie nieliczni, w dodatku ludzie bardzo zaufani. Zatem tylko z tego towarzystwa mogła pochodzić wiedza zabójców na temat relikwiarza i prawdziwego oblicza jego właściciela. W tej sytuacji od mieszkańców miasteczka prawdopodobnie niczego się nie dowie, ale przynajmniej oswoi się

z miejscem zdarzenia i ludźmi, którzy na co dzień przebywali z ofiarą. Postanowił pojechać do miasteczka i dowiedzieć się czegoś na temat przyzwyczajzeń i charakteru starego. Nie mógł przecież tak bez przerwy perfekcyjnie grać przed wszystkimi rólami starego ramola. Gdzieś jego rzeczywista natura musiała się ujawnić.

Kiedy tak myślał o dwóch naturach, przypomniał sobie, że żyje tam jeszcze inny dziwak. Był nim, mieszkający niedaleko Morangie, niejaki Thomas Ross. Znał go z rzadkich wprawdzie, ale na tyle bliskich relacji, jakie daje wspólny połów ryb.

Kiedyś Carney, w ramach obowiązków zawodowych, odwiedził Grenmorangie Distillery i prawie na obrzeżach zakładu spotkał Thomasa. Nieco rozbawiła go zbieżność personaliów starego z założycielem tej szacownej destylatorni i postanowił pogadać. Carney miał skłonność i talent do rozmowy z takimi ludźmi. Cenił ich prostą logikę, twarde stąpanie po ziemi i szorstką bezkompromisowość. Thomas, ku zdziwieniu wówczas jeszcze prokuratora, nieco różnił się od tego stereotypu. Był inteligentny i oczytany, widać było u niego duży dystans do ludzi i pochopnego wygłaszania osądów. A jednak, jego prosta, rzucona mimochodem rada, ułatwiła wtedy Carney'owi złapanie właściwego tropu i skuteczne zakończenie sprawy. Jednak o sobie samym nie powiedział wówczas ani słowa, ale detektyw tę wolę uszanował. Carney postanowił go odszukać.

Thomas siedział, w tym co zwykle miejscu, na podeście z wędką w ręku, a obok w wiaderku pluskało się już parę ryb. Staruszek nie okazał jakiegokolwiek zdziwienia widokiem gościa, ale wyraźnie się ucieszył.

Carney nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę na interesujący go temat. Tymczasem Thomas sam go wyręczył.

– Zajmuje się pan zabójstwem Eidearda?

– Dlaczego tak pan sądzi?

– Bo nie ma pan wędki. Poprzednio, jak pan nie miał wędki, zamknęli tu jednego faceta.

– Zgadza się – roześmiał się detektyw. – Nie mam wędki.

– Chyba nie pomaga pan miejscowej policji, lecz komuś z wyższych sfer.

– Dlaczego tak pan sądzi? – powtórzył się Carney, by ukryć zmieszanie.

– Bo McCoy do tej pory dawał sobie radę ze wszystkimi lokalnymi sprawami, zatem ta historia ma źródło w innych stronach.

– Znał pan Eidearda?

– Jedyne z poczekalni u doktora. Stary zgrywus.

– Dlaczego pan tak sądzi? – po raz trzeci zaskoczony Carney nie mógł znaleźć innego pytania, co wyraźnie bawiło starego wędkarza.

– A dlatego, że ja też jestem stary. Wiem, co to znaczy artretyzm i bolące kolana. On był tak samo chory, jak ja zdrowy.

– Widzę, że pan też jest bardzo sprawny.

– Jasne panie prokuratorze, ale on był jak czterdziestolatek. Musiało go coś trzymać przy życiu, dzięki czemu nie poddawał się starości. Coś co chciał, a nawet musiał dokończyć przed śmiercią. I to coś było niezwykle ważne. Dlatego ani McCoy, ani pan niczego tutaj nie odkryjecie.

– A gdzie?

– Tam gdzie ważniejszy jest duch niż ciało.

– To może widział pan tu jakieś obce duchy i ciała – zażartował detektyw.

– Ducha nie widziałem – podjął żart Thomas – ale faktycznie jakieś obce ciało kręciło się

tu ostatnio. I to ciało dość niezdecydowane co do środka transportu. Raz jechało furgonetką, raz motorem, raz rowerem. Piechotą nigdy.

– Ciekawe.

– Bo ja wiem, mnie by to nie zaciekawilo, ale te typki z miasteczka pewnie nie odpuścily. Dla nich kazdy obcy jest podejrzany i wart uwagi. Niech pan uwaza i na siebie, i na to co mowia, zwlaszcza o sasniadach.

– Dlaczego o sasniadach?

– Bo sie wzajemnie nie znosza i kazdy sie cieszy, jak wpakuje sasniada w klopot. Jest wtedy o czym pogadac. Ale jesli pan chce rady, niech pan im za bardzo nie wierzy. Chodzi pan do kościoła, albo do księdza? – zagadnal nagle.

– Raczej nie – przyznal Carney.

– Szkoda, bo by mi pan wytłumaczył, jak to jest nie chodzic do kościoła, a do księdza tak często.

– Ei tak robil?

– I to cale lata. Miejscowemu nie sposob bylo tego nie zauwazyć. Jesli wiec chodzilo o jakas tajemnice i skoro ksiadz zyje, a Ei nie, to niech pan nie szuka sprawcy wzród miejscowych.

– To rzeczywiście bardzo powazny argument.

– Jest jeszcze cos.

– Co takiego?

– Widzi pan – troche zawahal sie Thomas – ja mam oczy i uszy. Stary zgrywus czasami w poczekalni odbieral telefony. Nie twierdze, ze byl przesadnie rozgadany, ale czasami bial cos w obcych jezykach. A to po hiszpańsku, a to po niemiecku, raz nawet mowil cos po polsku.

– Zna pan te jezyki? – zdziwil sie Carney.

– Nie ma zakazu znajomosci jezykow – oburzyl sie Thomas – znam nawet holenderski, ale w tym jezyku nic nie mowil.

– Przepraszam – sumitowal sie detektyw – i co mowil Ei?

– Przewaznie mruozal, ale czasem powiedzial, ze sie skontaktuje zwyklym trybem.

– Co to moze oznaczac?

– To pan jest prokuratorem, nie ja – ironicznie zauwazył wędkarz – ja tu łowię ryby i nic poza tym mnie nie obchodzi. Jestem z tego zadowolony. Ryby z Morza Północnego nie zatłuką mnie kamieniem, pod tym wzgledem ja mam nad nimi przewage. Niech pan pogrzebie gdzieś za tymi zagranicznymi rozmowcami, a wyjasni pan niejedno.

Carney podziękowal starem u wędkarzowi i coraz bardziej zaintrygowany pospieszył do miasteczka.

Dotarl tam juz późnym popołudniem i zatrzymal sie przed sklepikiem Toma. Wokół bylo cicho i sennie. Młody chłopak, który sprzątal obejście, bardziej opieral sie na miotle niz robil z niej uzytek. Detektyw postanowil zaczac od niego.

Potężne cielsko Carney'a zrobilo piorunujace wrazenie na chudym i nieco zabiedzonym chłopaku, a ciemne okulary, których świadomie nie zdjal, nadawaly mu wygladu gangstera.

– Sluchaj, mlody czlowieku – zaczal bez wstepu – pamietasz zabójstwo starego Eidearda?

– Pamietam – wyjkal wystraszony mlodzienc, nerwowo ogladajac sie na wszystkie strony – ale ja nic nie wiem – dodal juz przerażony, bo w okolicy nie bylo nikogo poza nimi.

– Nie wierze – Carney przysunul sie bliżej, wyjal miotle z reki chłopaka i odrzucil pod sciane sklepu – w takiej miejscowosci wszyscy wszystko wiedza – dodal zimno. Powiem ci synu, ze Eideard mial w wojsku wielu przyjaciol, ktorzy teraz cos w tym kraju znacza. Niektorym na

wojnie uratował życie i są bardzo zainteresowani odnalezieniem zabójcy ich dobroczyńcy. Dlatego bardzo byś mi pomógł, gdybyś sobie przypomniał wszystko, co wykraczało poza normalne życie tego miasteczka. Z drugiej strony, byłoby bardzo niedobrze, gdybyś o czymś zapomniał mi powiedzieć, a gdybym przypadkiem się o tym dowiedział z innych źródeł. No więc?

– Wszystko powiedziałem policji.

– To ładnie – pochwalił Carney – ale ja ich o to nie zapytam, za to pytam ciebie.

Chciałbym jednak, byś po dobroci wydusił z siebie więcej, zanim ja wyduszę to z ciebie siłą – natarł cielskiem jeszcze bliżej, a chłopak był już całkiem spocony.

– All – rozległ się od strony drzwi groźny bas – dlaczego nie sprzątasz obwiesiu, tylko zatrzymujesz klientów, zapraszam do środka szanownego pana – gruby mężczyzna przepasany białym fartuchem wykonał zamaszty zapraszający ruch ręką.

– Przemyśl to synu, jeszcze wrócę do ciebie i pary z gęby przed glinami – syknął Carney i podszedł do drzwi sklepu.

– Czym mogę służyć? – bas właściciela tym razem brzmiał uprzejmie, ale małe, sprytne oczka grubasa uważnie taksowały obcego klienta.

Carney wybrał kilka drobiazgów, zupełnie mu niepotrzebnych, ale dość drogich, co wyraźnie ucieszyło sprzedawcę i było przyczyną wylewności.

– Jestem przejazdem – odpowiedział detektyw na pytanie sprzedawcy, co robi w takiej dziurze – ale nie ukrywam, że skręciłem z drogi specjalnie, bo czytałem w gazecie o jakimś podejrzanym zabójstwie w tej okolicy.

– To było miesiąc temu. Nie sądziłem, że ktoś jeszcze o tym pamięta – zdziwił się Tom – ale rzeczywiście zabójstwo było zagadkowe.

– Nie złapano zabójcy? – zdziwił się obłudnie detektyw.

– A kogo nasza policja mogłaby złapać. Pokręcili się, robili ważne miny, trochę pogadali z ludźmi i jak pojechali, tak już nie wrócili.

– A morderca na wolności – współczująco stwierdził Carney.

– Bo to jeden?

– Ale ten zamordował w waszej okolicy, to może jeszcze wrócić.

– Po co – wąpił sklepikarz – to spokojne i biedne miasteczko.

– Ofiarą, jak pisze prasa, też był spokojny i biedny człowiek. Podobno nic nie zginęło.

Może zabójcą jest jakiś czubek, a tacy, choć nieprzewidywalni, to na ogół udają całkiem normalnych ludzi. Ja bym tam nie był spokojny. Ale na szczęście jestem tylko przejazdem – detektyw z zadowoleniem patrzył jak małe oczka Toma robią się coraz większe, a przerażenie na twarzy staje się coraz bardziej widoczne.

– Panie, niech pan nie straszy – gruby sprzedawca zwilżył językiem wargi – kim pan w ogóle jest? Z policji?

– Z gazety – skłamał gładko detektyw, ale nie z lokalnej, tylko o znacznie większym zasięgu. Nie przyjechałem tu specjalnie. Jadę robić reportaż o ciekawostkach turystycznych Easter Ross. Pomyślałem jednak, żeby przy okazji wpaść tutaj, w okolice Tain. Może w tym zabójstwie będzie jakaś sensacja, a wasze miasteczko stanie się przez to bardziej znane. Dla pana byłoby to korzystne – kusił bezczelnie Carney. Na pewno pan wie więcej od innych, bo to chyba w tym miejscu spotyka się najwięcej ludzi.

– No pewnie, przeważnie coś tam ludzie opowiadają – powoli wyznał Tom.

– Niech pan to jakoś streści, może pan nawet nieco zmyślić, ale w miarę wiarygodnie, to dla mnie obojętne, ale doda trochę kolorytu całej historii.

– Ja tam zmyślać nie lubię, ale powiem panu coś, o czym raczej nie mówiłem, bo dowodów nie mam żadnych, ale tak mi się wydaje.

– Niech pan mówi – Carney dyskretnie włączył dyktafon.

– Stary Ei nie był taki całkiem biedny i spokojny, jak się mówi. Sprzedawca to wyczuwa od razu. Niby pytał o różne ceny i narzekał ale raczej dlatego, że tak robili inni. Płacił bez mrugnięcia okiem tyle, ile się mu powiedziało, a na resztę, którą mu wydawałem, nie spojrzął ani razu. Gdybym mu wydał pensa zamiast funta, pewnie by nawet nie zauważył. Taki to był biedak.

– Ciekawe!

– To jeszcze nic. Niby chorował, ale chciałby go pan widzieć jak łąził po wertepach. Laseczka w ręce i wędka na ramieniu, ale strumień o szerokości pięciu stóp pół roku temu przeskoczył jednym susem. Nie widział mnie, bo pewnie by poszukał węższego miejsca.

– Dlaczego udawał słabego i biednego?

– Nie wiem. Przecież nie potrzebował współczucia, bo żył jak odludek. Kiedyś, chyba z rok temu, był tu jakiś młody facet, cudzoziemiec, bo dziwacznie mówił i pytał o niego. Ale kiedy pokazałem mu przez okno, że Ei właśnie zbliża się do sklepu, bez słowa wyszedł i odjechał.

– Był samochodem?

– Nie, miał motor, taki duży i srebrny, z potężnymi kołami. Jak ruszył to zasypał żwirem cały sklep.

– Nie pamięta pan jak wyglądał?

– Zwyczajnie, jak miastowy, taki wyszczekany i patrzył na ludzi z góry. Mógł mieć z dwadzieścia, góra trzydzieści lat, trudno poznać. Kawał chłopca, skórzane ubranie, wysokie buty, rękawice i kask. Wszystko czarne, choć na rękawicach miał wymalowane na czerwono litery N i A, takim dziwacznym, starym pismem.

– Ludzie go widzieli?

– No pewnie. Ten mój obwieś prawie nos wsadził w ten motor, a i parę osób też tu było. Ojciec Glorii pił piwo przy tamtym stoliku, była też Berta, wyjątkowo wścibska baba. Kto jeszcze, tego nie pamiętam, ale chyba nikt. Ei dopiero się zbliżał, a on był tu pierwszy.

– To było rano?

– Bardzo wcześnie. Bob wracał z polowania, a Berta mówiła, że nie może rano spać. Ciekawe kiedy może, skoro cały czas czyha za firanką, licząc na skandale u sąsiadów.

– Nie pojawił się więcej?

– Kto, ten typ na motorze?

– Tak.

– Nigdy go już nie widziałem, chwała Bogu. Nie wyglądał na sympatycznego gościa, nawet nic nie kupił – głos grubasa zabrzmiał teraz wyjątkowo markotnie.

– Dzięki na razie i za to, co mi pan teraz powiedział. Wpadnę tu jeszcze może za tydzień, niech pan poprosi ludzi, by sobie coś przypomnieli, nawet jak było to dawno. Zrobimy fajny reportaż, może nawet do The Times.

– O cholera! To by było coś. Niech pan przyjedzie. Na pewno coś pan usłyszysz.

Carney pogratulował sobie pomysłu odwiedzenia zarówno Thomasa, jak i mieszkańców miasteczka. Nie przypuszczał, by kiedyś tam jeszcze wrócił, ale nic nie wiadomo. Obiecał dokument w The Times, więc dokument o tej okolicy będzie. Już on potrafi to na Johnie wymusić, a co do walorów tej okolicy, to jest o czym pisać.

Teraz jednak należało zająć się zasadniczym problemem. A zatem był ktoś, kto interesował się starym Eideardem. I to w dodatku jakiś cudzoziemiec. Nie przeciągał struny

w rozmowie z mieszkańcami. Solidnie przestraszył chłopaka i skusił sklepikarza. Dał im tyle do myślenia, że wystarczyło teraz z kolei dać im nieco czasu i spokojnie czekać na rezultaty. Postanowił co prędzej porozumieć się z policją, zanim inną drogą dotrze do nich, że za czymś węższy. Należało pokazać im pełnomocnictwo i poprosić o pomoc. Tak otwarte stawianie sprawy zawsze pomagało, to wiedział z doświadczenia.

Inspektor Brian McCoy okazał się porządnym chłopem, typem solidnego, prowincjonalnego policjanta. Oświadczył, że z tej sprawy, nie rozumie nic, śledztwo utknęło i może być wznowione, gdy wypłyną nowe okoliczności. Podzielił się jedynie przypuszczeniami, że złodziej dokładnie wiedział, czego ma szukać, a zatem było to włamanie na zlecenie. Zabójca zapewne nie przypuszczał, że stary nie śpi i zabił go w panice, może chciał tylko ogłuszyć. Kamień, którym rozbito staremu głowę, miał chyba służyć do wybicia szyby, ale okno, jak się okazało, było uchylone.

Detektyw bardzo wątpił w takie wyjaśnienie, wydawało się, że inspektor też.

Kamień był dość solidny i został zabrany do wnętrza mieszkania, co przy otwartym oknie było zbyteczne. Zabójstwo było więc zaplanowane, ale dlaczego akurat za pomocą kamienia? – zastanawiał się Carney – to przecież wymaga bezpośredniego kontaktu i daje ryzyko uprzedzenia zamiarów zabójcy, choćby przy pomocy broni palnej, a stary żołnierz, mógł ją przecież posiadać i na pewno potrafił się nią dobrze posługiwać. Ponadto Eideard został zabity w swojej izdebce, zatem zabójca mógł wejść drzwiami, a wyjść oknem. Tego już chyba nie uda się ustalić, bo śladów włamania nie było.

Jak wynikało z protokołu oględzin, pod oknem roilo się od śladów, nieco wypłukanych przez deszcz padający tego ranka, ale wiadomo, że byli tam: chłopak z dziewczyną, ojciec Glorii i tajemniczy cyklista. Może jeszcze ktoś, o kim nikt nie wiedział, lub nie chciał mówić.

Było coraz więcej niewiadomych, o czym zresztą inspektor szczerze mówił, ale niestety, co również wyraźnie zaznaczył, nie miał żadnego punktu zaczepienia. Zrobiły co mógł – zebrał materiały i przekazał je zwierzchnikom. Teraz zajmował się swoimi bieżącymi sprawami, a miał ich bez liku. Będzie wdzięczny detektywowi za każdą informację i pomoc w tej sprawie.

Dzięki temu Carney uzyskał dostęp do protokołów przesłuchań i oględzin miejsca zdarzenia. Niewiele mu to dało. Te same wiadomości znał już wcześniej z prasy i z tego, co mu powiedział Patryk.

Jedynym osiągnięciem było to, że dostał wolną rękę od policji i zgodę na przeszukanie domu starego, na co zresztą zgodził się też Patryk jako aktualny właściciel i wręczył mu klucze. Ponadto Carney wiedział dużo więcej niż policja.

Nie podjął jednak decyzji o przeszukaniu mieszkania. Nie chciał zrywać pieczęci, ponieważ nie zrobiłby tam nic wielkiego. Niestety był sam, a przeszukanie zbiorów starego to była niewąska robota. Po raz pierwszy teraz pomyślał, że w tej pracy pomoc Charlotte byłaby nieoceniona. Kobieta jako doświadczona bibliotekarka знаła się na dziełach sztuki, w dodatku była już wprowadzona w sprawę, a przede wszystkim Carney miał do niej absolutne zaufanie.

Za kilka dni mieli się spotkać, by spędzić święta i dwa tygodnie urlopu, jaki sobie zaplanowała. Ładny urlop – pomyślał z sarkazmem – z deszczu pod rynnę, z jednej biblioteki do drugiej. Wiedział jednak, że będzie mu wdzięczna za okazane zaufanie i że chętnie się tego podejmie. Podniesiony nieco na duchu tą myślą, opuścił posterunek policji.

Peter Schmidt sunął swoim wiśniowym mercedesem w kierunku Monachium, ale tak naprawdę zamierzał dotrzeć do Berlina. Mógł wprawdzie lecieć z miejscowego lotniska, ale miał

do załatwienia swoje sprawy w Monachium, gdzie zresztą mieszkał. W warsztacie korzystał jedynie z niewielkiego pokoju, choć dom należący do niego i jego siostry, był bardzo solidny i zadbane, to on miał to gdzieś. Jego rodziną nie była siostra policjantka, ale prawdziwi patrioci, wierni dawnym, rycerskim ideałom, a nie ludzie słabi i zniewieściali, którzy nie mieli niezłomnego ducha.

Był zdenerwowany wiadomościami otrzymanymi od swojego włoskiego rozmówcy. Ta historia mogła pokrzyżować wszystkie ich plany. Stanowczo ani Hans, ani Bruno nie byli najlepszymi ludźmi do wykonania tej, wydawało się, prostej roboty. Wprawdzie dość łatwo, namierzyli starego, nawet udało się podejrzeć skrytkę i sposób jej otwierania oraz miejsce ukrycia księgi, ale kto mógł przypuszczać, że stary dokonał tak sprytnej zamiany.

Po co i kiedy to zrobił? Jakim cudem zorientował się, że ktoś go obserwuje? Dlaczego w takim razie po prostu nie zwiął? Hans był tam w zeszłym roku, zaś Bruno miesiąc temu zamieszkał w miejscowości oddalonej od starego o ponad pięćdziesiąt mil, gdzie założył firmę transportową. Jeździł po całym okręgu i raczej nie mógł budzić podejrzeń, gdziekolwiek by się nie zjawił.

Peter był coraz bardziej wściekły, a w takim stanie był groźny dla każdego. Coraz mocniej naciskał pedał gazu i po kolei wyprzedzał sunące autostradą samochody. Wiedział, co usłyszy od Hermana. Będzie musiał ukarać, najprawdopodobniej zlikwidować i Hansa, i Bruna. Jeżeli stary się zorientował, to są spaleni, bo przed śmiercią zdążył się tą wiedzą z kimś podzielić. W takim razie należało przeciąć cały kanał.

W organizacji NA nie tolerowano błędów i fuszerek. Hans i Bruno też o tym wiedzieli – trzeba będzie na nich uważać.

Jechał coraz szybciej i nawet nie zauważył, gdy prawie pod maską pojawił mu się motocykl. Zaskoczony zareagował instynktownie i był to ostatni manewr w jego życiu. Wiśniowy mercedes, odbity od barierki przedzielającej pasy autostrady, przeokoziłkował kilkakrotnie i stanął w płomieniach. Motocyklista jakby wcale nie zauważył kraksy i pojechał dalej.

W wieczornych wiadomościach Herman usłyszał o kraksie wiśniowego mercedesa na autostradzie pod Monachium. Mimo że nie podano personaliów, ani przez chwilę nie wątpił, kim jest kierowca, ponieważ czekał na niego od przeszło ośmiu godzin. Świadcowie, jeden przez drugiego mówili, że był to wypadek, bo kierowca jechał jak szaleniec. O motocyklu nikt nie wspominał.

Herman zasępił się, bo w ten sposób stracił kontakt z grupą w Norymberdze, nie wiedział tym samym, kogo obwinić za fiasko sprawy relikwiarza, a na dobrych relacjach z Benito bardzo mu zależało. Wydawało się, że w tej sprawie wszystko trzeba będzie zaczynać od początku.

Wycofania się Włocha raczej się nie obawiał, bo ten sprawę relikwiarza traktował jako osobistą i honorową. Herman nigdy nie pytał dlaczego, było mu to obojętne. Bogaty Włoch, szanowany finansista, był mu potrzebny.

Podobnie miała się sprawa z Nakayamą. Ten przedsiębiorca z branży elektronicznej, potomek samurajów, wydawało się, że był szczerze oddany i wierny porozumieniu. Mieszkał w Tokio, ale prowadził interesy prawie w całej Azji i znacznej części USA.

Sam Herman też nie należał do biedoty. Potomek pruskich ziemian miał do dyspozycji pokaźne konta w bankach szwajcarskich. Pochodziły one wprawdzie nie z uprawy ziemi, ale głównie ze zdobyczy wojennych i zostały pomnożone dzięki dostawom dla wojska, ale on też potrafił je pomnażać, w całkiem legalny, choć nie do końca etyczny sposób.

Teraz przez głupią wpadkę w Szkocji stworzenie finansowo-politycznego imperium

mogło spalić na panewce. Skoro tak prostej sprawy nie potrafił załatwić, kto zaufa mu w znacznie poważniejszych sprawach.

Zasępił się i po chwili sięgnął po słuchawkę telefonu. Powinien zrobić coś w sprawie relikwiarza. Nie wiedział kim jest Jerry, o którym mówił mu kiedyś Peter, ani jak się z nim porozumieć, ale teraz po śmierci Bruna i tak nie miało to znaczenia. Postanowił sam swoimi kanałami zrobić coś w tej sprawie, i to jak najprędzej, zanim zrobi to ktokolwiek inny. Miał nadzieję, że Benito doceni jego zaangażowanie, choć niestety w znacznej mierze musiał radzić sobie sam. Dla Hermana teraz najważniejsze było odszukanie tych durniów, którzy spartolili sprawę w Szkocji.

Postanowił zadzwonić do Johana.

Ksiądz Marco bardzo się ucieszył z wizyty Carney'a. Zaprosił go do swojego biura i poczęstował kawą z odrobiną koniaku. Na pytanie o swoje imię potwierdził, że jest z pochodzenia Włochem. Urodził się na Sycylii w Palermo, tu na obczyźnie stara się modlić i odpokutować za grzechy swoje, swoich przodków i rodaków, mających bardzo gwałtowne charaktery i sporo na sumieniu.

– Niech mi ksiądz powie, co to za cenną relikwię miał pan Campbell.

– Kto? – zdziwił się ksiądz.

– Pan Eideard Campbell

– A tak zapomniałem – przeprosił ksiądz. – Dla nas był to po prostu Ei. Co do relikwii, to jej patronem był święty Marek.

– Skąd ją miał?

– Przywiózł z tułaczki wojennej. Nie wiadomo czyją była wcześniej własnością, ale jej autentyzmu, niepodobna było podważyć. Zbadano ją bardzo dokładnie, stara robota z około XIII wieku, autentyczne kamienie i napis „ta ręka pisała ewangelię” w języku koptyjskim. Żaden kościół nie potrafił jednak udowodnić praw do jej posiadania.

– To zadziwiające?

– Owszem – westchnął ksiądz – ale jest to nawet wytłumaczalne. W tamtym rejonie nie było dla chrześcijan zbyt bezpiecznie, a już chwalić się podobnym skarbem, to jak wydać na siebie wyrok. Tak więc przypuszczam, że kryje się za tym jakaś tajemnica, może tragedia, ale kiedy pytałem, Ei tylko machał ręką i obiecywał, że kiedyś wszystko się wyjaśni. Teraz mam co do tego wątpliwości.

– Szkoda, że taka relikwia i cenny zabytek dostały się w zbrodnicze ręce.

– Owszem, jednak Pan Bóg nie dopuściłby do tego, bo to byłaby prawdziwa tragedia.

– Byłaby? – Carney był przekonany, że źle usłyszał.

– Panie Carney – cicho, ale uroczyście zaczął ksiądz – nie mówiłem o tym nikomu, bo po pierwsze obowiązywała mnie tajemnica spowiedzi, a po drugie nikt nie pytał mnie, a ja miałem pewien żal, że nikt zbyt poważnie nie interesuje się śmiercią Eidearda. Relikwia nie zginęła.

Ksiądz wstał i podszedł do ściany. Uchylił wielki obraz Madonny i odsłonił ukryte pancerne drzwi schowka. Z kieszeni wydobył pęk kluczy i otworzył ogniotrwałe drzwiczki. Przeżegnał się i wyjął z wnętrza zwykły gliniany garnek. Położył go na stole i wyszeptał – w środku znajduje się relikwia świętego Marka.

Carney siedział osłupiały i patrzył na księdza z niedowierzaniem. Potem przeniósł wzrok na niepozorny garnek i niepewnie zagadnął:

– A relikwiarz?

– Niestety nie wiem, co się z nim stało – po chwili wahania dodał – stary Ei wówczas

powiedział mi jedynie, że bez odpowiedniego nabożeństwa otworzył relikwiarz. Istniało niebezpieczeństwo jego utraty i jak mógł zabezpieczyć jego zawartość. Postanowił z tego powodu przystąpić do spowiedzi. Byłem zdziwiony, bo nigdy tego nie czynił, ale teraz wiem, że po prostu chciał pod tajemnicą spowiedzi przekazać mi istotne informacje i samą relikwię. To on kazał wykonać ten schowek, ale o samym relikwiarzu nie mówił nic.

– Kiedy to było?

– Dawno, jakoś tak w zeszłym roku, może trochę później. Teraz, po jego śmierci, mogę panu o tym powiedzieć, ufając, że nawet jeśli nie pomoże to znaleźć mordercy, to jakoś przynajmniej rzuci światło na złożoność sprawy.

– Być może – z roztargnieniem potwierdził Carney, przypominając sobie motocyklistę. Być może Tom powiedział mu o pytającym o niego obcokrajowcu i stary podjął odpowiednie kroki. Może litery NA powiedziały mu więcej niż detektywowi. Może ksiądz też coś wie.

– Czy ksiądz orientuje się, co oznaczają stylizowane na gotyk litery NA.

– Nie mam pojęcia – odparł zdumiony ksiądz.

– Ja niestety też nie, ale gdyby ksiądz coś takiego zobaczył, proszę mnie zawiadomić i zachować wówczas ostrożność.

– Oczywiście, choć nie wiem co mogłoby mi grozić.

– Czy zna ksiądz jakichś znajomych Eidearda z Hiszpanii, Portugalii albo z Polski?

– Osobiście nie znam, ale wiem, że miał bardzo wielu znajomych na całym świecie.

Niech pan się nie dziwi, przecież stowarzyszenie jest organizacją międzynarodową, należą do niego nawet Hindusi i Filipińczycy, dużo Amerykanów i wielu, bardzo wielu innych cudzoziemców.

– Mówi pan o darczyńcach.

– Nie tylko, mówię o członkach i sympatykach stowarzyszenia. Relikwie rozproszone są po całym świecie, ponadto wiele z nich nadal jest gdzieś ukrytych lub zaginęły w wojennych zawieruchach. Wielu właścicieli być może nawet nie wie, co ma w swoich zbiorach. Eideard do takich ludzi docierał.

– I być może komuś z nich to nie odpowiadało, kto wie jak daleko w swoich poszukiwaniach dotarł stary Ei i co z tego powodu może jeszcze komuś grozić.

– Myśli pan zatem, że to nie koniec nieszczęść?

– Obawiam się, że to dopiero początek. Lepiej nikomu nic nie mówić o relikwiach świętego Marka, a relikwiarza poszukam sam. Szkoda, że zaginęła księga.

– O tym nie wiem nic, choć Ei dawał do zrozumienia, że jest ktoś wtajemniczony w jej treść. Niestety, nie wiem kto.

– Coraz bardziej jestem przekonany, że pan Campbell nie zabrał swoich tajemnic do grobu, ale świetnie zmaćcił tropy.

Ksiądz z namaszczeniem wziął garnek skrywający relikwie i zamknął ponownie w skrytce.

– Wie pan co – zagadnął, gdy ponownie usiadł przy stole – może to dziwne, a nawet niestosowne, ale wydaje mi się, że ten garnek bardziej pasuje do skrywania relikwii świętego niż szczerozłote pudło. W tej prostocie jest siła ducha, a nie blask i pycha materii. Ei też to chyba rozumiał, bo miał dość innych cennych przedmiotów, a jednak wybrał prosty garnek, którego z pewnością w swoich zbiorach nie posiadał.

– Czy myśli ksiądz, że ma to jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie wiem. Nie znam się na garnkach ani, prawdę mówiąc, na zabytkach. Ei gdyby chciał dać jakąś wskazówkę, pewnie by ją dał komuś, kto mógłby się w tym zorientować. Ja nie byłbym właściwą osobą.

– Może liczył na kogoś, komu ksiądz tę relikwię pokaże. Kto mógłby to być?
– Nikt mi nie przychodzi do głowy. Być może ktoś miał instrukcje, by po jego śmierci do mnie się zgłosić ze stosownym uprawnieniem.
– Ja takich nie miałem.
– Miał pan – zaprzeczył z uśmiechem ksiądz – przychodzi pan z ramienia syna zmarłego. To mnie upoważniło do szczerości, ale jeśli pana proszę o nie rozpowszechnianie tej wiadomości, to tylko dlatego, że pan sam mnie o to prosił.
– Tak czy siak, muszę jakoś ten relikwiarz odzyskać, zanim dotrą do niego inni, może i sam morderca. Każdy posiadacz tego relikwiarza jest teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Muszę księdza prosić o dostęp do danych stowarzyszenia.
– Niestety, laptop przekazałem nowemu księgowemu, ale inspektor zrobił mi kopię zapisu całego dysku, tak to nazwał. Mogę panu ją wypożyczyć i tak nie umiałbym z tego skorzystać.
Ksiądz ponownie wstał i podreptał do niewielkiej szafki. Z namaszczeniem wyjął niewielki przedmiot i podał detektywowi.
– Jak to możliwe, że dane z dużego urządzenia można zamknąć w takim pudełeczku – zdziwienie księdza na widok pendrive nie miało granic.
Carney z uśmiechem zapewnił księdza, że można tam zmieścić zapewne dużo więcej i bez specjalnego nabożeństwa schował pendrive do kieszeni marynarki, po czym pożegnał księdza, ponownie zalecając mu ostrożność.

Idąc śladem śledztwa prowadzonego przez inspektora McCoya, wstąpił do lekarza, na którego posesji nadal stał samochód starego Eidearda. Doktor nawet się nie zdziwił wizytą Carney'a, bo ciągle liczył, że ktoś wreszcie się zainteresuje drogim bądź co bądź samochodem. Kluczyk, dokumenty i zgodę na odebranie samochodu również wręczył mu Patryk. Nie spodziewał się wprawdzie znaleźć w jego wnętrzu nic ważnego, ale ten staruszek już tyle razy go zaskoczył, że niczego z góry nie zakładał. Tym razem lekarz musiał przechować samochód detektywa, ale nie miał nic przeciwko temu. Widać był przyzwyczajony do różnych ludzkich dziwactw.

Jednak wizyta u doktora nie była całkowicie bezowocna. Po wstępnych zwyczajowych uprzejmościach gospodarz wyjawiał detektywowi pewną nurtującą go myśl.

– Widzi pan – zaczął zmieszany – nie mówiłem o tym policji, bo nikt mnie nie pytał, ale potem pomyślałem, że może to być ważne.

– Co takiego? – zaciekał się detektyw.

– Podczas jednej z wizyt pana Campbella, a było to niecały rok temu, zapytał mnie, czy nie znam jakiegoś zdolnego artystę plastyka pracującego w metalu. Powiedział mi, że chciałby sporządzić kopię pewnej pamiątki rodzinnej. Nie zdziwiło mnie to pytanie, ponieważ Eideard lubił i posiadał ładne przedmioty, więc być może chciał mieć jakąś kopię, choć nie wiem po co. Z drugiej strony ja też kolekcjonuję wyroby z kategorii metaloplastyki współczesnej, więc podałem mu adres znanego mi artysty i na tym sprawa się zakończyła. Czy z niej skorzystał, tego nie wiem, ale słysząc, że zginął jakiś cenny relikwiarz, zastanawiam się, czy aby złodziej nie skradł kopii.

– To możliwe – ostrożnie przyznał detektyw – ale na pana miejscu nikomu więcej bym o tym nie mówił. Ta sprawa jest naprawdę paskudna i istnieje realne niebezpieczeństwo, że mordercy dołożą wszelkich starań, by osiągnąć swój cel. Niestety nie znamy tego celu, więc lepiej zachować daleko idącą ostrożność, niż okazać nawet minimalne lekceważenie. Kim jest ten plastyk i gdzie mieszka?

– Ten młody człowiek mieszka w Edynburgu, a pracuje jako renowator dzieł sztuki

w jednym z muzeów. Bardzo zdolny artysta. Dam panu adres.

– Proszę mi powiedzieć panie doktorze, czy pan Eideard nie był ostatnio jakiś zdenerwowany, obawiał się czegoś?

– Przeciwnie – zapewnił doktor – właśnie ostatnio powiedział mi, że teraz nareszcie odzyskał spokój, którego przez całe lata mu brakowało. Doprawdy nie wiem, co miał na myśli, zważywszy na to, co się później wydarzyło.

– Zdaje mi się, że wiem – powiedział jakby do siebie detektyw, ale mimo pytającego spojrzenia lekarza, nie powiedział niczego więcej.

Carney zastanawiał się, co dały mu dotychczasowe ustalenia. Przede wszystkim wiedział o istnieniu międzynarodowego stowarzyszenia, ale coraz bardziej był przekonany, że w jego łonie była jakaś wewnętrzna struktura, może nie tyle tajna, co mniej oficjalna. Po drugie stary Eideard, kiedyś lub obecnie, musiał uczestniczyć w czymś, czego ktoś co najmniej nie pochwałal albo wręcz nie życzył sobie, by było kontynuowane. Jeśli tak, to Ei nie był sam i niebezpieczeństwo mogło grozić innym ludziom związanym z tajemnicą, nie wyłączając samej Charlotte. I wreszcie po trzecie, tajemniczy relikwiarz, który nie wiadomo czy nadal znajduje się w skrytce i najważniejsze, komu i dlaczego mogło zależeć na jego zdobyciu. Postanowił właśnie na te pytania jak najprędzej znaleźć odpowiedzi.

Podczas powrotnej drogi do Munlochy detektyw tak miał zaprzątniętą głowę różnymi myślami, że opamiętał się dopiero w chwili, kiedy zatrzymał się przed swoim domem. Z niedowierzaniem patrzył, jak z okna na parterze szczyrzył do niego zęby inspektor Black.

Benito Perugia z niesmakiem, ale i pewnym zainteresowaniem, oglądał kopię relikwiarza. Początkowo był wyłącznie wściekły i w takim nastroju zadzwonił do Petera.

Tę porażkę odebrał jako osobistą zniewagę, a osobistych zniewąg nie wybaczał. Relikwiarz, który przecież jakby był w posiadaniu rodziny Perugich, po prostu zniknął. Ojciec, na wzór średniowiecznego rycerza, zdobył go na wojnie, wydarł z niegodnych rąk i postanowił przywieźć do Rzymu, tam gdzie było jego właściwe miejsce. Niestety, stało się inaczej. Ojciec został zamordowany, a święty przedmiot skradziony. Na długie lata.

Kiedy niespodziewanie jakieś nieznane stowarzyszenie opublikowało informację, że poszukują właścicieli relikwiarza, odczuł wręcz ekstazę. Poznał go od razu. Matka tak była przywiązana do klejnotu, że obiecał jej na łożu śmierci dołożenie wszelkich starań, aby odzyskać go dla rodziny. Dzięki temu został jedynym spadkobiercą całego majątku. Przez długie lata, jak świętość, jego matka przechowywała zarówno fotografię ojca, na której trzyma w rękę relikwiarz, jak i list, w którym opisał okoliczności jego zdobycia. Obie pamiątki spoczywały w sejfie w banku, ale Benito sporządził ich fotokopie i ukrył w rodzinnym schowku. Niestety ani list, ani fotografia, nie nadawały się do udowodnienia własności, a nawet w tych zepsutych czasach, gdzie honor nic nie znaczył i jedno, i drugie mogło być dowodem raczej oskarżenia niewinnego niczemu ojca. Ale matce przysięgę złożył. Perugia nie lekceważył przysięg.

Przez wiele lat śledził wojenne losy ojca i po pewnym czasie doszedł do istotnych wniosków. Znalazł kilku ludzi, z oddziału ojca, którzy potwierdzili pewne fakty, ale o samej śmierci ojca wiedzieli niewiele. Podobno z jego ostatniego patrolu nikt nie ocalał. Dopiero w Niemczech trafił na bardziej wiarygodne ślady. Udokumentowane. Nie po raz pierwszy przekonał się, że jego rodacy, w porównaniu z Niemcami, okazali się bardziej nieporządni, jeśli chodzi o archiwa i pielęgnowanie pamięci o bohaterach. Dowiedział się z archiwów, że to mordercy jego ojca, otrzymali wówczas medale za waleczność i zasługi dla wojsk aliantów.

Poznał również nazwiska tych zbrodniarzy. Nikt nie krył jawnego bezwstydu i honorowania zbrodni.

Ale prawda wyjdzie wkrótce na jaw – syczał wówczas przez zaciśnięte ze złości zęby. Dlatego tak szybko przyłączył się do Hermana, choć nie rozumiał jego pełnej szacunku postawy w stosunku do Nakayamy. Ostatecznie zbyt częstych kontaktów z nim nie miał, za to z jego pieniędzmi i owszem.

Jeszcze raz spojrzął na kopię relikwiarza. Nieźle zrobiona – pomyślał z uznaniem. - Może by zrobić odwrotnie i wykonać ją w szlachetnych kruszczach, a jako relikwii użyć fotografię i list ojca?

Przyczepił się tej myśli i postanowił, że zrobi to, nawet jeżeli odnajdzie oryginał.

– To będzie znakomity symbol pamięci dla ojca – prawdziwego współczesnego krzyżowca.

Nie porzucił jednak całkowicie planów zdobycia oryginału i pomyślał, że właściwie jedynym śladem jest syn starego Eidearda, Patryk Campbell. Mógł go łatwo dostać w Stanach, ale wolał nie czekać aż opuści Wyspy Brytyjskie. Jeżeli syn wpadł na ślad oryginału albo, co też prawdopodobne, już go miał, to trzeba było jak najprędzej go namierzyć.

A to wcale nie musiało być proste, jako że od pogrzebu minęło już zbyt wiele czasu, a pan Patryk jakby zapadł się pod ziemię.

Carney odwiedził plastyka w jego pracowni konserwatorskiej w Edynburgu. Artysta doskonale pamiętał zamówienie, raz że oryginał był precyzyjnej urody, a dwa że klient życzył sobie wykonania nie jednej, a dziesięciu kopii. Chętnie wyjaśnił szczegóły zamówienia i pokazał jedną z kopii, którą starszy pan pozostawił mu na pamiątkę. Na sugestię Carney'a, że chętnie by ją nabył, oświadczył, że chętnie mu ją sprezentuje, jako że została zapłacona, a on w kopiach, nawet wykonanych własnoręcznie, raczej nie gustuje. Ma wystarczająco dużo do czynienia z cennymi i pięknymi oryginałami.

– Nie pytał pan staruszka, po co mu tyle kopii?

– Jakoś było mi głupio. Nie widziałem w tym żadnego podejrzanego zamiaru, tym bardziej, że klient wyraźnie zażyczył sobie wygrawerowania na dnie szkatułki informacji: „kopia relikwiarza z XIII wieku”. Sądzę jednak, że oryginał był o wiele starszy. Poza tym staruszka rekomendował doktor Munk, a nie słyszałem, by kiedykolwiek zadawał się z oszustami. Miały to być prawdopodobnie pamiątki, albo jakieś wyszukane kasetki na bibeloty. Robota, przy zastosowaniu dzisiejszych technik, była prosta i szybka. Te dziesięć kopii zrobiłem w niecały miesiąc, a zarobiłem tyle, co przez rok orki w tej pracowni, gdzie naprawdę trzeba się przyłożyć. Żeby uspokoić sumienie tak wysoką gratyfikacją, postarałem się o solidne złocenie i zamówiłem dobrej jakości imitacje kamieni dla tego cacka. Zresztą widzi pan efekt.

– Rzeczywiście jestem pod wrażeniem.

– Większość to robota metodą mechanicznej obróbki i odlewów, a nie rzeźbienia, kucia czy rytowania ozdób. Jak mówię, prawie taśmówka.

– Nie ma pan pojęcia, co chciał z tym zrobić?

– Nic nie mówił, ale zwrócił się z jeszcze innym zamówieniem, ale rozumie pan, nie wszystko mogę powiedzieć.

– Czy to tajemnica?

– Bo ja wiem? Samo zamówienie chyba nie, ale szczegóły są objęte tajemnicą handlową.

– Niech pan powie chociaż to, co pan może. Obiecałem synowi Eidearda wyjaśnienie okoliczności śmierci jego ojca i wszędzie natrafiam na mur tajemnicy.

– No dobrze – zgodził się plastyk – otóż pan Ei planował wykonanie nowego relikwiarza i pytał mnie o różne szczegóły techniczne. Przyniósł jego projekt. Przyjąłem zamówienie. To wszystko co pan może ode mnie usłyszeć.

– Ale przecież nie żyje! – zwrócił uwagę detektyw. – Czy zamówienie wobec tego jest nadal aktualne?

– Pan Eideard liczył się z tym, że ma ponad osiemdziesiąt lat – zauważył z godnością artysta – i podjął pewne decyzje na wypadek jakiegoś nieszczęścia.

– O tych zabezpieczeniach pewnie się nie dowiem – zauważył z uśmiechem detektyw.

– Ma pan absolutną rację.

– Zostawmy to – zgodził się Carney. – W każdym razie, jeśli chodzi o losy kopii, nie wie pan nic na ten temat?

– Głupio było pytać, jak już mówiłem, ale dowiadywał się, czy znam dobrego kopistę. Miał jakiś rękopis i chciał wykonać jego wierną kopię. Zdziwiło mnie to, bo dzisiaj takie rzeczy robi się za pomocą komputera czy kserokopiarek, ale dałem mu adres jednej koleżanki, która pracuje przy rękopisach w British Museum. Nie widziałem tego dokumentu.

– Niech pan do niej zadzwoni, czy miała takiego klienta, a jeśli tak, to czy mógłbym ją odwiedzić albo chociaż o coś zapytać.

Plastyk był uczynnym człowiekiem, więc w ciągu dziesięciu minut Carney otrzymał dokładną relację, po wysłuchaniu której, miał coraz bardziej zatroskaną minę. Teraz już wiedział, że bez współpracy z Charlotte, nie posunie się ani o krok dalej, więc zaraz się z nią połączył i poprosił o przysługę.

W ten sposób kobieta otrzymała od Carney'a pierwsze zadanie i została wciągnięta w sam środek zdarzeń.

Wczorajsza wizyta inspektora Blacka utwierdziła go w przekonaniu, że angażując Charlotte uczynił dobrze, choć nadal miał pewne wątpliwości. Pytał oczywiście Blacka, co go sprowadza, a stary przyjaciel obłudnie deklarował, że był akurat przejazdem, w co Carney oczywiście nie uwierzył, z kolei Black wcale się nie zaklinał, że to prawda. Jak zwykle jowialnie i z lekką ironią opowiadał ploteczki, ale dziwnie związane z wąskim kręgiem osób. Wreszcie przeszedł do sedna i wyjąkał, że odwiedził go stary kapitan Blackwood.

Carney dobrze znał kapitana, często spotykali się w Port Glasgow Golf Club. Bardzo go lubił, choć stary wilk morski nieco protekcyjnie traktował ludzi. Może tak było z racji wieku, bo choć trzymał się znakomicie, miał już chyba około osiemdziesiątki. Tak jak Eideard – pomyślał zaskoczony i zapytał Blacka, czy mogli się znać.

Inspektor potwierdził i dodał, że służyli w jednym oddziale. Tego właśnie dotyczyło spotkanie.

– Czego chciał? – zapytał z nadzieją, że coś ruszy.

– Żebym ciebie przekonał do wyjaśnienia sprawy zabójstwa Eidearda.

– Rychło w czas.

– To było dwa tygodnie temu.

– Aaa, rozumiem teraz, że to ty rozpętałeś intrygę.

– Wcale nie, ja tylko pochwaliłem Friedelowi pomysłu zaangażowania ciebie. Wszystko było tak, jak przebiegało w rzeczywistości. Muszę tylko dodać, że i kapitan, i wdowa Wilshere namawiali Charlotte, by przekonała cię do włączenia w sprawę. Odmówiła im tak samo grzecznie jak inspektorowi, tyle że on był znacznie mniej subtelny i o jej udziale ci powiedział.

– Boję się, że bez niej daleko nie zajdę w tej sprawie. Tu wszystko kręci się w klimatach, o których niewiele wiem. Nie chcę nikogo wtajemniczać, ekspertów nie mam, a Charlotte zna się

i na literaturze i na sztuce.

– Jestem pewien, że okaże się bardzo przydatna – zapewnił Black. – Trzeba się jednak dobrze pilnować. Inspektor Brian McCoy dotarł być może do owego rowerzysty. Jeśli tak, to mamy go pod ręką, ale może być cholernie groźny.

– Myślałem, że całkiem odpuścił – zdziwił się detektyw.

– Brian McCoy? – zaśmiał się Black. – Nigdy! On jeszcze nikomu niczego nie odpuścił. Jestem pewien, że zrobił na tobie wrażenie całkowitego ciamajdy, tak jak kiedyś Friedel. Chłopie, czy ty myślisz, że ja zadaję się z byle jakimi łachudrami. Jeśli tak, to współczuję twojemu poczuciu własnej wartości.

– Wcale tak nie myślę – zdenerwował się, ale i nieco zawstydzził Carney – tylko nie wiem, po co mnie trzeba było robić w trąbę.

– Wcale nie robił. Oficjalnie śledztwo jest zawieszona, nie może posłać nikogo do grzebania w tej sprawie, bo nie ma tylu ludzi. Dał ci wszystko, co miał, a na temat tego rowerzysty nie ma prawie żadnych dowodów, jedynie kiepski portret pamięciowy, na podstawie relacji Glorii. Rzeczywiście spostrzegawcza osóbką. Oprócz niej widziało go dwóch facetów i to dłużej niż ona, ale jedyne co zauważyli to ciemną sylwetkę. Dlatego tak liczę na Charlottę. My chłopie nie potrafimy tak patrzeć jak kobiety, nie wspominając o intuicji i węchu – zakpił swoim zwyczajem Black.

Carney z rozbawieniem wspominał tę wizytę, bo jak to zwykle bywało w kontaktach z Blackiem, poważne sprawy potrafił ująć w bardzo frywolną formę, co jednocześnie nie zmniejszało wagi problemu.

Teraz, wracając z Edynburga, cieszył się, że za dwa dni spotka się z Charlottą i razem będą rozwiązywać łamigłówkę. Zaraz po rozmowie z Clarkiem, porozumiał się z inspektorem McCoy'em i uzgodnili podział pracy. Detektyw z ulgą przyjął deklarację inspektora, że podejrzanym rowerzystą zajmie się sam i do ukończenia śledztwa będzie miał go na oku. Detektyw zrewanżował się mu informacją o motocyklicie i ucieszył się, gdy inspektor obiecał wyciągnąć od mieszkańców miasteczka wszelkie informacje na ten temat i kontynuować dalej wątek.

Dzięki takiemu podziałowi pracy Carney mógł spędzić kilka godzin pracy przy komputerze, chciał prześledzić całą działalność stowarzyszenia. Nie dało mu to kompletnie nic. Jedynie na liście członków i darczyńców było kilku znajomych. W sumie nazwisk było ponad dwa tysiące. Za dużo by do nich dotrzeć, zresztą samo stowarzyszenie chyba nie odgrywało w tej ponurej sprawie żadnej roli. Co innego ewentualna wewnętrzna struktura, choć i to było wątpliwe, ale jej istnienia na podstawie posiadanych danych, nie można było potwierdzić.

Charlotte przygotowywała się do wyjazdu. Z Angusem miała spędzić dwa tygodnie, przynajmniej tak byli umówieni. Na wszelki wypadek poinformowała dyrektorkę szkoły, że być może przedłuży urlop, a nawet rozważa całkowitą zmianę swoich życiowych planów, co może się wiązać z nowym miejscem zamieszkania i inną pracą. Dyrektorka podniosła wprawdzie bardzo wysoko brwi, ale życzyła jej wszystkiego najlepszego.

Mimo pozornego spokoju Charlotte nieco obawiała się czekającego ich zadania – odszukania relikwiarza. Przeciwnicy jak widać pozbawieni byli skrupułów. Zamordowanie staruszka, w tak okrutny sposób, dowodziło albo jakiejś zemsty, albo niepoczytalności zabójcy, albo jednego i drugiego. W dodatku inspektor Friedel nie mógł skontaktować się z Patrykiem Campbellem. Mężczyzna miał wylecieć z Londynu do Walii we wtorek, ale na lotnisku się nie zjawił. W mieszkaniu telefon nie odpowiadał. Zresztą lokum i tak było puste, co stwierdził po

nieformalnym przeszukaniu. Prawdę powiedziawszy, po prostu się tam bardzo fachowo włamał. Charlotte obawiała się, że żywego Patryka już nie znajda.

Nie miała jednak zbyt wiele czasu na ten może nieco irracjonalny niepokój, bo przed wyjazdem musiała jeszcze odwiedzić British Museum, o co prosił ją Carney.

Pani Mary Gibson okazała się bardzo miłą trzydziestolatką, która świetnie pamiętała dziwnego staruszka. Z wielkim smutkiem przyjęła wiadomość o jego śmierci, choć Charlotte nie wspomniała o okolicznościach.

– W jakim celu panią odwiedził, jeśli to oczywiście nie tajemnica? – zapytała Charlotte po zwykłych uprzejmościach.

– Chyba żadna tajemnica – zastanowiła się chwilę Mary – po prostu prosił o przepisanie pewnego tekstu jakoby tajnej ewangelii świętego Marka i listu Klemensa Aleksandryjskiego, czcionkami na wzór tych z Biblii Króla Jakuba.

– Nie mógł tego po prostu zeskanować?

– Może nie potrafił tego zrobić, miał przecież około 80 lat. Oczywiście zostało to zrobione, choć nie do końca w ten sposób. Litery z Biblii zostały zeskanowane, potem wycięte, ułożone w nowe wyrazy i zdania jak puzzle, i ponownie zeskanowane w całości. Taka zwykła dłubanina. Najciekawsze było potem.

– Co takiego?

– Niech pani przeczyta oryginał.

Charlotte nachyliła się nad wydrukiem z Internetu i czytała zdumiona:

I przyszli do Betanii. I była tam pewna kobieta, której brat zmarł. I przyszedłszy, padła na ziemię przed Jezusem i powiada do Niego: „Synu Dawida, miej dla mnie litość”. Ale uczniowie skarcili ją. I Jezus rozgniewany, odszedł z nią do ogrodu, w którym był grób i z grobu natychmiast dobiegł wielki krzyk. I podszedłszy bliżej, Jezus odwalił wielki kamień u drzwi grobu. I natychmiast wchodząc do miejsca, gdzie leżał młodzieniec, wyciągnął rękę i uniół go, pociągając za rękę. Lecz młodzieniec spoglądając na Niego, pokochał go i prosił, by mógł z Nim zostać. I wychodząc z grobu przyszli do domu młodzieńca, był on bowiem bogaty. I po sześciu dniach Jezus powiedział mu, co ma robić, i wieczorem młodzieniec przyszedł do Niego odziany w lniane płótno na nagim ciele. I pozostał z Nim tej nocy, bo Jezus nauczył go tajemnic królestwa Bożego. I stąd powstając, powrócił na drugą stronę Jordanu. I przybywa do Jerycha. I siostra młodzieńca ukochanego przez Jezusa, i jego matka, i Salome były tam, i Jezus ich nie przyjął.

– Co to u licha jest?

– Tekst jakoby utajnionej, nieuznawanej oficjalnie ewangelii świętego Marka. Moim zdaniem dość podejrzanego autorstwa, choć trwają spory. Jako dowód jej istnienia ma służyć list Klemensa Aleksandryjskiego do Teodora z około II wieku, czyli pisanego jakieś 100 lat później niż ewangelia. Nie to jest istotne.

– A co jest?

Tekst, który przyniósł mi staruszek, nieco różnił się od oryginału. Pan Eideard dopisał tylko jakby komentarz z dołu tego tekstu, też takim biblijnym językiem, sama nie wiem po co. Nie było w tym nic niestosownego. Zrobiłam to niewielkie dzieło na podkładzie z syntetycznego pergaminu i poprawiłam farbą drukarską. Niewielka praca i w dodatku bardzo intratna.

Poprawianie tego tekstu zajęło mi kilka dni, w dodatku była to przyjemna praca, bo egzemplarz biblii był unikatowy. Jedno z pierwszych wydań Biblii Króla Jakuba. Mamy podobną w zbiorach, ale nie wiedziałam, że istnieją takie egzemplarze w rękach prywatnych, w dodatku bez jakiegokolwiek adnotacji 0 rejestracji jako dzieła sztuki.

- A te wstawki i stylizowanie na oryginał nie niepokoiły pani?
- Nie, ponieważ na dole prosił o umieszczenie napisu: „wersja gnostyczna autorstwa Eidearda Campbella”.
- Ma pani ten tekst w komputerze, mogę zobaczyć?
- Oczywiście, zaraz pani wydrukuję. Zapomniałam, dam pani całą gotową pracę, ponieważ jedną wersję dzieła zostawił mi na pamiętkę. Nie wypadło mi tego nie przyjąć, chociaż prawdę powiedziawszy, nie jest mi to do niczego potrzebne. Nawet nie wiem, gdzie to mam.
- Może w domu?
- Na pewno nie. Przyniosłam stamtąd wszystkie egzemplarze i ten jeden musiał tu pozostać – Mary rozglądała się uważnie po swojej zagraconej pracowni i wreszcie klasnęła w ręce. – Wiem, proszę pójść za mną.

Dzieło Eidearda znajdowało się w magazynie, zwinięte i schowane w kartonowej tubie z nadrukiem „Monymusk”. Mary z uśmiechem wręczyła jej wydruk tekstu Eidearda, a następnie rulon i poprosiła o jakieś namiary, gdyby ktoś o to dzieło jeszcze pytał. Podała jej jedynie adres mailowy oraz numer telefonu inspektora Luke Friedla.

Po wyjściu Charlotte usiadła na ławeczce w holu muzeum i ze zdziwieniem czytała tekst przygotowany przez staruszkę. Zastanawiała się, czy przed śmiercią staruszek nie sfiksował, czy też prowadził jakąś fantastyczną, a raczej surrealistyczną grę. Musiała się nad tym spokojnie naradzić razem z Carney’em i jakimś trzeźwym inspektorem, najlepiej z Blackiem.

Hans pociągnął spory łyk piwa, odstawił kufel i spojrzał na Bruna. Ten był nieco zaskoczony wypadkami. Wiadomość o śmierci Petera przyjął obojętnie, jeśli Hans uznał, że mógł kazać ich załatwić, to widocznie tak było. Zresztą go nie lubił. Zgrywał się na wielkiego dowódcę, a Bruno mógłby go załatwić jednym ciosem, Hans też.

- Do czego się ten włoski dupek przyczepił? – warknął Bruno.
 - Twierdził, że rąbnąłeś kopię, a on chciał oryginał.
 - Mógł sam tam pójść. A poza tym, gdybym wiedział, że to dla jakiegoś makaroniarza, wyczyściłbym tą chatę do końca. Było tam parę rzeczy. Ta biblia mnie kusila i jakaś błyszcząca miseczka. Musiały być trochę warte, skoro je tak schował, ale Peter mówił wyraźnie – relikwiarz i czerwona księga, którą sam napisał, nic więcej.
 - Plus zatłuczenie kamieniem – dodał zamyślony Hans – ciekawe dlaczego?
 - Mnie tam wszystko jedno, i tak drzemał z tą księgą na kolanach. Najpierw dostał raz lekko, potem obszukałem mieszkanie i dopiero gdy wszystko znalazłem, dokończyłem dziada. Niby go podpatrzyłem, jak otwierał schowek, ale nigdy nie wiadomo – zamyślił się i zapytał – a ta księga choć prawdziwa?
 - Chyba tak, bo tego się nie czepiał.
 - Skontaktowałaś się z Jerym?
 - Tak, ale synalek nagle zniknął. Podobno jacyś Włosi też go szukają. Albo ich napuścił makaroniarz, albo zwierzchnik Petera, ciekawe, kim on jest.
 - Kiedyś się dowiemy – Bruno nie tracił nadziei.
 - Sądzisz, że w NA jesteśmy bezpieczni?
 - Na pewno. O zadaniach wie tylko bezpośredni szef i wykonawcy. Nikt więcej, nawet sama góra. Na naszym szczeblu możemy się spotykać z ludźmi. Nowy szef też nas przyjmie.
- Hans nie był tego taki pewien, ale nie oponował. W końcu złamał podstawową zasadę organizacji, lojalność i wierność, czyli według kodeksu stracił honor. Liczył na to, że Bruno

będzie milczał, zresztą nie miał innego wyjścia. Aby zyskać pewność, wato go też załatwić – pomyślał mimochodem, ale się zreflektował. Gdyby Bruno zginął teraz, sprawa byłaby podejrzana. Załatwi go później w Szkocji.

– Jedź z powrotem. Takie zniknięcie może być podejrzanym. A zresztą jeśli jest jak mówisz, jeśli te drobiazgi mają jakąś wartość, można sprawdzić, czy jeszcze są – kusił na wszelki wypadek i nie pomylił się, bo Brunowi zaświeciły się oczy z chciwości i na ten widok Hans nagle podjął decyzję – pojedę z tobą.

Przerwali rozmowę, bo w piwiarni pojawili się inni goście i z hałasem dosiedli się do ich stolika. Byli to potężnie zbudowani młodzi ludzie. Zarówno dziewczęta, jak i chłopcy zachowywali się wyzywająco, nawet wulgarnie, ale nikt nie reagował na zaczepki i głośne pieśni. Albo byli przyzwyczajeni, albo się bali, choć słowa pieśni i głośno wykrzykiwanych haseł bardziej pasowały do bawarskich piwiarni i to tych lat z trzydziestych ubiegłego wieku.

Bruno i Hans szybko dostosowali się do ogólnego nastroju i śpiewali na całe gardło, zyskując uznanie gości. Piwo lało się strumieniami. Dopiero po kilku godzinach zdecydowaną postawą właściciela impreza zakończyła się. O dziwo, żaden z uczestników nie oponował.

Za to barman długo spoglądał na oddalających się, podchmielonych młodych ludzi.

Późno w nocy Hermana obudził telefon. Zły i rozespany podniósł słuchawkę. Warknął wściekle, ale za chwilę był już zimny i skupiony.

– Mówisz, że słyszałeś to na własne uszy – szepnął złowieszczo. Ci nędzni zdrajcy nie wykonali zadania i ze strachu przed karą, zamiast sami strzelić sobie w łeb, zabili swojego szefa.

– Tak to wygląda – odparł rozmówca. – Nie podobało mi się, że przyszli wcześniej niż reszta, więc podając kufle, przykleiłem im pod stolikiem pluskwę. Mam nagranie. Prześlę panu mailem.

– Johan! Nikomu o tym ani słowa.

– Ja nie jestem zdrajcą szefie. „Meine Ehre heisst Treue!”.

– Wiem o tym i doceniam. Zostaw ich w spokoju. Nie daj poznać, że czelegokolwiek się domyślasz. Niech robią swoje. Kara ich nie minie.

– Rozkaz szefie – odpowiedział już po rozłączeniu Johan i odłożył słuchawkę

Od kilku godzin przeglądali zbiory Eidearda. Charlotte, po spotkaniu z Carney’em, niemal od razu chciała zabrać się do pracy. Wymógł jednak na niej, by chociaż przez jeden dzień zajęli się sobą. Przystała na to, choć całkiem od nurtującej ich sprawy nie uciekli. Charlotte z uwagą wysłuchiwała jego sprawozdania, potem dokładnie obejrzała kopię relikwiarza.

Z kolei Carney przeglądał zawartość tuby i nic z tego nie rozumiał. Czy naprawdę istniała tajemna ewangelia świętego Marka, a jeśli tak, to jakie znaczenie dla czcicieli relikwii miała ona sama, a już szczególnie jej dziwaczne przekształcenie. Po raz pierwszy w życiu czytał ten tekst i wydawał mu się nie tylko dwuznaczny, ale bluźnierczy i nawet niesmaczny. Nie wiedział, co o tym myśleć. Charlotte uśmiechała się tajemniczo. Zastanawiała się, czy to co czytali nie było dowodem na chorobę umysłową Eidearda, czemu nie przeczyły jego przemyślane kombinacje w sprawie ukrycia wszystkiego co możliwe z wyjątkiem siebie. To było prawdopodobne, bo ludzie z urojeniami potrafią być dość sprytni i przebiegli, a jednocześnie mają poczucie misji oraz skłonności do poświęceń i męczeństwa.

Podzieliła się tą myślą z Carney’em, ale ten nadal kiwał głową, ni to potakująco, ni przecząco. W końcu zdecydował się na to ostatnie.

– Nie, to się nie zgadza – zdecydował Carney – nie wierzę, by był to fragment ewangelii,

bo choć się na tym nie znam, to z tego tekstu nie wynika kompletnie nic. W zasadzie niczego nie uczy, nie daje jakichkolwiek wskazówek co do zasad moralnych. Jest jakimś opisem dziwnego i dwuznacznego epizodu, bo przecież nie można brać dosłownie jej przesłania, jako uświęcenia pewnych odmiennych orientacji. I to w dodatku przez kogo! Przecież istnieją dane zupełnie przeczące tej sugestii. Mamy na ten temat inne, równie tajemnicze doniesienia i tropy.

– Może dawnym ludziom nie wszystko się tak jednoznacznie kojarzyło jak tobie – ironicznie rzuciła Charlotte – to może być jakieś głębokie, symboliczne przesłanie.

– Dlatego mówię, że się nie znam.

– A ja dowiedziałam się, że na podstawie tego krótkiego fragmentu powstał dość znany gnostycki ruch karpokratian.

– Kogo?

– Klemens Aleksandryjski oskarżał Karpokratesa o kradzież tego fragmentu i bluźniercze stwierdzenia, że świat jakoby mieli stworzyć archonci władający duszami ludzkimi za pomocą namiętności. W każdym razie tak piszą znawcy tematyki.

– Czyli jemu też się kojarzył z erotyzmem – podsumował Carney i zapytał – sądzisz, że Eideard był członkiem albo przewodził takim gnostykiem.

– Takim na pewno nie – padła zdecydowana odpowiedź. – Zwróć jednak uwagę na ten własnoręczny dopisek.

Nie każdemu bowiem dane było uzyskać wtajemniczenie, więc kto ma uszy do słuchania, niech słucha, kto ma oczy do patrzenia, niech patrzy, kto ma rozum do myślenia, niech myśli, kto ma język do mówienia, niech pozna i głosi prawdę, i woła

o miłość i zgodę między narodami i ludźmi różnych języków. A wam bracia przykazanie daję, abyście nie ustawiali w odbudowie wieży Babel.

– Wynika z tego, że Eideard nie zgadzał się na odtrącenie nikogo od słów prawdy, a wręcz kazał budować międzynarodowe porozumienie, na wzór wieży Babel, gdzie wszyscy, którzy ją wznosili, mówili jednym językiem, czyli nie było między nimi niezgody i nieporozumienia. Tak mi się to kojarzy. Za to nie widzę w tym związku z Monymuskim – zmarszczyła brwi Charlotte.

– Z kolei mi Monymusk umieszczony na tubie kojarzy się jedynie z pewną miejscowością, w której byłem kiedyś na rybach – wtrącił Carney – dziś nazywa się już inaczej.

– Za to ja i w tej sprawie wiem nieco więcej – odparła Charlotte i wyjaśniła – to bardziej kojarzy się z Relikwiarzem Monymusk. Nazwa ta wprawdzie nie wskazuje, że wewnątrz stowarzyszenia istniało bractwo, w którym Eideard był Mistrzem, ale mogło tam być i wziąć swoją nazwę właśnie stąd. Choćby ze znaczenia jakie Relikwiarz Monymusk miał w historii Szkocji. Wyjaśnię ci to wieczorem, bo skoro czeka nas tak wiele pracy w domu Eidearda, to powinniśmy już tam być – dokończyła.

W mieszkaniu Eidearda Charlotte przede wszystkim spenetrowała schowek. Biblia i czarka, co stwierdziła bez zdziwienia, okazały się kopiami, zresztą napis na nich to potwierdzał. Z kolei krzyż z hebanu był tak prosty i nijaki, że nie mógł skusić żadnego złodzieja, więc zdaniem Charlotty pewnie był oryginałem. Wyjęła go ostrożnie i dokładnie obejrzała. Po chwili bez słowa sięgnęła po komórkę, sfotografowała krzyż i wysłała gdzieś MMS. Nic nie wyjaśniła, ale Carney widział, jak była z siebie zadowolona.

– Tak czy siak, i biblia, i czarka są piękne, nawet jako kopie – stwierdziła wesoło.

– A krzyż?

– Zobaczymy – odparła tajemniczo – mam pewne podejrzenia, ale to trzeba zbadać.

Zajmijmy się zbiorami.

– Policja już je chyba przejrzała – mruknął niechętnie, patrząc na stosy książek wyjętych z regałów.

– Widziałeś z tych czynności jakiś protokół? – zapytała z kpiną.

– Nie!

– No właśnie, a powinien być.

– Więc kto je powymował z regałów.

– Nie mam pojęcia. Patryk chyba też nie, bo coś by powiedział.

– Zabójca?

– Sam mówiłeś, że inspektor Brian McCoy ma go na oku.

– Ma na oku typa, którego o ten czyn podejrzewa, a to wcale nie musi być zabójca.

– Więc ktoś inny, o kim nie wiemy. Problem w tym czego szukał i czy coś znalazł.

– Może znalazł, ale mam podstawy sądzić, że grzebał po omacku. Zresztą, by mieć czyste sumienie, trzeba ten dom dokładnie spenetrować. Zostaw mnie z książkami, a sam przejdź się po całym domu od piwnic po strych. Czekaj – zatrzymała go już w przejściu – weź aparat i zanim czegoś dotkniesz, zrób zdjęcie.

– Tak jest szefie – wyprężył się detektyw i pożegnany miłym uśmiechem Charlotte wyszedł z pokoju.

Późnym popołudniem Carney skończył oględziny i zakurzony wrócił do biblioteki. Charlotte też skończyła. Obok kominka piętrzył się niewielki stosik odłożonych książek. Kazała mu je przenieść do samochodu. Gdy zamykał bagażnik, zobaczył, że zbliża się samochód policyjny i ze zdziwieniem rozpoznał za kierownicą inspektora McCoy'a. Przywitał się z nim, ale ten z tajemniczą miną poprosił o spotkania z Charlotte, zamienił z nią na osobności kilka słów, po czym bez zwłoki wszedł do domu. Carney'owi nie pozostało nic innego, jak podążyć za nim.

W bibliotece inspektor ukradkiem wyjął zza pazuchy czarny krzyż, identyczny, jak spoczywający w schowku. Pochylił się i po dokonaniu dyskretniej zamiany krzyży, zasalutował i pospiesznie wyszedł. Carney zaczął odczuwać dziwne rozdrażnienie, ale Charlotte pokazała mu, by nic nie mówił. Zabrał biblię i czarękę, po czym wyszli razem.

Kobieta wyczuła, że jej przyjaciel czuje się nieco odstawiony na boczny tor, więc postanowiła udzielić pewnych wyjaśnień.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia w twojej branży, ale ktoś zbyt swobodnie po tym domu wędruje – zaczęła wyjaśnienia. – Przy zabójstwie nie było włamania, potem dom był zapieczętowany, a jednak ktoś obcy w tym domu poruszał się jak po własnym. Może Patryk przełożył książki, ale jak to sprawdzić, skoro przepadł bez śladu. Bardzo martwi mnie to jego nagłe zniknięcie, z drugiej strony nie mamy podstaw, by widzieć w tym cokolwiek podejrzanego. Bardzo wątpię w jego udział. Gdyby chciał coś znaleźć, nie robiłby z tego tajemnicy. Przecież wszystko, co się tu znajduje, zgodnie z prawem jest jego własnością. A więc zostaje tylko ktoś obcy.

– A ten krzyż i dziwne występy inspektora?

– Podejrzewam, że jest to oryginał – odparła tajemniczo Charlotte – i to pochodzący z bardzo dawnych czasów, a jeśli tak, to może wewnątrz kryć gwoździe albo drzazgi z prawdziwego krzyża. Takich relikwii jest cała masa. Można by z tych drzazg zrobić kilka krzyży, a w gwoździe wyposażyć mały sklepik. No może trochę przesadzam. W średniowieczu uwielbiano relikwie, dlatego też pojawiała się wielu oszustów, zarówno relikwii, jak i certyfikatów ich prawdziwości.

– Więc po co ta dziwna podmiana?

– Krzyż trzeba zbadać. Prześwietlić, przeanalizować czas wykonania i wszystko co się w takich sytuacjach robi.

– Policja tego dokona?

– Policja nie, ale pani Mary Gibson. Kocha starocie i zrobi to z przyjemnością. Luke Friedel już się o to postara, żebyśmy jak najprędzej otrzymali wyniki.

– Co nam to da, jeśli okaże się zabytkową relikwią?

– Choćby sporą satysfakcję, bo sprawy pewnie nie posunie.

– Może masz rację – przyznał już udobruchany detektyw. Podejrzywałaś też jakiś podsłuch, że zabroniłaś mówić – zakpił wesoło.

– Podejrzywałam też jakąś kamerę uruchamianą głosem lub ruchem – odparła poważnie.

– Widziałam coś takiego w filmach sensacyjnych.

– Jesteś kochana.

– Tylko z tego powodu?

– Oczywiście, że nie – zapewnił żarliwie, co wywołało uroczy uśmiech na słodkiej twarzy Charlotte.

– Nie pytałam cię, co znalazłeś w domu.

– Parę dorodnych pajaków, a czego innego się spodziewałaś?

– Nie wiem, może jakiegoś wejścia, drzwi do kotłowni, klapy w dachu.

– Jest jedno i drugie.

– Klapy w dachu chyba nie pieczętowali. Zrobiłeś zdjęcie.

– Zrobiłem. Rzeczywiście nie widziałem żadnego paska papieru. Jesteś genialna!

– Nie przesadzaj. Po prostu nie wierzę w duchy.

– Powinienem sam na to wpaść. Ten dach jest od strony zarośli i dość łatwo go sforsować. Zabójca mógł tam nawet tkwić od dawna, czekając na odpowiedni moment, a cyklista mógł nie mieć z tym nic wspólnego albo być tylko współnikiem i porozumiewać się z nim za pomocą komórki.

– O tym nie pomyślałam, ale mogło być i tak.

– Chyba nie. Z zeznań chłopaka wynika wprawdzie, że stary żył jeszcze długo po odjeździe rowerzysty, ale mógł przecież ukryć rower i wrócić pieszo. Jeżeli był to ten typ z firmy transportowej, to miał możliwość przywieźć sobie w furgonetce rower, motor, a nawet balon i składaną łódź podwodną.

– Tych dwóch ostatnich środków transportu nikt nie widział – podjęła żartobliwy ton Charlotte. – Rower i motor na razie się zgadza.

– Trzeba się temu typkowi przyjrzeć, choć z daleka, żeby wiedzieć jak wygląda. Widać, że jest groźny, a gdyby kiedyś McCoy stracił go z oczu, może być nieciekawie.

– Już się raz zgubił!

– Skąd wiesz?

– Pytałam Blacka. Tydzień po zabójstwie wyjechał jakoby do Niemiec. Nie było go dobre dwa tygodnie. Dopiero parę dni temu pojawił się na nowo.

– To może nie ma z tym nic wspólnego?

– Albo, co bardziej prawdopodobne, dowiedział się, że pokpił sprawę i kazano mu szukać dalej.

– Te książki, które wiozę na twoje polecenie, to też kamuflaż.

– Nie – odparła Charlotte. – To ogólnie dostępne wydania, zresztą mam niektóre w bibliotece szkolnej, ale problematyka ostatniej wojny nie bardzo mnie pasjonuje, więc nie pamiętam ich treści. Teraz trzeba się temu przyjrzeć dokładniej. Te książki zawierają dokumentację i opis działań wojennych w Afryce. Tam jak wiemy służył Eideard i nasz kochany,

stary kapitan Blackwood.

– To wszystko o tym froncie? – nie dowierzał Carney.

– Nie – uśmiechnęła się tajemniczo jego towarzyszką – mam jeszcze kilka perełek, ale już tylko związanych z tą tajemną ewangelią. Popatrz, to bardzo ciekawe pozycje: Schenke Hans-Martin *The Mystery of the Gospel of Mark* i John Dominic Crosan *The Historical Jesus: The Life of a Mediterranean Jewish Peasant*. Nie bardzo na nie liczę, ale też nie wadzi zajrzeć. A tobie rzuciło się coś w oczy?

– Prawdę mówiąc, już nie ufam swojej spostrzegawczości. Black miał rację, że mężczyźni w spostrzegawczości i intuicji nie dorastają kobietom do pięt.

– To miłe z jego strony.

– Potraktowałem zadanie poważnie i naprawdę dokonałem bardzo dokładnego obfotografowania każdego centymetra tego domu. Obejrzyj to po powrocie.

– Najpierw zjemy kolację. Jestem wściekle głodna. Zatrzymaj się przy najbliższym zajeździe.

Carney już nic nie odpowiedział, tylko skinął głową. Charlotte też zamilkła i oboje pograżyli się we własnych myślach.

W willi wdowy Wilshere trwały gorączkowe prace przedświąteczne. Jak co roku miał się tu odbyć charytatywny Hogmanay. Kapitan był bardzo zaangażowany w przygotowanie właściwej oprawy tego święta, zwłaszcza jeśli chodzi o dobór trunków, zarówno w sensie jakości, jak i właściwej ilości. Mateczka Betty, która zazwyczaj pilnowała kapitana w tym przedsięwzięciu, teraz miała na głowie przygotowanie Sowans Night, na które z reguły zapraszano dzieci jednego z sierocińców.

Wdowa Wilshere była bardzo zajęta. Stary wilk morski wręczył jej listę osób, częściowo jej znanych, częściowo takich, których nigdy nie widziała na oczy, ale wyjaśnił jej, dlaczego zostają zaproszeni.

Po prostu pod przykrywką noworocznej uroczystości miało się odbyć spotkanie ścisłego kierownictwa i najbardziej aktywnych członków Stowarzyszenia Czcieli Relikwii. Wdowa wyczuwała, że będzie to coś więcej. Z jednej strony cieszyła się, że spotka przyjaciół, zwłaszcza Charlotte, Carney'a i Blacka, ale też obawiała się czy nie wynikną z tego jakieś kłopoty. Wyczuwała w niedbałych półsłówkach kapitana jakiś niepokój, co w kontekście równie tajemniczego zabójstwa Eidearda napełniało ją mimowolnym strachem. W tej krzątaninie prawdziwą pomocą była jedynie Ellen Gibson, przyjaciółka Charlotte i prawa ręka wdowy, oraz młode małżeństwo Mary i Bob.

Wdowa Wilshere знаła ofiarę zabójstwa. Jej mąż, kapitan Blackwood, bankier Artur Callan, ojciec Charlotte i Eideard stanowili trzon Stowarzyszenia Czcieli Relikwii. Z tej czwórki żył jedynie kapitan, pomyślała z mimowolnym wzdrygnięciem, ale tylko stary Ei został zamordowany. Nie sądziła zatem, by to okrutne zabójstwo wiązało się z przynależnością do stowarzyszenia. Zresztą ani księdzu Marco, prezesowi stowarzyszenia, ani jej samej, która po śmierci męża udzielała się aktywnie, nigdy nie stała się najmniejsza krzywda. To z całą pewnością były jakieś osobiste sprawy – pomyślała zdecydowanie i postanowiła przestać sobie zaprzętać tym głowę.

Takiego spokoju nie miał natomiast kapitan. Po raz pierwszy przybył do pałacyku wdowy w towarzystwie sekretarza, o którym wszystko można było powiedzieć, ale nie to, że potrafił pisać. Miał z sześć stóp wysokości i tyleż obwodu w barach. Dłońmi zmiażdżyłby pewnie każde

pióro i klawiaturę komputera, choć poruszał się z gracją pantery. Nie spuszczał oczu z kapitana i całego otoczenia, choć robił to prawie niedostrzegalnie. Nie odzywał się prawie wcale, za to wydawało się, że słyszy wszystko, co się mówi w promieniu stu jardów.

Późnym popołudniem przyjechali pierwsi goście, choć do nowego roku pozostał jeszcze dobry tydzień. Kapitan wziął na siebie opiekę nad gośćmi, co zarówno ucieszyło, jak i zaniepokoiło wdowę, bo byli to właśnie goście kapitana, których ona osobiście nie знаła. Prawie przy wejściu wręczyli odpowiednie czeki na potrzeby sierocińców, które wspierała wdowa. Widocznie – tu uśmiechnęła się z rozbawieniem – kapitan wydał swoim znajomym odpowiednie instrukcje.

Pod wieczór przyjechał jeszcze inspektor Black w towarzystwie pewnego mężczyzny, jak uznała mateczka Betty, bardzo sympatycznego i grzecznego pana. Był to Luke Friedel, inspektor Scotland Yardu.

Wieczorem całe towarzystwo zamknęło się w bibliotece i obradowało do późna, a nad ranem poza starym kapitanem nie było już nikogo. Wyjaśnił, że niektórzy być może zjawią się w ciągu najbliższych dni, albo i nie. Trudno powiedzieć.

Jeśli kapitan myślał, że w ten sposób uspokoi wdowę, to niestety bardzo się pomylił, ponieważ przestraszyła się jeszcze bardziej.

Charlotte i Carney zdziwili się i ucieszyli, kiedy w wigilijny wieczór zadzwonił do drzwi Black. Został oczywiście zaproszony do stołu. Gospodyni przygotowała Sowans Night w prawdziwie szkocki sposób, co obaj mężczyźni docenili, jako że od ładnych paru lat przebywała w święta w Londynie, gdzie panowały nieco inne zwyczaje.

Black, który jako kawaler, w święta przeważnie brał za kolegów dyżury, był szczególnie oczarowany rodzinną atmosferą, choć tak naprawdę wszyscy byli jedynie przyjaciółmi. A jednak nic między Charlotte i Angusem wydawała się coraz wyraźniejsza i mocniejsza. Wprawiło to Blacka w doskonały humor, choć wiadomości miał nienajlepsze.

– Widziałem się wczoraj z Friedlem, kapitanem i paroma jego znajomymi. Prawdę mówiąc, spotkanie zorganizował kapitan na moją prośbę – wyjąkał niepewnie.

– Stało się coś nowego? – zaniepokoiła się Charlotte.

– Poza zniknięciem Patryka, chyba nic.

– Dalej nie ma o nim żadnych wiadomości.

– Są. Przesłał parę dni temu SMS z dwoma literkami OK i wyłączył aparat.

– To chyba dobry znak?

– Co do jego bezpieczeństwa na pewno tak, ale jeśli coś wie, to postawił nas w trudnej sytuacji. Jednak nie wydaje mi się to prawdopodobne, więc odłóżmy to na później.

– W jakim celu zwołałeś to zebranie – naciskał Carney, bo Black wypowiadał się według detektywa dość niemrawo.

– Wnosząc z tego, jakiego zamieszania narobił Ei z kopiami relikwiarza i jakimiś rękopisami, o krzyżu nie wspominając, podejrzewam, że od dawna liczył się z możliwością opuszczenia tego padolu, może nie w ten sposób, ale jednak. Zwróćcie uwagę, że na miejscu pozostał jedynie niepozorny krzyż, który najprawdopodobniej jest niezwykle, a wszystko inne zostało podmienione.

– Dlaczego krzyż okazał się niezwykle?

– Miała pani dobrego nosa Charlotte. Już pierwsze badania wykazały, że jest bardzo, ale to bardzo stary. Prześwietlenie wykazało, że drewno kryje metalowe elementy i jeszcze jakies

inne materiały, najprawdopodobniej drzazgi miękkiego drewna. Teraz badanie potrwa trochę dłużej, ponieważ o wiele ostrożniej zabrali się do roboty. Pani znajoma promienieje szczęściem.

– A dlaczego tak cenną rzecz pozostawił Eideard na miejscu?

– A bo ja wiem? Przypuszczam, że Ei wiedział, że ma do czynienia z tępakami, którzy zabiorą to, co się błyszczy albo wskazuje że jest cenne, na przykład biblię i czarkę, no i oczywiście relikwiarz, skoro po niego przyszli. A księgę trzymał na kolanach, jakby chciał, żeby jej przypadkiem nikt nie przeoczył. Najczęściej leżała na stoliku przy regałach. Był tam taki ślad, prostokąt pozbawiony kurzu.

– Aha – mruknął Carney, nie wspominając na razie, że przedwczoraj książki były z regałów wyjęte i ułożone na podłodze.

– Co sugerujesz z tą księgą?

– To, że nie była cholernie ważna, ale koniecznie trzeba ją znaleźć.

– Nie wiesz jak? – zapytał zjadliwie Black.

– Ja nie wiem, ale kapitan powiedział, że o tej sprawie będzie rozmawiał wyłącznie z panią Charlottą.

– Rozumiem – stwierdził sucho Carney. Twoje świąteczne odwiedziny zawdzięczamy wyłącznie staremu wilkowi morskiemu.

– I staremu Ei – zakpił Black – któremu zachciało się mieć tajemnice i robić z tego dowcipy, nie wspominając o wcześniejszym zaplanowaniu widowiskowej śmierci. Nie wygłupiaj się stary. Jasne, że bez ważnego powodu nie przeszkadzałbym wam w miodowym miesiącu, ale cieszę się, że tu jestem.

– Zwłaszcza, że miodowy miesiąc spędziliśmy z panem prokuratorem już w zeszłym roku – odparła z godnością Charlotte, a Black nie wiadomo czemu się zaczerwienił.

– No dobra – zaczął po kilku chrząknięciach i solidnym łyku whisky – przypuszczam, że kapitan może mieć jakieś zapiski i do tego potrzebuje Charlottę. Pani rodzice zginęli w wypadku, jakieś dwadzieścia lat temu, prawda?

– Tak, ale co do tego mają moi rodzice? – spytała Charlotte, szeroko otwierając oczy.

– Sir Wilshere jakieś parę miesięcy później.

– Chyba tak – Charlotte była coraz bardziej przerażona.

– Od tego czasu Eideard zamieszkał w okolicy Tain pod Morangie.

– Nie wiem, ale to prawdopodobne. Widywałam go u wdowy towarzysząc ojcu, ale faktycznie wtedy mieszkał chyba w Dundee.

– Tak, a kapitan Blackwood w Gairloch, a teraz w mieszka w Montrose – wymieniał bezlitośnie Black. – Z tej czwórki jedynie pani ojciec i sędzia mieszkali jak dawniej w Glasgow w swoich rodzinnych włościach. Dzisiaj każdy z nich miałby około osiemdziesiątki. Nie chcę być cyniczny, ale tylko ci, co zatarli za sobą ślady, dożyli tego wieku. Kapitan nie jest w najlepszym nastroju.

– Czy pan sugeruje, że ojciec i pozostali popełnili jakiś potworny czyn i ktoś się mści po latach? – zdenerwowała się blada jak papier Charlotte.

– Myślę, że odwrotnie – raczej wiedzieli, a kapitan nadal wie o kimś, kto taki czyn popełnił i ten ktoś lub jego potomek, co wydaje mi się prawdopodobniejsze, albo się mści, albo zamyka tym ludziom usta.

– To może być prawda. Jeśli tak, to zemsta obejmie także członków rodziny.

– Patryk zdał sobie z tego sprawę. Kapitan dzieci nie ma, sir Wilshere też, ale pani może być w niebezpieczeństwie, zwłaszcza teraz, będąc w centrum zdarzeń.

– Mam ochronę – Charlotte spojrzała z niepokojem i nadzieją na Carney'a, a ten chwycił jej rękę i mocno uściśnął.

– Kapitan ostatnio też zafundował sobie sekretarza tej samej postury, jaką ma sir ABC – inspektor wreszcie porzucił ponury ton i kiedy napięcie nieco skłęśło dodał – poza tym, że się zabezpieczył zatrudniając osiłka, to wreszcie przystąpił do działania.

– To znaczy?

– Oprócz kapitana, mojej osoby i Friedla było tam jeszcze paru gości. Ciekawe towarzystwo.

– Dlaczego?

– Każdy, że tak powiem z innej parafii.

– Gadaj jakimś jednym ciągiem, a nie duś się po każdym słowie – zdenerwował się detektyw.

– Rozkaz panie – zażartował Black i wyliczył – Grek, Polak i Etiopczyk.

– Eskimosa nie było? – tym razem nie wytrzymał Carney.

– Nie było – Black nie podjął żartu – ale chyba brakowało Hiszpana, Włocha, Niemca i pewnie jeszcze jakiegoś gościa.

– Wieża Babel – westchnęła Charlotte, ale Carney nie przerwał przesłuchania Blacka.

– Skąd wiesz, że pochodzą z tych krajów?

– Wywnioskowałem po imionach. Ten Polak mówił, że Carlos, Giovanni i Rupert przyjadą za kilka dni.

– Co z tego rozumiesz?

– Kompletnie nic!

– Kapitan nie wyjaśniał?

– Ani słowem. Dyskutowali przez prawie pięć godzin o relikwiach i jakichś poszukiwaniach. Bąknął przy tym, że najpilniejsza sprawa jest już na ukończeniu, praktycznie nawet już załatwiona i zostanie sfinalizowana po Nowym Roku. Potem kapitan zaproponował, żeby przygotowali dokładne, roczne sprawozdanie o wszystkich zagadnieniach, w jakikolwiek sposób powiązanych z Monymuskim. Nie wiecie przypadkiem, co oznacza to słowo?

– Trochę wiemy – mruknął Carney i sięgnąwszy za siebie wydobył rulon z takim właśnie napisem.

Spotkanie Hermana, Perugia i Nakayamy wymusiła dość niepokojąca sytuacja, jaka powstała po nieudanej kradzieży relikwiarza. Japończyk był najwyraźniej wściekły i nie bardzo rozumiał całe to zamieszanie. Rozmowę prowadzono w języku angielskim, co wyraźnie denerwowało Niemca, niestety żaden z nich nie znał języka swojego rozmówcy, a angielski był jedynym, który znali wszyscy pozostali. Herman odczuł to jako policzek dla rangi Niemiec w tym towarzystwie, jego rozmówcy zaś całkowicie to zlekceważyli, co go rozzłościło jeszcze bardziej.

– Może dowiem się w końcu, jaki jest cel naszego spotkania, bo mam nadzieję, że interesy idą na razie dobrze – zagaił z rozdrażnieniem Japończyk. – Nie mam specjalnie ani czasu, ani ochoty do towarzyskich spotkań.

– Mamy pewien problem – zaczął Herman. – Nasz przyjaciel Benito miał do załatwienia pewną rodzinną sprawę. Chodziło o pomszczenie śmierci ojca i odzyskanie cennego, rodzinnego klejnotu.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Zaangażowaliśmy do tego naszych ludzi – ostrożnie informował Herman. – Niestety okazało się, że jeden z dowódców zginął w wypadku i nie mamy na razie dostępu do wykonawców tego nieudanego zamachu. Zanim ich dorwałem, zniknęli, a niestety za dużo

wiedzą.

– Ośmieliliście się wykorzystać ludzi z organizacji do załatwiania prywatnych spraw – Japończyk nie podniósł nawet głosu, ale obu rozmówców przeniknął dreszcz.

– Nie tak całkiem prywatnych. Ten klejnot to ważna zdobycz wojenna ojca Perugia, ma wielkie znaczenie symboliczne. To przecież mistyka, tak bardzo ważna w naszej sprawie.

– Dzisiaj, przyjacielu – zimno odpowiedział Nakayama – największa mistyka to forsa. Czasy się zmieniły. Ja też jestem potomkiem samurajów i rozumiem sprawy rodzinne. U nas członek rodziny załatwia to sam, a jeśli nie czuje się na siłach, to do załatwiania takich spraw zatrudnia ludzi z jakuzi. Tylko oni wiedzą czy obiekt nie jest pod ich ochroną, inaczej sam stajesz się ofiarą. Wy chyba też macie swoją Camorrę, zwrócił się do Włocha. Jeżeli nie miałeś na to pieniędzy, to nie rozumiem, co robisz w tym towarzystwie – dodał ze złośliwym grymasem.

– Nie wszystko załatwia się za pomocą gangsterów. Sprawy honoru pozostawia się dla siebie albo prosi się o pomoc przyjaciół. Ja poprosiłem przyjaciół. Tak jest u nas. Nie wiem jak jest u Japończyków.

– To ci powiem, jak jest u Japończyków – tym razem Nakayama już nie ukrywał wściekłości. – W Azji jest takie przysłowie, że nawet prawiąc Japończykowi pochlebstwa, trzeba dobrze patrzeć na jego ręce. A ty Benito najwyraźniej nie tylko mi nie schlebiasz, ale wręcz rzucasz obelgi. Jak sądzisz, czy nadal mogę cię uważać za przyjaciela?

– Dajcie spokój panowie – łagodził Herman – nasz pakt to znacznie ważniejsza sprawa.

– Jaki pakt! – syknął Japończyk. – Zamarzyła ci się powtórka osi Berlin-Tokio-Rzym i myślisz, że cofniesz historię. Wiem, że i ty, i Benito potrzebujecie forsy na kampanie wyborcze do waszych parlamentów. Zgoda. W takiej roli będziecie dla mnie przydatni, ale wbijcie sobie do głów, że historii już nie zmienicie. Neue Achsenmächte doskonale wymówił to po niemiecku, to świetne hasło dla nawiedzonych gówniarzy i tęskniących za dawną wielkością oszołomów, którzy też są lub będą wyborcami, i ja to rozumiem. Należy o nich dbać. Ale jeżeli przez to narazicie interesy, to koniec z umową. Mnie w zupełności wystarczy rynek azjatycki. Nie narażę swojej reputacji w podejrzanych akcjach. Zabójstwa jeśli są konieczne, a bywają, zlecam prywatnie tym, którzy się tym zajmują i robią to fachowo bez żadnych śladów. Radzę o tym pamiętać. Daję wam trzy tygodnie na załatwienie tej sprawy, w przeciwnym razie zrywam umowę.

Ani Herman, ani Benito nie byli w stanie zatrzymać rozwścieczonego Japończyka, wprawdzie Benito próbował, ale w porę przypomniał sobie przytoczone przed chwilą wschodnie przysłowie i zrezygnował.

Japończyk wyszedł i mocno trzasnął drzwiami. Postanowił dokładnie sprawdzić, jak mają się jego interesy wobec tego, co się stało.

Owszem, był przywiązany do tradycji, ale do cholery, akurat nie takiej, o jakiej myśleli ci szaleńcy – rozważał ze złością.

– Nie wiadomo na co jeszcze tracili jego ciężko zapracowane pieniądze. Jeżeli jest coś nie tak, to on już dopilnuje, by Benito za to odpowiedział własną głową.

Tymczasem Herman i Benito po wyjściu Japończyka przez chwilę milczeli, wreszcie Niemiec machnął ręką.

– Niech idzie do diabła – warknął. – On nie rozumie, co dla Niemca i Włocha znaczą symbole i historia. Forsa znaczy dla niego to samo, co rodzinny klejnot. Z kim myśmy się zadali – zapalał się coraz bardziej. – Niech się sam użera ze swoimi azjatami i z ich pieniędzmi. Oni tam sami się wkrótce zeżrą. My mamy młodych, dla których pamięć ojców i chwała narodu jest najważniejsza.

– Myślisz, że może na nas kogoś nasłać?

– Wątpię. Przecież słyszałeś, że nie miesza spraw prywatnych do interesów. Najwyżej zerwie umowy.

– Nie tak łatwo. Ma duże lokaty w europejskich bankach, a plenipotencje do ich uruchamiania mam wyłącznie ja – napuszył się Benito.

– No właśnie, więc niech nas nie straszy – buńczucznie wyrokował Herman, choć poczuł lodowaty skurcz na plecach.

– Co teraz zrobimy?

– Teraz ta sprawa jest już naszym wspólnym problemem. Hans i Bruno zdradzili nas. Zabili swojego dowódcę. Wyrok już zapadł i nic tego nie odmieni. Gorzej z twoimi sprawami.

– Jeden z zabójców ojca jeszcze żyje. Wiem kim on jest, ale od lat nie mogę go dorwać.

– Skąd wiesz, że żyje.

– To taki stary marynarz. Pojawia się w czasami w prasie, po którymś ze swoich rejsów. Jest faktycznie dobrym i odważnym żeglarzem. Niestety, dowiaduję się o miejscu jego pobytu już po fakcie. W danej chwili nie wiadomo, gdzie jest.

– A relikwiarz? Nie odpuścisz tej sprawy?

– Przysięgłem matce, gdy umierała, że go znajdę. Czy ty, prawdziwy Niemiec, złamałbyś taką przysięgę.

– Nigdy!

– No właśnie. Poza tym to cenna i symboliczna rzecz. Można koło niej stworzyć niezły kult i zdobyć wielu zwolenników dla narodowej partii.

– Masz rację. Niech diabeł porwie tego Japończyka. Zawiadomię go, że sprawa została załatwiona i robimy interesy dalej. A my sami realizujemy dalszy jej ciąg po swojemu. Neue Achsenmachte musi istnieć nadal, nawet jak jedna z osi nie będzie zbyt zaangażowana ideologicznie.

– Z drugiej strony nigdy bym nie przypuszczał, że potomek samurajów, tak szybko zapomni o rycerskich tradycjach i duchu swoich przodków.

– Zepsuła go demokracja przyjacielu. Tylko jeden wódz może utrzymać porządek. Inaczej wszystko zgnije w toczącym świat demokratycznym gównie. – Herman wydawał się całkiem przekonany o prawdziwości swoich słów, tym bardziej, że Włoch bardzo gorliwie potakiwał głową, choć wydawało się, że myślami był zupełnie gdzie indziej.

Po pożegnaniu Benito wrócił do hotelu, ale że chciał na chwilę pomyśleć, nie skierował się do pokoju, lecz do kafejki i usiadł na wysokim stołku przy barze. Odpędził jakąś proszącą go o ogień dziewczynę i zatopił się w myślach.

Nie były one wesołe. Wykonał ostatnio kilka posunięć na giełdzie, które na początku wydawały się strzałem w dziesiątkę, a teraz coraz bardziej w to wątpił. Wiedział, że trochę ryzykuje i z początku postępował ostrożnie. Jednak pierwsze, dobre rokowania zachęciły go do kontynuowania rozpoczętego kierunku inwestycji, a nawet rozzuchwaliły do tego stopnia, że przestawił prawie całe aktywa na zakup dużego pakietu akcji, do czego zachęcali go inni zaufani akcjonariusze i maklerzy.

Postanowił trzymać się raz podjętych decyzji i obserwować, co będzie się działo.

Monymusk. Napis sam w sobie niewinny, dał im naprawdę wiele do myślenia i stanowił poważny zgryz. Każdy z nich miał inny pogląd na znaczenie tej nazwy. Oczywiście wiedzieli, że jest to miejscowość w hrabstwie Aberdeen i że nazwa ta kojarzona jest z relikwiarzem, który był dla Szkotów narodową świętością. Charlotte wspominała, że relikwiarz ten służył Szkotom jako

główne insygnium podczas wielkich bitew. Znała historię nie tylko jego pochodzenia, ale też i dalszych losów. Wspomniała, że obecnie jest on pusty i stanowi cenny eksponat muzeum w Edynburgu. Dlaczego dla bractwa, jeśli ono istnieje, jest tak symboliczny, nie wiedziała.

– Tak czy inaczej będziemy musieli tam pojechać – zdecydował Carney. – Znam to miejsce i naprawdę nie wiem, co może nas zainteresować. Może kościoły albo jakieś krypty.

– Albo ludzie – wtrącił Black. – Nie sądzicie, że mógł się tam schronić Patryk?

– Jak go tam znajdziesz? Przez policję?

– Niby są podstawy. Zniknął i się ukrywa. Oczywiście trzeba by pogadać z kimś nieoficjalnie. Szkoda, że nie mamy jego fotografii, chyba że ma ją Luke, ale niby skąd, może z collegu, a to na nic. Mógł zapuścić brodę, diabli wiedzą, jak wygląda.

– Z tymi kościołami i kryptami to sprawa niełatwa. Nikogo tam nie znamy.

– Chyba że jakieś kontakty ma ksiądz – zaproponowała Charlotte i zwróciła się do Carney'a – zadzwoń do niego.

Detektyw westchnął i smętnie wystukał numer. O dziwne połączenie uzyskał szybko, rozmowa trwała dość krótko, a oczy detektywa robiły się coraz bardziej okrągłe. Stroił przy tym niesamowite miny, wreszcie skończył rozmowę i rozejrzał się po twarzach otaczających go przyjaciół.

– Ten ksiądz jest niesamowity – wyszeptał ze zdumieniem.

– Co się stało?

– Ano nic, tylko tyle, że kiedyś Ei poprosił go o przysługę.

– Może zaczniesz gadać jednym ciągiem, a nie dusić się po każdym słowie – Black przypomniał Carney'owi jego poprzednią uwagę.

– Księżulo powiedział mi, że gdyby ktoś pytał go o Monymusk, to ma go skierować nie do tej miejscowości, ale do kustosa Muzeum Szkocji w Edynburgu i pokazać plakietkę, którą u niego zostawił Eideard. Ei prosił go o to pół roku temu.

– Czemu nie powiedział wcześniej?

– Bo nikt go nie pytał, to chyba jasne – roześmiała się Charlotte, po czym dodała – mam tam znajomości, nie będzie problemu, ale i tak plakietka ułatwi nam sprawę.

– Ciekawe, co jeszcze ksiądz trzyma w zanadrzu – zainteresował się Black. –

Zastanawiam się, czy go nie przesłuchać.

– Nawet na torturach nie powie ci tego, czego powiedzieć nie chce. To Sycylijczyk. Dla niego omerta to omerta, bez względu na to, ile święceń by przyjął i ile biblii przeczytał.

A propos biblii – westchnęła Charlotte. – Chciałabym znaleźć oryginał. To bardzo cenny i rzadki egzemplarz.

– Pewnie też chomikuje ją gdzieś ksiądz – stwierdził Black – a w czarce trzyma cukier, chyba że jest to święty Graal, bo i to w tej sprawie by mnie nie zdziwiło.

– Jedźmy do tego księdza. Nie jest to daleko, oddam mu pendrive i może jeszcze czegoś się dowiemy.

Rzeczywiście, duchowny przekazał im nowe informacje.

Najpierw ksiądz przyjął ich opłatkiem, potem poszli na mszę, którą nazwał pasterką. Było na niej razem z nimi najwyżej dziesięć osób. Z liturgii rozumieli niewiele, ale starali się zachowywać tak, jak reszta wiernych, złożonych wyłącznie z cudzoziemców. Black bardzo podejrzliwie się im przyglądał, na co Charlotte wzruszyła ramionami, a Carney uśmiechał się z politowaniem.

Potem, po wyjściu z kościoła, jeszcze długo rozmawiali, a ksiądz okazał się istną skarbnicą wiadomości, co najmniej jak drzewo poznania w raju, bo miał wiadomości i dobre,

i złe. Niestety, udzielał ich tylko wtedy, gdy został zapytany.

Tu intuicja Charlotte okazała się bezcenna.

– Aaa, pan Patryk – przypomniał sobie bez trudu, gdy Charlotte mu wyznała, po co chcieli jechać do Monymusk – tak dzwonił do mnie, nie dalej jak wczoraj.

– Wie ksiądz, gdzie on jest?

– Nie pytałem – oświadczył beztrząsco – ale chyba potrafię powiedzieć. Gdy dzwonił, akurat zegar wybijał osiemnastą. Nigdy nie pomyłę z niczym tego zegara. Należy do mojego przyjaciela z Dundee, księdza Alexa. I Eideard, i Patryk znali go doskonale, bo nie wiem czy wiecie, ale Campbellowie mieszkali kiedyś w Dundee.

– Wiemy – powiedział zdecydowanie Black.

– No właśnie. Więc albo jest w rodzinnym domu, albo gości u księdza Alexa. Ten duchowny pochodzi z Irlandii, ale już ponad trzydzieści lat przebywa w Dundee. Myślę, że na pewno udzieli wam dodatkowych informacji.

– Nie zamierzamy go niepokoić – obiecał nieco na wyrost Carney – chyba że będziemy mieć jakąś ważną sprawę.

– Możemy zobaczyć tę plakietkę – poprosiła nieśmiało Charlotte, a ksiądz poderwał się ochoczo.

– Mam ją wam dać, tak powiedział Ei, no może nie wam, ale temu, kto będzie pytał o Monymusk. Wy pytaliście, więc wam daję.

Ksiądz otworzył szufladę i wyjął okrągły, przypominający monetę, przedmiot. Była to zwykła blaszka z odcisniętym na niej koptyjskim krzyżem. Wokół niego wygrawerowano napis Monymusk.

Ksiądz podał medal Carney'owi, jakby zaznaczając, że to on pierwszy pytał o Monymusk i oświadczył:

– Ma pan zapytać o kustosza Archibalda. Nie powiem, imię zaszczytne, nie wiem czy oryginalne, czy tylko to jakiś dalszy trop.

Ja chyba wiem – pochwaliła się Charlotte – to właśnie kustosz, bardzo znany renowator zabytków. Nazywają go tak, ponieważ jakoby czyni cuda, przywracając świetność najbardziej zdewastowanym przedmiotom – to taki żart, zastrzegła się, widząc oburzenie na twarzy księdza i żałując, że nie ugryzła się w język.

– Coś podobnego – ksiądz był wyraźnie zde gustowany, ale po chwili się uśmiechnął i dodał – a właściwie dlaczego nie, świętemu to ujmij nie przyniesie.

– Nie miał ksiądz wiadomości od kapitana Blackwooda – wypalił ni stąd, ni zowąd inspektor Black.

– Owszem, miałem – odparł pogodnie ksiądz, nie zauważając konsternacji na twarzach swoich gości – ale to było jakieś dwa tygodnie temu. Wspomniał, że księgę chyba da się odzyskać. Nic więcej nie mówił, a ja nie pytałem, tylko się ucieszyłem.

– Mnie też do cieszności – wystękał Carney, siłując się na obojętność – ciekawe też, co stało się z biblią i porcelanową czarką.

– Zginęły? – zatroskał się ksiądz – podobno złodziej ich nie ruszył.

– Podejrzewamy, że zostały wcześniej podmienione – próbował wybrnąć Carney.

– A to w porządku – uspokoił się ksiądz. – Eideard potrafił zabezpieczyć wszystko, co miało znacznie większą wartość dla porządnym ludzi niż tylko materialną, jak myślą głupcy i złodzieje.

– A o krzyżu ksiądz coś wie?

– Co takiego?

– Ten krzyż, co był w skrytce, może być nawet większą relikwią niż wszystkie pozostałe

razem wzięte.

– Co macie na myśli? – zdumienie księdza było autentyczne. – Krzyż dostał ode mnie jako rodzaj podziękowania za przekazaną kościołowi relikwię. Był oczywiście poświęcony, bo o ile wiem, po oddaniu relikwii Eideard nie miał w domu nic, co można by nazwać świętkiem.

– Skąd ksiądz go miał?

– Otrzymałem od przyjaciela i dawnego opiekuna Monsignora Luka z Sycylii. Co jest z tym krzyżem nie tak?

– Pomijając fakt, że ma ponad tysiąc lat, najprawdopodobniej zawiera gwoździe i drzazgi z Krzyża Świętego, to chyba nic – ironicznie zauważyła Charlotte, ale urwała, bo ksiądz zbladł i ciężko usiadł w fotelu.

Zaniepokojony Black podał mu szklankę wody, a zmieszana Charlotte patrzyła z niepokojem. Po chwili ksiądz przyszedł nieco do siebie.

– Skąd macie takie wiadomości i gdzie ten krzyż jest? – zapytał rzeczowo.

– To ja rozpoznałam, że wygląda na bardzo stary oryginał i poleciłam w British Museum, by został dokładnie sprawdzony – usprawiedliwiała się ze strachem Charlotte.

– Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko – wykrzyknął z radością ksiądz. – Zaręczam wam, że ani ja, ani Eideard nie mieliśmy o tym pojęcia, ale Monsignore Luke z pewnością był tego świadom. Może to temu zawdzięczam, że podniosłem się z upadku, jaki niewątpliwie groził mi w młodości. Zrobię wszystko, by go odzyskać. Jak pani sadzi, czy jest to możliwe?

– Oczywiście – odparła Charlotte – przecież należał do księdza, a ksiądz podarował go Eideardowi w charakterze świętka dla jego obrządków religijnych. Kiedy zmarł i ustała przyczyna przekazania krzyża, może go duchowny na powrót odzyskać, wręczając spadkobiercy na przykład medalik, albo inny poświęcony przedmiot.

– Myślę, że to bardzo dobry pomysł. Dam mu rodzinny szkaplerz, który należał do mojego ojca.

– Niech ksiądz najpierw dokładniej sprawdzi jego historię, by znowu nie było jakiegś niespodzianki – nieco złośliwie wtrącił Black, ale duchowny był chyba zbyt dobroduszny, by wyczuć kpinę.

– Tak uczynię panie inspektorze – oświadczył poważnie ksiądz. – Dziękuję za radę.

Blackowi zrobiło się głupio. Dalsza rozmowa nie przyniosła już nic nowego, ale i to, co uzyskali było nadzwyczaj cenne. Wiedzieli, że Patryk żyje i znali miejsce jego pobytu, ważne było też i to, że kapitan miał jakąś wiedzę o księdze albo nawet jej kopię. To już było coś.

Tuż po świętach postanowili pojechać do Edynburga, a stamtąd prosto do Glasgow.

Inspektor Brian McCoy nie zaniebując bieżących spraw, miał na uwadze również i te, których nie udawało się rozwiązać. Wychodził z założenia, że pomijając wypadki, każde przestępstwo było dokonane w jakimś celu, który prędzej czy później zostanie ujawniony. A to dawało szansę schwytania sprawców. Wiedział od Blacka, że w przypadku zabójstwa Eidearda, cel nie został przez zabójców osiągnięty. To mogło skłonić ich do powrotu.

Poprosił miejscowego policjanta o informację, gdyby właściciel firmy przewozowej pojawił się ponownie i właśnie taką wiadomość otrzymał. Prawie jednocześnie dowiedział się o tym Black i postanowił wzmocnić czujność.

Miejscowy policjant dyskretnie sfotografował kierowcę i jego pomocnika. Znali również ich personalia, ale nie mieli powodu, by ich zatrzymać. Na razie młodych ludzi otoczono dyskretną obserwacją, choć z racji ich zawodu, nie było to wcale łatwe. Tom, właściciel sklepu, rozpoznał pomocnika kierowcy, jako owego motocyklistę, który rok temu pytał o Eidearda i na

jego widok szybko odjechał.

Za to samego kierowcy nie rozpoznał nikt, nawet jego sylwetka, wydawała się świadkom wątpliwa.

Wreszcie policja stwierdziła, że nie tylko ona jest zainteresowana dwoma młodzieńcami. Naprzeciwko firmy spedycyjnej zauważono samochód, którego kierowca fotografował młodych ludzi, a następnie za nimi pojechał. Potem już się nie pojawił, a po sprawdzeniu tablic samochodu, okazało się, że został on skradziony. Znalaziono go zresztą bardzo szybko niedaleko miasteczka, bez jakichkolwiek śladów, pomijając głębokie koleiny na poboczu drogi, jakby po ciężkim motocyklu.

Teraz zaczęto obserwować już nie tylko furgonetkę, ale i pojawiające się w okolicy motocykle. Na szczęście nie było ich zbyt wiele, ponadto, choć nie było do tego właściwie żadnego przesłania, zwracano głównie uwagę na obce rejestracje. To było łatwiejsze, zwłaszcza że ograniczono obserwacje do kilkunastu mil, wokół domu Eidearda.

Jakimś szóstym zmysłem McCoy przeczował, że dom ponownie stanie się obiektem zainteresowania przestępców. Kiedy Charlotte wspomniała, że dom mógł ktoś odwiedzić już po zabójstwie oraz, że mógł być wyposażony w elektroniczny podsłuch, a nawet podgląd, poczuł się tak, jakby go ktoś walnął w potylicę. Sprawdzone obiekty, a ponieważ niczego nie znaleziono, inspektor sam postanowił skorzystać z pomysłu. Sprzęt w zasadzie był prosty i dostępny właściwie dla każdego w zwykłych sklepach ze sprzętem elektronicznym, a co dopiero dla policji kryminalnej.

W trzecią noc po założeniu w domu czujnika głosu i ruchu na biurku inspektora zapalił się sygnalizator. Chwilę trwało zanim zebrał paru ludzi i od razu pojechali.

Niestety przybyli za późno.

Na podłodze biblioteki tuż przy otwartej, pustej szafce ołtarzyka znaleźli zwłoki kierowcy i jego pomocnika. Precyzyjnie oddane strzały, po dwa dla każdej ofiary, nie dawały im żadnych szans na przeżycie. Zabójcy oczywiście już nie było, a nagranie wideo pokazało jedynie wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyznę w okularach, kominiarce i roboczym kombinezonie.

Nie było też żadnych śladów, bo morderca odjechał pojazdem swoich ofiar, który znaleziono kilkaset metrów dalej porzucony w zaroślach. Potem ślad się urywał, choć przypuszczano, jakim środkiem lokomocji podejrzany się oddalił. Zarządzono blokadę, ale po zabójcy jakkolwiek ślad zaginął.

Inspektor Brian McCoy poczuł się tak sponiewierany w swojej ambicji, że odnalezienie zabójcy potraktował jako osobistą sprawę. Beznamiętnym głosem poinformował Blacka o swojej porażce, a ten nawet nie miał siły go pocieszać. Rozumiał co czuł policjant i bardzo mu współczuł. Tu żadne słowa nie były potrzebne. Wiedział, że wszystko się bardzo skomplikowało.

Black z niepokojem poinformował przyjaciół o niepowodzeniu miejscowego inspektora. Poczuli się nieco nieswojo. Nie wiadomo było, skąd może przyjść uderzenie. Ponadto coraz poważniej brali pod uwagę motyw osobistej zemsty. Wiele mógł wyjaśnić sam kapitan i trzeba było jak najszybciej go zapytać, zanim zabójca uniemożliwi z nim jakiegokolwiek porozumienie. Zastanawiali się, czy nie odłożyć wyjazdu do Edynburga, ale po dyskusji doszli do wniosku, że jeżeli do tej pory kapitan sobie znakomicie radził, to i teraz w pałacyku wdowy jest bezpieczny. Wyglądało na to, że zabójcy są skuteczni tylko wtedy, gdy jakimś sposobem trafią na ślad. A wszechwiedzący na szczęście nie byli. To, że zabijali się nawzajem, mniej niepokoiło, choć utrudniało dochodzenie.

Mimo wszystko postanowili spotkać się z Archibaldem, nie wiedzieli tylko o czym mają

z nim rozmawiać. Przecież od razu się zorientuje, że błądzą po omacku. Jedynie obecność Charlotty, mogła trochę złagodzić nieufność, ale na pewno nie skłonić do absolutnej szczerości. Tak przynajmniej sądzili.

W Edynburgu zjawili się wczesnym popołudniem i zostali przez kustosza uprzejmie przyjęci. Charlotte bawiąc się metalowym krążkiem wyjaśniła, że poszukują Archibalda w sprawie Monymusk. Kustosz, nie spuszczać oczu z krążka, zapytał, kto mógł ich do niego skierować w tak dziwacznej sprawie i czy mógłby obejrzeć krążek.

Charlotte podała mu medalion i szczerze przedstawiła okoliczności uzyskania informacji, z naciskiem powtarzając, że Eideard pośrednio umożliwił im kontakt z nim przez pewnego księdza.

Kustosz oddał Charlotte medalion i zaprosił do swojego gabinetu. Gdy zasiedli w wygodnych fotelach, zapytał zniechęcony:

- Wiadomo już kto i dlaczego zabił pana Campbella?
- Wiadomo kto, nie wiemy dlaczego – odparł Carney.
- Kto to był? – kustosz przeniósł wzrok na detektywa i jakby przewiercał go oczami.
- Młody Niemiec, być może dwóch. Wczoraj sami zostali zamordowani w domu

Eidearda, tym razem nie wiadomo przez kogo, ale możemy przypuszczać dlaczego. Nie wykonali zadania.

– Jakiego zadania?

– Jeżeli jest pan Archibaldem, to wie pan tak samo dobrze jak my, że chodziło o kradzież relikwiarza i że skradziono kopię. Nie wiemy tylko dlaczego został zamordowany Eideard. I to w tak okrutny sposób. To musiała być osobista zemsta.

– I była – odparł spokojnie, ale ze smutkiem kustosz.

– Dlaczego?

– Niestety, nie jestem upoważniony do odpowiedzi na to pytanie. Ale istnieje osoba, która tę sprawę państwu wyjaśni.

– Kapitan? – zapytała, a raczej stwierdziła Charlotte.

– Tak, panno Callan

– Pan mnie zna? – zdziwiła się Charlotte.

– Tak, panią miałem zaszczyt poznać osobiście, kiedy jeszcze była pani bardzo małym dzieckiem. Nie pamięta mnie pani, bo i skąd. O panach Blacku i Carney’u słyszałem od wspomnianego przed chwilą dżentelmena, kapitana Blackwooda.

– W takim razie pytam otwarcie, bo nie warto kluczyć – zdecydował Carney. – Po co mieliśmy do pana dotrzeć i to tak krętymi ścieżkami?

– Tak było bezpieczniej. Gdybyście nie trafili tą drogą, to i tak spotkanie byłoby nieuniknione, przynajmniej z panną Callan.

– Dlaczego ze mną?

– Bo Biblia Króla Jakuba, którą Ei zastawił pod moją opieką, należy do pani, podobnie jak czarka z egipskiego alabastru.

Ma ponad trzy tysiące lat. Obydwa dzieła sztuki należały do pani ojca. Eideard tylko na pewien czas je wypożyczył. Niestety, pani rodzice zginęli, zanim Ei zdążył obydwie dzieła zbadać i opisać, a pani była małym dzieckiem. Te przedmioty są u mnie, a właściwie spoczywają w skarbcu muzeum już od piętnastu lat. Trochę trwało wykonanie ich wiernych kopii, które umieścił w swoim schowku Ei. Oczywiście oba dzieła mają dokładną adnotację, czyją są własnością.

– Jestem zszokowana. Jeszcze parę dni temu pragnęłam posiadać choćby kopię tej biblii, a teraz mam oryginał.

– Zawsze go pani miała, ale dopiero teraz może zostać zwrócony. Proszę mi wierzyć, że tak dla wszystkich było bezpieczniej. Całe ryzyko wziął na siebie Eideard. Nie muszę chyba dodawać, że oryginał relikwiarza należy do pana Patryka i że też znajduje się w naszym skarbcu. Stąd nie wydostanie go nikt. Skoro przedmioty są bezpieczne, trzeba tylko usunąć bezpośrednie zagrożenie dla osób. Ale to „tylko”, nie będzie wcale takie łatwe.

Kustosz podniósł się z fotela i zaprosił ich do sąsiedniego pomieszczenia. W rogu stała solidna, ogniotrwała, pancerna szafa, którą kustosz sprawnie i dyskretnie otworzył. Z górnej półki zdjął pudełko, położył na biurku i gestem zachęcił Charlotte, by podeszła. Charlotte zdjęła pokrywę z pudełka, wstrzymała oddech i delikatnie wyjęła stary wolumin. Po chwili podała go Carney'owi, ponownie zanurzyła dłonie w pudle i wyjęła mieniącą się, prześliczną czarkę z alabastru, do złudzenia przypominającą kopię ze schowka Eidearda. Ten przedmiot z kolei podała Blackowi. Był nieco wzruszony, nie wiadomo czy zaufaniem, czy faktem, że trzyma w dłoniach przedmiot mający ponad trzy tysiące lat. Jak błyskawica przebiegła mu myśl, czym mogła być w przeszłości. Może piękna żona faraona trzymała w niej swoje pachnidła albo tusz do barwienia twarzy. Jak wyglądała i co myślała, zanurzając swe kształtne dłonie w zawartości naczynia.

Kustosz chrząknięciem przerwał uroczysty nastrój i podał formularz pokwitowania odbioru cennych zabytków poświadczony pieczęciami muzeum i notariusza oraz certyfikat oryginalności i praw własności Charlotty do zabytku. Po załatwieniu formalności przedmioty zapakowano na powrót do pudła.

Gdy wrócili do pierwszego pomieszczenia, gospodarz nagle wymownie spojrzął na zegarek i z żalem przeprosił, że właściwie już jest spóźniony na ważne spotkanie, co przyjęli w zasadzie obojętnie, pożegnali się i opuścili muzeum.

Charlotte była milcząca, Black zamyślony, jedynie Carney nic nie stracił ze swojej bystrości i pewną ręką prowadził samochód w kierunku Glasgow. Jedyną rzeczą, która go nurtowała, była tajemnicza księga, którą, tego był pewien, musiał mieć kapitan. Jakoś instynktownie czuł, że w niej znajduje się wyjaśnienie przyczyn serii zabójstw, bo w seryjność już nie wątpił.

Ciekaw był okoliczności wypadku rodziców Charlotty oraz męża wdowy Wilshere. Postanowił poprosić też inspektora o materiał ze śledztwa w sprawie śmierci obydwu Niemców, zwłaszcza z oględzin ich mieszkania i miejsca pracy. Miał dobrego znajomego w Berlinie, który, prawdę powiedziawszy, nie wiadomo czym się zajmował. Kurt Bauman z wykształcenia był ekonomistą, pisał jakieś ekspertyzy, analizy dla znanych i mniej znanych firm, czasem wypowiadał się na tematy społeczne, pewnie prowadził jakieś biuro i musiał być znany w kręgach finansistów, ale na czym formalnie polegała jego praca, tego Carney nie wiedział. Nie bardzo też wiedział, o co go zapytać, jedyne co mu przychodziło do głowy, to litery NA na rękawicy motocyklisty. Oczywiście, mógł to być jedynie monogram właściciela lub znak firmy, ale niczego takiego nie znalazł. Wielokrotnie wstukiwał te litery do różnych, nawet specjalistycznych wyszukiwarek i wychodziły mu te same bzdury.

Co do Kurta, na pewno nie zająłby się on wyjaśnieniem kryminalnego wątku, chodziło jedynie o jakikolwiek punkt zaczepienia. Myślał, że może ten skrót jest bardziej znany w Niemczech, ale przesłanek do tego nie miał żadnych.

W każdym razie postanowił zadzwonić do znajomego i to jeszcze dzisiaj.

Herman z zadowoleniem wysłuchał sprawozdania o usunięciu zagrożenia, jakie stanowili Hans i Bruno. Wyrok wydał sąd kapturowy, niezależny organ organizacji, a wykonał wykwalifikowany egzekutor. Kwalifikacje tego człowieka polegały na tym, że był mistrzem wschodnich sztuk walki i znakomitym strzelcem, ponadto od lat trenował motokros, brał też udział w samochodowych rajdach. Wakacje spędzał organizując dla młodzieży obozy przetrwania, z których najlepszych uczestników werbowano do młodzieżówek NA.

Herman, wbrew zasadom konspiracji, znał tego młodego mężczyznę i bardzo go cenił, choć, prawdę powiedziawszy, również nieco obawiał. W razie błędu sąd kapturowy łatwo mógł wydać wyrok na każdego, również na niego. Na szczęście ani sąd, ani Helmut nie byli zorientowani w meritum sprawy. Analizowali jedynie nagranie rozmowy przekazane sądowi przez barmana, podczas której mówiono właściwie jedynie o planowanej kradzieży i zabójstwie Petera.

Tak więc obaj młodzi ludzie, tak dumni z przynależności do NA, zostali skazani przez nią jako pospoliccy kryminaliści i zdrajcy, którzy zszargali honor organizacji i zostali z jej pamięci usunięci na zawsze.

Herman musiał być jednak pewny, czy po Bruno i Hansie nie pozostał żaden ślad, który mógłby prowadzić do ujawnienia organizacji i otwarcie zapytał o to Helmuta. Ten był nieco zaskoczony pytaniem, ale odpowiedział:

– Nie przeszukałem ich mieszkania, ale chyba nie byli takimi idiotami.

– Niestety, po tym, co o nich wiemy, nie można tego wykluczyć. Peter widać nie miał dobrej ręki do tego, by wybrać sobie odpowiedzialnych współpracowników – westchnął Herman i odwrócił się, by nalać koniaku do kieliszków. Gdyby jednak przez chwilę popatrzył uważnie na Helmuta, zobaczyłby tak zimny i nienawistny błysk w tych oczach, jakiego u nikogo nigdy w życiu nie widział, a spotykał się w swoim życiu z różnymi ludźmi.

Gdy się odwrócił Helmut był jak dawniej chłodny, ale opanowany i bez mrugnięcia oka przyjął podany kieliszek.

Więcej o tej sprawie już nie wspomniano, ale Herman postanowił dla Włocha już nie ryzykować. Perugia został sam ze swoją zemstą, o czym jeszcze nie wiedział i zresztą nigdy się nie dowiedział.

Herman niezmiennie odpowiadał, że chłopcy szukają, ale sprawa wydaje się beznadziejna.

Perugio wszak nie ufał w tej kwestii Hermanowi. Sam wiedział, że to właściwie przez jego naciski sytuacja organizacji nieco się skomplikowała. Wykonał na giełdzie kilka ryzykownych posunięć i na razie wyglądało to niewesoło, choć doradcy zalecali cierpliwość i byli dobrej myśli. On jednak, może na skutek rozdrażnienia fiaskiem sprawy relikwiarza, widział wszystko w ciemnych barwach.

Co gorsze osłabił w ten sposób udziały Hermana i Nakayamy. Jeżeli koniunktura się nie odwróci, sam może stać się ofiarą. Póki co nie zamierzał rezygnować z dotarcia do relikwiarza, ale teraz postanowił zabrać się za to sam. Znał paru ludzi mających wprawę w takich sprawach i postanowił te znajomości wykorzystać.

Po stosunkowo krótkim namyśle zawiadomił sekretarkę, że ma bardzo ważne spotkanie na mieście i dzisiaj już do biura nie wróci. Na ulicy złapał taksówkę i kazał się zawieźć na lotnisko. Miał szczęście, bo prawie idealnie zdążył na lot do Palermo i po chwili już siedział wygodnie w samolocie. Czekał go wprawdzie miły lot, ale za to już na miejscu bardzo długa i ciężka rozmowa.

Do Glasgow dotarli pod wieczór. Carney nie spieszył się za bardzo, bo po pierwsze warunki na drodze nie były najlepsze, a po drugie, korzystając z milczenia dziwnie zamyślonego towarzystwa, układał sobie w głowie różne sprawy. Swoim zwyczajem eliminował mniej ważne jego zdaniem wątki, skupiając się na tych, które wydawały mu się kluczowe. Nie miał wątpliwości, że całą sprawę nie rozwiąże sam, postanowił działać tam, gdzie jego udział będzie nieodzowny a resztę zlecić komu innemu, myślał głównie o trzech inspektorach.

Wdowa przyjęła ich bardzo serdecznie. Charlotte zniknęła w kobiecych pomieszczeniach, a kapitan, inspektor i Carney postanowili wyskoczyć do klubu. Zaproponował to Carney, na co inspektor podniósł zdziwiony wzrok, a kapitan zerwał się, jakby ubyło mu dwadzieścia lat.

W Port Glasgow Golf Club nie było zbyt tłoczno, zasiedli więc przy swoim ulubionym stoliku. Carney, pod pozorem pójścia do toalety, ukradkiem zbliżył się do aparatu telefonicznego i wykręcił numer. Zapytał o coś po niemiecku i usłyszał lawinę przekleństw w tym samym języku, po czym trzaśnięcie słuchawki utwierdziło go w przekonanie, że nic tą drogą nie uzyska. Dziwne więc się wydawało, że minę miał raczej zadowoloną, gdy wracał do stolika.

– Muszę przyznać prokuratorze – zahuczał bas kapitana – że nie traci pan klasy. Ten pomysł odwiedzenia klubu był znakomity. Potrzebowałem tego jak łyka świeżego powietrza.

– To chyba kiepskie porównanie – zauważył detektyw, wskazując na kłęby fajkowego dymu.

– Co tam – machnął ręką kapitan. – Nie chodzi o powietrze, ale o atmosferę młody człowieka. Tego mi potrzeba, by zebrać myśli.

– Przyznam się szczerze, że mnie też trochę jakby napięcie minęło – westchnął Carney po wypiciu łyeczka whisky ze szklaneczki.

– Szczerza prawda – zawtórował wilk morski i aż zagulgotało, gdy z kolei przechylił swój potężny kielich z drinkiem.

W kieszeni Carney'a niespodziewanie zawibrował telefon. Kapitan zaczerwienił się ze złości.

– Widać, że nasze damy nie pozwolą nam na zbyt wiele swobody – zauważył z niechęcią.
– Proszę powiedzieć, że mamy ważną naradę – zahuczał buntowniczo.

Carney uspokajająco machnął ręką i wyszedł do szatni, jakby nie chciał by rozmówca słuchał rozbawionych głosów przy stoliku.

– Czyś ty do reszty zwariował, dzwoniąc do biura w takiej podłej sprawie – tym razem głos Kurta był grzeczny, a angielszczyzna bez zarzutu.

– Musiałem jakoś skłonić cię do kontaktu.

– Poruszasz się po śliskim gruncie bracie.

– W czym jest sprawa? – zapytał wreszcie rzeczowo.

– Szczegółów nie znam, nie wiem nawet, czy o to ci chodzi. Poza tym wiedzę na ten temat mam niewielką i nie wiem, czy ktokolwiek może ci pomóc. W każdym razie coś się szepce o jakiejś narodowej, prawie faszystowskiej, międzynarodowej organizacji Neue Achsenmachte.

– Co to znaczy?

– Po angielsku coś jak New Axis Powers – wyjaśnił Kurt.

– Ile w tym prawdy, nie wiem. To bardziej fakt medialny. Ludzie mówią niechętnie o tym, bo oficjalnie nic takiego nie istnieje. To tyle i nie dzwoń w tej sprawie, bo nawet nie mam zamiaru się dowiadywać. W innych kwestiach moje ucho chętnie cię usłyszy. Kończę, bo trochę zmarzłem. Dzwonię z budki na ulicy pod biurem – stuknięcie i ciągły sygnał oznajmiły finisz rozmowy.

Carney wrócił do przyjaciół i zauważył, że nie próżnowali. Nawet Black musiał wziąć niezłego łyka, bo był bardzo rozluźniony. Kapitan przechylał się z jednego poślodka na drugi, co wyglądało tak, jakby uwierało go krzesło, ale kufla nie wypuszczał z ręki. Kelner, nauczony doświadczeniem, trzymał pod ręką ulubioną markę kapitana i był gotów uzupełnić płyn w pojemniku na każdy gest starego wilka morskiego. Detektyw pomyślał z humorem, że naczynie, z którego przeważnie korzystał kapitan, istniało w tym barze wyłącznie w jednym egzemplarzu.

Ponowny terkot telefonu nie pozostawiał już wątpliwości. Dzwoniła Charlotte i kategorycznie zażądała powrotu panów do domu. Nawet nie przyszło im do głowy protestować, więc po spełnieniu porządnej dawki strzeniennego, grzecznie wstali od stolika i wyszli z klubu. Widać mateczka Betty miała na kapitana większy wpływ, niż chciałby się przyznać, bo za drzwiami wilk morski nagle zebrał się w sobie i jakby pozostawiając alkoholowe opary w barze, otrzeźwiał i rażnym krokiem skierował się na parking, gdzie stał samochód detektywa, z potężnym sekretarzem kapitana za kierownicą.

Tego dnia nie poruszyli już sprawy relikwiarza.

Inspektor Luke Friedel powoli przygotowywał się do świątecznego wyjazdu. Nie za bardzo wiedział, po co właściwie tam jedzie, ale obiecał Blackowi i uroczej gospodyni, więc nie miał innego wyboru. Telefon od Patryka, jaki odebrał tego ranka, nieco go uspokoił. Syn Eidearda żył – to było najważniejsze. Niepokoiło go to, że tak starannie się ukrywał. Widocznie orientował się, że coś mu grozi, ale na ten temat Luke nic nie wiedział. Machnął ręką do swoich myśli, wydał podwładnemu dyspozycje i poszedł na lunch.

W ulubionym lokalu niespodziewanie zobaczył znajomego dziennikarza i to siedzącego przy jego stoliku. Ten jakby na niego czekał, bo uśmiechnął się i machnął zapraszająco ręką. Inspektorowi nie pozostało nic innego, jak skorzystać z zaproszenia, choć lunch lubił jadać sam.

– Witam inspektorze – pogodnie zagadnął dziennikarz, jakby nie widząc sztywnej rezerwy inspektora. – Właśnie czekam na pana – z uśmiechem potwierdził najgorsze przypuszczenia Luka.

– Skąd pan wiedział, że tutaj będę? – zapytał nieco głupio, bo sam nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Ostatecznie jestem dziennikarzem śledczym – roześmiał się jowialnie – a poza tym Carney zdradził mi niektóre pana przyzwyczajenia.

– Nie ukrywam, że widok pana wróży kłopoty – wyznał z godnością inspektor.

– Więcej wdzięczności inspektorze – ze śmiechem upomniał go John Carew. – Na ostatniej naszej współpracy nieco pan zyskał.

– No początki nie wróżyły sukcesu, ale Bóg zapłać za szczęśliwy koniec – wypomniał inspektor i zabrał się do jedzenia podanego mu lunchu, choć dziennikarz nie widział, żeby inspektor coś zamawiał. Zapewne nie tylko porę, lokal, miejsce, ale i menu miał stałe.

– Jadę z panem do Glasgow – wypalił dziennikarz i przerwał patrząc z niepokojem, czy inspektor się nie udusi, ale widząc, że z trudem, ale jednak odzyskał oddech, dodał – Carney mnie zaprosił, zdaje się, że ma jakieś sensacyjne ustalenia.

– Nie mówił o co chodzi? – podejrzenie uprzejmie zapytał Luke.

– Podobno jest to wiadomość nie na telefon, jedynie kazał mi się rozejrzeć za jakimiś materiałami o ruchach neofaszystowskich.

– To brzmi niepokojąco!

– Jeszcze jak – nie wiadomo dlaczego ucieszył się dziennikarz – kapitalne tematy na weekendowe felietony.

– Ale chyba nie dla tych, których dotyczą bezpośrednio.

– No raczej nie, ale i tak zagadnienie fascynujące dla dziennikarza śledczego. Mam w swoim dorobku jeden artykuł, po którym straciłem samochód. Samozapłon, tak mi mówiono.

– Kiedy to było? – zapytał rzeczowo inspektor.

– Jakies cztery lata temu.

– Wtedy pracowałem w Manchesterze. Mogę sprawdzić akta.

– Niech pan da spokój. Te środowiska są dość płynne. Jedni mądrzeją, inni działają już może w legalnych organizacjach, jeszcze inni siedzą w więzieniach za podobne sprawy. Nie ma sensu do tego wracać. To przebrzmiała sprawa.

– Jak dla kogo – poważnie stwierdził inspektor. – W Anglii może widać to niezbyt wyraźnie, z kolei w innych krajach takie ruchy są już społecznie zauważalne i na razie można powiedzieć uciążliwe, ale lepiej reagować zawczasu, by nie stały się groźne.

– Pewnie ma pan rację, ale w tej sprawie chyba nie chodzi o ugrupowania brytyjskie. Wbrew pana zapewnieniom ja doskonale wiem, że i one są u nas społecznie odczuwalne.

– To mało pocieszające, ale i tak pewnie trudne do zbadania. Chyba, że będą podstawy do zaangażowania Interpolu. Inaczej ani służbowo, ani prywatnie nie będę mógł włączyć się w tę sprawę.

– Niech pan jednak przed wyjazdem trochę popatrzy w archiwum – nie jakieś tajemnicze śledztwa, ale raczej ogólne trendy, choćby po to, by coś można było wyeliminować.

– Spróbuję.

– Dzięki – zerwał się Carew i dodał – spotkamy się zatem albo na lotnisku, albo na miejscu w Glasgow. Ja wylatuję pojutrze wieczorem.

– Ja również mam rezerwację na ten lot. Do zobaczenia – zawołał wprowadzając w stronę pleców dziennikarza, ale ten chyba usłyszał, bo kiwnął głową.

Inspektor powoli kończył posiłek, ale po raz pierwszy nie był świadom ani co je, ani nawet kiedy skończył, zauważył jedynie, że dziobie widelcem w pusty talerz. Zapłacił i wyszedł. Takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał, ale coraz bardziej rozumiał ostrożność Patryka. W końcu w tej sprawie trup padał dość gęsto. Jak policzył w ciągu miesiąca były już trzy ofiary.

O czwartej ofierze w Niemczech nie wiedział, ale i tak czuł mimowolnie, że nie jest to koniec.

W biurze poinformował, że udaje się do archiwum i spędzi tam resztę dnia. Był coraz bardziej zaniepokojony i postanowił jutro też tam posiedzieć. Ale już teraz mógł powiedzieć, że

bardzo się mylił, bagatelizując problem podczas rozmowy z dziennikarzem. Ten pewnie wiedział więcej, skoro prosił go o sprawdzenie archiwum. Najbardziej uderzył go fakt ścisłej międzynarodowej współpracy ludzi z tych środowisk i bardzo jasno sprecyzowanych celów i metod działania.

W archiwum zapytał siedzącego przy kartotekach młodego policjanta o istnienie na terenie Wielkiej Brytanii nacjonalistycznych subkultur i po kilkugodzinnym wykładzie przeklinał swoją ciekawość bardzo urozmaiconymi słowami.

Chłopak przestraszony rangą inspektora, bardzo sumiennie i dokładnie referował zagadnienie. Skutecznie rujnował przeświadczenie inspektora na temat spokojnego, tolerancyjnego społeczeństwa brytyjskiego.

Inspektor po tym wykładzie, zawiedziony w wierze w wizerunek prawie idealnego społeczeństwa, jakie stanowią Brytyjczycy, spędził jedną z najbardziej ponurych nocy w swoim życiu.

Dziennikarz w tym czasie również nie próżnował.

Powrzucał do przenośnego dysku wycinki niektórych artykułów, obdzwonił kolegów i nieco mniej zaskoczony niż inspektor, bo znał lepiej sprawę, wkrótce był przygotowany do wyjazdu.

Na lotnisku rzeczywiście się spotkali, ale podczas podróży postanowili nie poruszać tematu. Na to przyjdzie czas, gdy znajdą się już w pełnym składzie zainteresowanych osób.

Lolitka, poinstruowana przez szefa, z profesjonalizmem zabrała się do pracy. Jedynym punktem zaczepienia byli dwaj młodzi ludzie zamordowani w domu Eidearda. Bez trudu uzyskała ich personalia, gorzej było z adresami.

Inspektor McCoy powiedział jedynie, że wcześniej mieszkali w Monachium i pracowali w warsztacie samochodowym w Norymberdze. Koledzy, korespondenci zagraniczni dotarli jednak do notatki prasowej, z której wynikało, że podczas brawurowej jazdy na autostradzie do Berlina zginął właściciel tej właśnie stacji obsługi samochodów. To już było coś, bez względu na to, czy miał do czynienia z wypadkiem, czy zaplanowanym zabójstwem

Lolitka, która nie znała się przesadnie na samochodach, postanowiła jednak pojechać do warsztatu, przynajmniej wymienić olej i dokonać przeglądu stanu technicznego. Kolega, od którego pożyczyła samochód, sugerował wprawdzie, że oddanie do sprawdzenia, wzorowo działającego samochodu, będzie podejrzane, ale udawanie idiotki przyszło jej stosunkowo łatwo. Mechanicy mieli niezły ubaw, kiedy, kalecząc język, wymyślała coraz nowsze usterki. Wreszcie poradzili jej, żeby oddała samochód właścicielowi i pożyczyła od nich służbowego Land Rovera.

– Możecie pożyczyć mi służbowy samochód? – zdziwiła się naiwnie.

– Nie jest nam potrzebny – odparł dość sympatyczny chłopak. – Pracujemy na miejscu, a ten był używany przez poprzedniego właściciela.

– Dlaczego był?

– Ponieważ miał wypadek. Nie żyje! – i pospiesznie wyjaśnił – ale nie tym samochodem. Z jego mercedesa wiele nie zostało. Niech pani bierze. Jest na pewno bardzo sprawny. Mamy tu jeszcze jeden identyczny, jego kolegi.

– A ten też zginął? – udała przerażenie.

– Nie – odparł drugi – chyba nie, podobno gdzieś wyjechał. Nas zatrudniono dopiero

niedawno. Teraz warsztat należy do siostry poprzedniego właściciela. To policjantka, więc sama pani rozumie, że o żadnych fuszerkach nie ma mowy. Zresztą my Niemcy pracujemy solidnie.

– Wiem – zapewniła dziennikarka. – A właścicielka nie będzie miała pretensji?

– Nie, ponieważ sama nam poleciła pożyczać go klientom. A pani jest naszą klientką – zarechotał, nie wiadomo dlaczego.

– A ten drugi jak wróci, nie będzie miał pretensji?

– Lepiej żeby nie wracał – ponownie zarechotał chłopak.

– Nie ma dnia, żeby pani Lotte nie pytała o niego. Pewnie będzie miał spore kłopoty, jak się za niego zabierze.

– Taka groźna – uśmiechnęła się dziewczyna – zaczynam się bać. Co się stanie jak go zepsuję?

– Nic – machnął ręką chłopak – przecież to warsztat samochodowy, damy radę, a Land Rover tak łatwo się nie psują.

– A dlaczego pani Lotte tak się zawzięła na poprzedniego użytkownika?

– Nie na użytkownika, tylko na faceta. Jak pani chce zobaczyć więcej takich przyjemniaczków, niech pani idzie do podmiejskiej piwiarni albo na któryś mecz ligowy i spojrzysz na niektóre sektory.

– To znaczy był łobuzem?

– Ładnie powiedziane panienko. Lepiej niech pani nie korzysta z rady kolegi i trzyma się raczej eleganckiego towarzystwa.

– Dobrze – dygnęła głupio Lolitka. – Przyjdę jutro po samochód, jeśli panowie są tacy mili.

– Oczywiście, jesteśmy bardzo mili – śmiali się doskonale ubawieni sytuacją obaj mechanicy.

Lolitka wspaniale odegrała rolę kretynki, jaką wybrała do tej rozmowy. Ci nowi mechanicy, byli chyba w porządku, ale zaciekała ją owa Lotta. Policjantka, której brat obracał się w tak podejrzanym towarzystwie. Oczywiście, mógł nic nie wiedzieć o grzechach swoich pracowników, ale to było mało prawdopodobne. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Jeśli się umiera w dość podejrzanym okolicznościach, prawie w tym samym czasie ginie związanych z nim bezpośrednio lub pośrednio troje ludzi w różnych miejscach, w tym dwoje na miejscu poprzednio popełnionego morderstwa, to nie może to być przypadek i trzeba pójść tym tropem – zdecydowała.

Nazajutrz, wczesnym rankiem Lolitka zjawiła się w warsztacie, dostała kluczyki oraz dokumenty samochodu.

– Bardzo panią przepraszamy, że nie zdążyliśmy dokładnie go posprzątać – usprawiedliwiał się młody chłopak, nieświadomy tego, jaką radość ta informacja sprawiła Lolitce. – Myśleliśmy, że przyjedzie pani później. Zaraz się za to zabierzemy – obiecał.

– Mowy nie ma – zawołała Lolitka – mało, że robicie mi uprzejmość, to jeszcze będę narażała was na dodatkową pracę. Nie potrzebuję samochodu na długo, najwyżej na dwa trzy dni, do myjni mogę sama zajechać, jak go pobrudzę. Teraz wygląda bardzo dobrze.

– Jeśli tak, to w porządku. Proszę wypełnić formularz odebrania samochodu zastępczego i życzymy szerokiej drogi.

Lolitka błyskawicznie załatwiła formalności i wyjechała z warsztatu.

Do hotelu, gdzie się zatrzymała, nie miała daleko i już po pół godzinie dokładnie penetrowała wnętrze samochodu. Portier zza szyby ze zdziwieniem obserwował, jak drobna blondynka buszuje we wnętrzu samochodu. Przez chwilę miał ochotę jej pomóc, gdy nie mogła sobie poradzić z otwarciem wytaszczonej z trudem skrzynki narzędziowej, ale sytuacja tak go

bawiła, że postanowił nie rezygnować z darmowej rozrywki. W końcu na co dzień jego zajęcie było dość nudne.

Wreszcie przedstawienie dobiegło końca. Zmachana panna wgramoliła na powrót kuferek do samochodu, wyjęła z niego jakieś zawiniątko, weszła do recepcji, zabrała klucz od swojego pokoju i prawie wbiegła na schody. Portier był coraz bardziej zdziwiony..

Lolita rozłożyła na stole znalezione w samochodzie skarby. Przede wszystkim odnotowała wszystkie dane z karty wozu właściciela, następnie za pomocą skanera przeniosła obraz wszystkich znalezionych papierów do pamięci komputera. Były to jakieś kwity i rachunki, karta parkingowa oraz notesik – kalendarz. Niestety prawie pusty, nie licząc jakichś inicjałów i paru numerów telefonu. Zastanawiał ją również znajdujący się w skrzynce narzędziowej mały kluczyk, nie wiadomo od czego i para czarnych rękawiczek, chyba jednak nie roboczych, bo wykonanych z eleganckiej cienkiej skóry, ozdobionej czerwonym nadrukiem NA.

Nie wiedziała dlaczego, ale nadruk ten wydał się jej jakiś groźny. Postanowiła na wszelki wypadek jeszcze wszystko sfotografować, a kluczyk dorobić w jakimś punkcie usługowym.

Cały materiał natychmiast przesłała na skrzynkę Johna Carewa. Po wykonaniu tych czynności, ponownie zabrała zawiniątko i opuściła hotel. Zdecydowała się przede wszystkim zrobić duplikat klucza, a wszystko, co zabrała z samochodu, odłożyć na swoje miejsce.

Odszukanie punktu, w którym dorabiano klucze, nie było trudne, ponieważ w recepcji uzyskała adres, ale dopiero wtedy, gdy oddała swój do hotelowego pokoju, co recepcjonista sprawdził bardzo rzetelnie i dokładnie. Zaskoczyło ją to nieco, nie wiedziała bowiem, że swoimi poprzednimi poczynaniami bardzo zdziwiła pracownika hotelu, który patrzył na nią z pewną nieufnością.

Drugi raz zdumiała się, gdy pan z punktu usługowego kategorycznie odmówił wykonania duplikatu klucza.

- Dlaczego? – zapytała z wyrzutem.
- Bo tego rodzaju kluczy nie dorabiamy.
- Dlaczego? – ponowiła pytanie, co pracownik złożył na karb jej kiepskiej znajomości niemieckiego.
- Bo to jest klucz od jakiejś skrytki i może go mieć wyłącznie właściciel i gospodarz obiektu.
- Dał mi go przyjaciel przed wyjazdem i kazał pilnować – kłamała na potęgę – a ja, znając mój talent do gubienia wszystkiego, wołałam dla bezpieczeństwa zrobić drugi. On nie jest chyba od skrytki w banku, bardziej myślałam, że od skrzynki na listy.
- Nie na listy – odpowiedział mężczyzna takim tonem, jakby wiedział, że kłamie. – To jest kluczyk z boksów na dworcu albo w którymś supermarkecie. Chyba pani przyjaciel nie wyjechał na długo, bo po pewnym czasie takie skrytki są otwierane i opróżniane.
- Po jakim?
- Zależy od wewnętrznych przepisów. Czasami ze względów bezpieczeństwa otwierane i sprawdzane bywają wszystkie, ale opróżnianie robi się przeważnie po jakimś czasie, chyba, że użytkownik opłaca taką skrytkę stale.
- Po co?
- Różne mogą być przyczyny. Ludzie bywają dziwni. Na przykład jakiś szanowany mąż i ojciec rodziny prowadzi podwójne życie i trzyma tam garnitur albo sztuczne wąsy – zaśmiał się z własnego dowcipu, jakby poweselał i poprosił jeszcze raz o kluczyk. – Widzi pani? Tu jest numer 1645. Takiego wysokiego numeru w hipermarketach chyba nie ma. To raczej jakiś duży dworzec. Może w Berlinie, Monachium albo w Hamburgu.

– Właściwie guzik mnie to obchodzi – rzuciła beztrąsko Lolitka, widząc, że facet i tak jej nie wierzy. Po prostu muszę go teraz dobrze pilnować. Dziękuję panu i przepraszam za kłopot.

– Nie ma za co – pożegnał ją mężczyzna i spokojnie wrócił do własnej pracy.

Lolitka nie wiedziała teraz, co zrobić. Kluczyk musiała odłożyć tam, skąd go wzięła. Gdyby go zabrała, a potem by się to wydało, policjantka na pewno by jej tego nie darowała. I tak zaczynała stąpać po cienkiej linie. Z drugiej strony dziwiło ją, że ten samochód po śmierci właściciela był sprawdzany. No tak – monologowała – ale tutaj powszechnie uważano, że Peter zginął w wypadku. Właściwie, jeżeli nie znało się dodatkowych okoliczności, tak to wyglądało. Zresztą, nawet wiedząc o okolicznościach, nic nie potwierdzało jej podejrzeń. Nawet nie tyle jej, co Johna.

Carew miał dziennikarskiego nosa, o tym Lolitka wiedziała, a poza tym bardzo lubiła szefa. Nawet przed samą sobą nie chciała się przyznać, że było w tym coś więcej. Może dlatego postanowiła na wszelki wypadek odwiedzić dworce w miastach wytypowanych przez fachowca od kluczy i w dodatku skorzystać z pociągu, bo te przynajmniej zawiozą ją na właściwe miejsca. Wiedziała, że jest to szukanie igły w stogu siana, a czasu miała niewiele. Raczej dla własnego sumienia i wrodzonej dociekliwości postanowiła sprawdzić przynajmniej te trzy dworce, o których wspomniał pracownik punktu, choć wiadomo było, że po prostu przyszły mu do głowy pierwsze z brzegu miasta.

Najpierw, ponieważ było najbliżej, pojechała do Monachium. Ku własnemu zdumieniu, skrytkę odnalazła bardzo szybko. Była w niej torba, której zawartość zmroziła ją do reszty. Sfotografowała wnętrze, ale nie miała ochoty, ani odwagi, by ją zabrać.

Po powrocie do Norynbergi od razu zadzwoniła do Szkocji, a następnie postanowiła pójść na policję i poszukać pani Lotty Schmidt, siostry Petera.

W pałacyku wdowy Wilshere w końcu zebrało się ściśle grono najbardziej zainteresowanych sprawą osób. Wieczór zaplanowany był raczej nieszczególnie, ponieważ przygotowania do Hogmanay nie dawały im zbyt wolnego czasu, ale sprawa była na tyle pilna, że postanowili coś przynajmniej wyjaśnić. Najbardziej interesowało ich to, co miał do powiedzenia kapitan, ale ten wyraźnie zwlekał, wreszcie kiedy już nie znalazł wykrętów, postanowił co nieco wyjawić.

– Jeżeli, jak sugerujecie, cała sprawa ma korzenie w przeszłości, to jedyne co mi przychodzi do głowy, to okoliczności w jakich relikwiarz trafił w nasze ręce.

– To znaczy w czyje? – zapytał z naciskiem Carney.

– Widzisz młody człowieku – zaczął kapitan z westchnieniem – Eideard, Sir Wilshere, Callan, ojciec panny Charlotte, ja i jeszcze trzech porządnych chłopaków tworzyliśmy grupę zwiadowczą. Nie chwalać się, jedną z najlepszych w kompanii. Wojska nieprzyjaciela składały się głównie z Włochów, ale były też oddziały sił sprzymierzonych. Wdarliśmy się klinem w pierścień wrogich sił i trzeba było sprawdzić, co w trawie, a właściwie w piasku, piszczy, bo cała historia toczyła się w Egipcie. Wpadliśmy w zasadzkę, choć może to za dużo powiedziane. Po prostu natchnęliśmy się na liczebniejszy oddział, ale mieliśmy się na baczności. Rozpętała się piekielna strzelanina. Straciliśmy trzech chłopaków, każdy z nas też trochę oberwał. Ale najgorzej było z pani ojcem. Callan leżał na plecach, a na nim z bagnetem w dłoni pochyłał się jakiś włoski żołnierz, jak okazało się później ich dowódca. Najbliżej w kałuży krwi leżał Eideard. Nie wiem jak to zrobił, ale zmacał gdzieś pod ręką przydrożny kamień i z całą desperacją walnął go w głowę. A trzeba wam wiedzieć, że w takich chwilach wali się z ogromną siłą. To był jakiś

oficer, tylko w czapce, a nie w hełmie. Bałwan jeden i tak zakończył swoją wojaczkę.

– To stąd pewnie ten kamień jako narzędzie zbrodni – wyszeptała Charlotte.

– Pewnie tak – przyznał Carney i widząc, że kobieta drży, ujął jej dłoń.

– Może – obojętnie stwierdził kapitan i kontynuował. – W każdym razie przetrząsnęliśmy

Włochom mapniki, kieszenie i plecaki, bo każdy szczegół na wojnie jest ważny i zwialiśmy, bo strzały mogły kogoś zaalarmować. Udało nam się w końcu dotrzeć do jednostki.

– Co to ma wspólnego z relikwiarzem? – nie ustępował Carney, choć odpowiedź przypuszczalnie znał.

– Myślałem, że jest pan bystrzejszy prokuratorze – warknął kapitan. Ten oficer miał go w plecaku. Wiem, że to dziwne i głupie, ale ten, kto idzie na wypad w furazerce zamiast hełmie, geniuszem być nie mógł. Ponieważ relikwiarz nie krył żadnych tajemnic wojskowych, wręczyliśmy go Eideardowi na pamiątkę jako bohaterowi dnia. Właściwie włożyliśmy do plecaka, bo był nieprzytomny. Stracił dużo krwi. Kiedy doszedł do siebie był wściekły z powodu formy naszego uznania, ale było już późno. Odjechaliśmy stamtąd parę dni później i od miejsca zdarzenia dzieliło nas ponad 100 kilometrów. A komu mieliśmy to niby dać? Dowódcom wrogiej armii czy naszej?

– Tak chyba się robi, że daje się własnym dowódcom – z wahaniem zauważyła Charlotte.

– W książkach może tak piszą, moja droga – zaśmiał się kapitan. – W życiu, a już z pewnością na froncie, jest nieco inaczej. Proszę sobie wyobrazić, że z jakiegoś dziwnego powodu, mieliśmy więcej do zawdzięczenia Eideardowi niż im.

– Ale Eideard nie przeszedł nad tym do porządku dziennego.

– Nie! – mocno podkreślił kapitan. – Postanowił, że dotrze do prawowitego właściciela przedmiotu i go zwróci i wtedy...

– Co wtedy? – zapytał Carney, gdy milczenie kapitana się przedłużało.

– Od tego momentu zaczął wracać do zdrowia, a było z nim już bardzo źle. Transfuzji krwi, biorąc pod uwagę, że był to front w Afryce, nie robiło się przesadnie często – zakpił wyraźnie.

– Co było dalej?

– Eideard chciał być w porządku i z własnym sumieniem, i z przepisami, ale też wierzył, że zdrowie zawdzięcza relikwii, więc chytrze się do tego zabrał. Poszedł do spowiedzi i pokazał skrzynkę kapelanowi. Ten wydusił, że jest to cenny relikwiarz i o mało się nie skręcił ze złości, że tajemnica spowiedzi nakazuje mu zachować te informacje dla siebie. Sugerował, aby oddać skarb do kościoła. Też był cwany, bo proponował Eideardowi odpust zupełny.

– I co? Nie wydał waszej tajemnicy? – zapytał Black, uśmiechając się mimowolnie.

– Pewnie by nie wytrzymał, ale jakoś tak tydzień później zginął podczas nalotu. Szkoda było człowieka, bo pomijając, że chciwy był jak diabeł, to jednak bardzo poczciwy.

– Nie zmienia to faktu, że Eideard w istocie nie dotarł do właściciela relikwiarza.

– Ale nie dlatego, że nie próbował! Księga, którą pisał przez całe życie, to między innymi historia długich lat jego poszukiwań, choć nie tylko.

– I teraz diabli ją wzięli – warknął Black, nieco obłudnie.

– Wypraszam sobie – oburzył się kapitan i dodał z godnością – ja ją mam! Nic z tego – zastrzegł się od razu – dostaniecie tylko rozdział dotyczący poszukiwań, choć nie bardzo wiem, co wam z tego przyjdzie, o reszcie pogadamy kiedy indziej, bo to nie tylko moja tajemnica.

Kapitan wskazał leżącą na stole zwykłą kartonową teczkę i zwracając się do Carney'a powiedział – proszę bardzo przyjacielu. Może pan to sobie zabrać i poczytać.

Carney spojrzał pytająco na inspektora Friedla, ale ten miał nieprzeniknioną twarz, westchnął zatem, sięgnął po leżącą teczkę i wydobył z niej plik wydrukowanych kartek. Wszyscy

pochylili się i czytali zarówno z ciekawością, jak i z pewnym niedowierzaniem. Tekst zawierał jakby opis najbliższej okolicy zamieszkania Eidearda i codziennych zajęć jej mieszkańców. Wszyscy podnieśli zdziwione spojrzenia na kapitana i Carney'a, ale z całego towarzystwa jedynie on i dwaj inspektorzy wiedzieli o istnieniu kodu, przy czym jeden z nich, właśnie inspektor Luke Friedel, miał go przypuszczalnie w kieszeni. Z jakiegoś powodu nie chciał o tym mówić, więc i Carney powstrzymał się od komentarza.

Charlotte wyjęła z ręki Carney'a plik kartek i zauważyła:

– To jakiś rodzaj pamiętnika. Popatrzcie, wyraźnie widać datę i krótki opis, czasem jakiś komentarz. Na przykład:

– *13.04.1943 – otrzymałem od przyjaciół drogocenną pamiątkę. Komu i przez kogo została przez poprzedniego właściciela skradziona? Następną: 15.04.1943 – drogocenna pamiątka jest relikwiarzem. Trzeba znaleźć właściciela.*

– To chyba jasne zapisy – zauważyła wdowa Wilshere.

– No to popatrzmy tutaj – nie dawała za wygraną Charlotte. – *25.06.1976 – ogród nadal otoczony murem, a furka zatrzaśnięta. Nielatwo się porozumieć, gdyż nasi sąsiedzi opuścili domy, które były kompletnie zniszczone. Nie można poznać, gdzie były piwnice, a cóż dopiero kuchnie i kominy.*

– Co z tego wynika według ciebie – zainteresował się Carney.

– W tym czasie Eideard mieszkał w Dundee. Założmy, że wierzę w istnienie posiadłości tak ogrodzonej i z tak zatrzaśniętą furką, że nie można się do niej dostać, ale na pewno nie uwierzę, by którakolwiek z części miasta doznała takich zniszczeń. Nawet gdyby zrównano wszystko z ziemią, byłby opis miasta sprzed tego kataklizmu.

– No tak, ma pani rację – przyświadczył Black. Potrzebny jest kod.

– Nie o to mi chodziło, bo to oczywiste.

– Nie rozumiem.

– Coś innego jest tu bardziej zastanawiające – potrząsnęła głowa Charlotte. –

Zastanawiam się, co otrzymał złodziej.

– Nie rozumiem – huknął kapitan. – To jest na pewno sekretna księga Eidearda.

– Ale ona była pisana sukcesywnie i to jednocześnie w wielu rozdziałach, nie mogła być więc oprawiona, co najwyżej składana w skrzynkę, jak dawne kroniki i rękopisy, które oprawiano po śmierci autora albo oprawiano je, gdy były definitywnie skończone.

– Skąd wiesz, że jej nie skończył?

– Bo na ostatniej stronie jest data sprzed dwóch miesięcy – zauważyła Charlotte. – *22.10.2004. – Młode sadzonki wysłałem znajomym. Dla głównej rośliny nadal nie znalazłem ogrodu, a czas nagli i szkodniki zaczynają ją atakować. W zachwaszczonych warunkach zginie na pewno. Niech lepiej kwiat spocznie w szklarni, a korzenie przetrwają w zastępczym źródle – zacytowała. – Nie oprawił jej nawet po tym, jakby się wydawało, definitywnie podsumowującym zapisie.*

– Niby dlaczego nie, młoda panno – dziwił się nieco kapitan.

– Na pewno nie, bo wprawdzie na tym skończył rozdział o relikwiarzu, ale inne sprawy, o których nie chce mówić kapitan, pewnie nadal się toczyły i były zapisywane.

– Jakie sprawy? – zapytał Carney, zanim zdążył ugryźć się w język, co powinien był zrobić, widząc twarz kapitana.

– A na przykład sprawy jakiegoś Monymuska – wypaliła z satysfakcją Charlotte, a kapitan udał, że jest całkowicie głuchy.

Wszyscy milczeli i pytająco patrzyli na kapitana.

– Czas spać – kapitan odzyskał nagle głos, ku dużej uciechu obecnych, bo była dopiero

godzina czwarta i jeszcze całkiem jasno za oknami, ale jakby posłuszni poleceniu podnieśli się z foteli. Kapitan końcami palców chwycił rękaw marynarki Carney'a i szepnął mu do ucha – i zazdroścę ci, i współczuje młody człowieku – ta kobieta to skarb i kłopot w jednej osobie. Póki będziesz z nią szczerzy, masz najwierniejszego przyjaciela, ale gdy coś spróbujesz pokręcić, przejrzy cię na wylot i nigdy już nie odzyskasz zaufania.

– Miała rację z tym pamiętnikiem?

– Absolutną! To prawda, że złodziej otrzymał zwykłą bajkę. Dam ci do przeczytania, uśmiejesz się. Jeśli się nie zna prawdy, to można łatwo uwierzyć w te zapiski – Carney zauważył, że kapitan musiał być bardzo zdenerwowany, skoro mówił do niego per ty, czego nigdy wcześniej nie czynił. – Oczywiście w bajki, w które się chce wierzyć – dokończył kapitan i lekko popchnął detektywa do wyjścia.

W holu, gdzie znajdowało się kilku niezorientowanych w historii gości, woleli już tego tematu nie kontynuować.

Lolitka z dużą obawą wchodziła do pokoju, w którym urzędowała Lotte. Przedstawiła się i poprosiła o rozmowę, na co policjantka podniosła głowę i spojrzała uważnie.

Nie bardzo wiedziała, co myśleć o siedzącej przed nią młodej dziewczynie. Wyglądała na bardzo skupioną, ale wyczulone oko policjantki zauważyło też, że bardzo się czegoś boi. Nie chciała mówić, więc być może onieśmiało ją samo miejsce.

Lotte postanowiła jej nieco pomóc.

– Chce pani złożyć doniesienie lub jakieś zeznanie?

– Sama nie wiem, to zależy od wyniku naszej rozmowy. Muszę się do czegoś przyznać.

– Słucham panią.

– Nie tutaj. Specjalnie czekałam, aż będzie pani kończyć pracę. Możemy pójść na przykład na kawę.

– Nie załatwiam spraw służbowych w kawiarni – sucho i z naciskiem odpowiedziała policjantka.

– To sprawa prywatna. Chodzi o pani brata Petera.

Tym razem policjantka popatrzyła dłużej w twarz, wydawało jej się nastolatki, choć stażystka Timesa musiała mieć już swoje lata.

– Dobrze – zdecydowała i podniosła się z za biurka. – Właśnie skończyłam pracę. Tu niedaleko jest miła kafejka, chętnie usiądę na chwilę, bo też jestem trochę zmęczona.

Lolitka nie protestowała, choć wiedziała, że najprawdopodobniej czeka je natychmiast podróż do Monachium, tym razem raczej samochodem, w którym łatwiej można było wszystko wyjaśnić.

Po wyjściu z komendy zatrzymała policjantkę i powiedziała jej, że sprawa jest tak pilna, że nie mogą sobie pozwolić na stratę czasu. Na widok Land Rovera zatrzymała się i oświadczyła.

– Skąd pani ma ten samochód? Albo pani powie od razu o co chodzi, albo wracamy na komisariat – zagroziła, wskazując brodą przechadzający się ulicą patrol.

– Powiem pani w samochodzie, kiedy będziemy jechać. W każdym razie pani brat nie zginął tak zupełnie przypadkiem, ale dlatego że, jak przypuszczam, wpakował się w paskudne sprawy. Więc niech pani decyduje, co pani chce zrobić. Jeśli pani chce, niech ten patrol jedzie za nami. Może nawet lepiej, choć uprzedzam, że jedziemy do Monachium. Ja jestem tylko dziennikarką śledczą, wprawdzie dużej gazety, ale tylko gazety, natomiast pani reprezentuje organy ścigania swojego kraju. Nie chce pani dotrzeć do zabójców swojego brata?

Policjantka wskazała ręką samochód i wyszeptła głucho – oczywiście, że chce. Niech

pani prowadzi.

Obie kobiety wsiadły do zielonego terenowca i wyjechały z parkingu. Po kilkunastu minutach znajdowały się na autostradzie do Monachium.

– Pytam ponownie, co pani wie i skąd ma pani ten samochód?

– To samochód zastępczy z pani warsztatu, gdzie naprawiałam swój. Ale niech pani nie myśli, że przyjechałam tam przypadkowo. Prawdę powiedziawszy nałamałam sobie nieźle głowę jak zepsuć swój samochód, żeby go przyjęli do naprawy, ale mi się nie udało. Pracownicy sprawdzili wszystkie wymyślone przeze mnie usterki i, krótko mówiąc, posłali mnie do diabła. W każdym razie na moje rozpaczliwe błagania pożyczili mi samochód na dwa dni.

– Po co to wszystko?

– W Szkocji zostali zamordowani dwaj byli pracownicy pani brata, Hans i Bruno.

– W Szkocji? – zdziwiła się bardziej miejscem, niż samym faktem.

– Tak – potwierdziła poważnie dziennikarka. – Sprawdzono ich adresy i poprzednie miejsca pracy. Kiedy koledzy korespondenci z Niemiec znaleźli wzmiankę o tragicznej śmierci ich pracodawcy, postanowiliśmy to sprawdzić.

– I do czego pani doszła?

– W rzeczach pozostawionych w Land Roverze, należącym do pani brata Petera, znalazłam kluczyk. Wiem, że to paskudne co mówię, ale dziennikarze śledczy nie mogą być i nie są za bardzo delikatni w takich sprawach. Często ledwo ocieramy się o etykę, ale przecież też jesteśmy ludźmi. Dlatego zwróciłam się do pani, bo chodzi przecież o bliską pani osobę, o brata. Proszę zobaczyć, to jest kluczyk ze skrytki dworca głównego w Monachium.

– Skąd pani wiedziała?

– Rozpoznał go fachowiec z punktu, gdzie dorabiają klucze.

– Pani jest faktycznie niezła – z uznaniem zauważyła policjantka. – Ufam pani. Co było dalej?

– Przestraszyłam się nieco pani zawodu – wyznała szczerze Lolitka, ale uśmiechnęła się i wyznała – postanowiłam jednak, że poprowadzę sprawę normalnym dziennikarskim trybem i pojechałam tam.

– I co?

– W skrytce jest torba, a w niej kupa broni.

– Rany boskie! I to tam zostało?

– A co miałem zrobić? Gdyby ktoś mnie z tym złapał, nie wyszłabym z więzienia. Jestem cudzoziemką, nie wiedziałabym co robić, jak wytłumaczyć.

– To prawda, ale jeżeli ktoś obserwuje skrytkę i zobaczył obcą osobę?

– O tym nie pomyślałam? – wyznała szczerze Lolitka.

– Niech pani jedzie szybciej – policjantka wystukała jakiś numer i zapytała – która to skrytka.

– 1645.

– Norbert? – rzuciła w słuchawkę. – Gdzie teraz jesteś? – Po wysłuchaniu odpowiedzi poprosiła – przypilnuj mi na chwilę w boksach skrytki 1645. To poważna sprawa. – Wyłączyła telefon. – Norbert jest policjantem na dworcu w Monachium – wyjaśniła. – Dostał nowy przydział dwa miesiące temu. To mój przyjaciel. Bardzo bliski przyjaciel, zresztą co tu ukrywać, mieszkamy razem, ale wie pani, żyjemy tak z doskoku. Teraz ja też się staram o przeniesienie do Monachium.

Po tym wyznaniu policjantka stała się Lolitce o wiele sympatyczniejsza, jako zwyczajna, mająca prywatne życie kobieta. Pomyślała, że jej życie na razie też jest takie mało prawdziwe – gazeta, śledztwo, wyjazdy, wiadomości i tak na okrągło.

– Przepraszam, że wywlekam prywatne sprawy – usprawiedliwiła się policjantka, która milczenie dziennikarki przyjęła jako dezaprobatę.

– Nie ma za co, po prostu pani przez chwilę zazdrościłam.

– Pani? – zaśmiała się kobieta, przecież jest pani ode mnie dużo młodsza, zna pani wielu ludzi.

– Zbyt wielu, więc o żadnym z nich nie mogę powiedzieć: „bardzo bliski przyjaciel, mieszkamy razem” – w głosie dziewczyny zabrzmiał autentyczny żal. – Chciałabym mieć taki problem jak pani: „staram się o przeniesienie, by być z kimś razem”.

– Znajdzie pani, ja też swoje odczekałam. Każdego raził mundur, choć pracuję w służbie kryminalnej i właściwie noszę go tylko od święta. Mojego brata też mundur raził, podobnie jak praca naszego ojca – był prokuratorem. Prawdę powiedziawszy Peter nie był dobrym człowiekiem. Pogardzał ludźmi, cenił tylko siłę. No cóż, być może znalazł się silniejszy. Niech pani jedzie szybciej.

Z niedowierzaniem Lolitka wpatrywała się w pustą skrytkę. Czuła, że robi się jej na przemian raz gorąco, raz zimno. W wyobraźni widziała na przegubach kajdanki i dziwiła się, dlaczego nie ma ich w rzeczywistości.

Przyjaciel policjantki mruknął coś i popędził do biura, gdzie miała dyżur obsługa monitoringu. Kazał natychmiast zabezpieczyć nagrania z całego popołudnia i to nie tylko z rejonu boksów, ale całego dworca. To polecenie, jak się potem okazało, znacznie przyspieszyło wyjaśnienie sprawy.

Lotte nie czyniła wyrzutów Lolitce, która nie miała doświadczenia w postępowaniu z bronią. I tak okazała się osobą odpowiedzialną, skoro dokładnie sfotografowała znalezisko, a potem szybko dotarła do policjantki. Norbert sporządził krótką notatkę z przebiegu zdarzenia i dołączył do niej wykonane przez dziennikarkę zdjęcia.

Kobieta, w związku z tym, że w całe zdarzenie zamieszany był jej brat, złożyła wniosek o zawieszenie w czynnościach, którego nie przyjęto. Co więcej, zwierzchnik powierzył jej prowadzenie śledztwa, jako osobie dobrze zorientowanej w sprawie. Widocznie miała naprawdę doskonałą opinię i była osobą godną zaufania.

Lolitka cieszyła się z tego.

Bagażowy z dworca spokojnie obserwował krzątanią wokół skrytki, którą udało mu się opróżnić przed przybyciem policji. Miał szczęście, że zauważył tego chudego wypłosza, kiedy dobierał się do skrytki. Peter zlecił mu jej pilnowanie, a klucz zapasowy miał pod ręką.

Nie wiedział kogo Peter przyśle po odbiór towaru, ale nie spodziewał się takiego wypłosza. Fotografowanie zawartości torby uruchomiło w nim sygnał alarmowy.

Oczywiście nie zabrał torby sam. Na dworcu kręciło się dość dużo różnych podejrzanych typów, którzy za kilka euro są gotowi wykonać drobne zlecenia. Znał pewnego osobnika i jego różne sprawki, toteż bez obawy skłonił go do wykonania przysługi. Typek wiedział, że z Martinem nie ma żartów, więc do bagażu nie zaglądał. Niestety, trzeba go było uciszyć, bo sprawa była poważna, a kamery pewnie go zarejestrowały. Poza tym takie ćpuny nie są godne zaufania.

– Śmierdziel jeden – pomyślał z cynicznym lekceważeniem – dostał działkę z takim składem, że musiał zdechnąć najpóźniej po godzinie. Ciekawe kiedy go znajdą i na jakiej stacji.

Natychmiast zadzwonił do Johana, a ten posłał chłopaków i teraz cały peron był już czysty. Niech sobie szukają, ile chcą. Może im nawet pomóc. Szkoda, że nie zdołał wyrwać

aparatu z rąk dziewczyny, bo wtedy nikt by nie wiedział, co było w środku. Trudno. Trzeba było się spieszyć i zrobić to, co najważniejsze.

Ciekawiło go jednak, dlaczego tak długo nikt się nie zjawiał. W końcu Peter zginął jakiś czas temu. Pewnie nie wiedzieli, kto mógł mieć teraz klucz, a woleli nie podejmować żadnego działania na własną rękę. Martin nieco znał przyjaciół Petera i nie chciał się mieszać w jego interesy.

Zaintrygowała go teraz kobieta, która przybyła z chudym wypłosem, jak lekceważąco nazwał Lolitkę. Wydawała mu się, że już ją kiedyś widział albo że jest do kogoś podobna. Jednak nie mógł niczego skojarzyć, więc nie zaprzętał sobie tym głowy.

Po skończeniu pracy od razu zjawił się w piwiarni u Johana.

– Co się dzieje? – zapytał Johana. – Skąd jakiś wypłosz miał ten klucz i jak trafił na skrytkę?

– Trudno powiedzieć – odparł barman – ale nie wydaje mi się, żeby to był przypadek.

– Myślisz, że gliny już depczą nam po piętach.

– A niby po co? – zbagatelizował sprawę Johan. – Spotykamy się otwarcie, organizujemy młodzieży wakacyjne obozy, uczymy ich patriotyzmu, nasze działania całkowicie mieszczą się w granicach prawa. Co z tego, że po kilku piwach chłopaki trochę pośpiewają. Wszystko inne to są już działania uboczne i indywidualne niejako poza organizacją.

– No niby tak, ale broń to poważna sprawa.

– Broni już nie ma, a ślad prowadzący do nas, jak przypuszczam, został urwany – spojrzał twardo na Martina.

– Został! – potwierdził zagadnięty. Poświęciłem na to jeden z moich najlepszych smakołyków. Resztę schowałem w bezpiecznym miejscu. Może ten wścibski wypłosz się gdzieś napatoczy.

– Zostaw ją w spokoju – zażądał Johan – to byłoby podejrzone. Typek mógł to świństwo mieć z różnych źródeł, bo ćpał na potęgę. Może nawet nie skojarzą go z tą sprawą.

– Mają nagranie z monitoringu.

– Nie szkodzi, mówię o przedawkowaniu. Chyba załatwiałeś z nim sprawę poza obiektywem kamery?

– No przecież znam dworzec jak własną gąbłotę z kluczami. Nikt mnie nie widział.

– No właśnie, uspokój się i siadaj z chłopakami. Zaraz ci podam piwo.

Podniesiony na duchu Martin usiadł przy stoliku i po chwili zapomniał o sprawie.

Nie miał jednak szczęścia. Na dworcu jego rozmowę z ćpunem widział inny narkoman. Obserwował z zazdrością, bo mało że kumpel dostał pieniądze, to jeszcze najwyraźniej porządną działkę i to za przeniesienie torby z jednego boksu do następnego, po drugiej stronie dworca. Chyba że towar był trefny.

Zastanawiał się, czy nie podejść do Martina z obsługi boksów i nie zażądać działki za milczenie, ale zrezygnował. Miał wprawdzie pierwszorzędny towar, ale kiepskie poczucie humoru i ciężką rękę. Posmutniał. Wiedział, że nie pozostało mu nic innego jak to, co potrafił najlepiej, czyli po prostu okraść jakiegoś podróżnego.

Kiedy zobaczył, co po paru godzinach zaczęło się dziać koło skrytki, był wyraźnie zadowolony. Pomyślał, że w razie kłopotów z policją, a były one częste, w zamian za wyrozumiałość, będzie miał dla nich ważną wiadomość.

Martin pił tego wieczora dużo. Za dużo jak na gust Johana, ale ten mu ufał. Znał go od dawna i wiedział, że jest to jeden z najbardziej lojalnych ludzi. Miał za sobą ciężki dzień

i wykonał naprawdę dobrą robotę. Godzinę przed zamknięciem polecił jednemu z kelnerów odwiedzić go do domu i dopilnować, by położył się do łóżka. Musiał przecież jak codziennie zjawić się w pracy na dworcu. Na szczęście dla kelnera podchmielony mężczyzna ani się nie awanturował, ani nie oponował, więc polecenie szefa zostało wykonane szybko i bez kłopotów.

Johan lubił, gdy jego polecenia wykonywane były szybko i bez kłopotów.

Wieczorem dziennikarka wysłała do Johna pełne sprawozdanie, a następnie na ten sam temat odbyła długą telefoniczną rozmowę z inspektorem McCoy'em. Numer jego telefonu uzyskała od Blacka, któremu też musiała co nieco powiedzieć, ale po szczegóły odsyłała do Johna.

W wyniku rozmowy z McCoy'em lokalna szkocka policja nawiązała kontakt z niemiecką policją i sprawa znalazła się w kompetentnych rękach. Jeszcze tego samego wieczoru, a właściwie już w nocy, jeden z kolegów korespondentów poinformował Lolitkę o dość dziwnych pogłoskach, jakoby istniała międzynarodowa organizacja o bardzo skrajnych poglądach, działająca gdzieś na styku polityki i biznesu. Nie było to oczywiście nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że człowiek, który rzekomo był w jej działalności zamieszany, oficjalnie ani nie pełnił funkcji publicznych, ani nie należał do żadnej partii. Przeciwnie, uważano, że te sprawy są mu całkowicie obojętne.

– Skąd więc takie podejrzania? – zdenerwowała się senna już nieco Lolitka.

– Sama wiesz jak to jest w naszym fachu – roześmiał się kolega – same pogłoski, plotki i wytwory wyobraźni. Węszenie sensacji, tak na wszelki wypadek. Mogę wpaść do ciebie, to rozwiniemy wątek – kusił młodą koleżankę.

– Gdybym nie była dobrze wychowana, usłyszałbyś teraz pewną serdeczną radę, co do sposobu, jak możesz sobie sam rozwijać wątek – ostudziła go zimno. – Ale nie trać animuszu. Rozwiniemy temat jutro w redakcji, wysyłaj wyobraźnię kolego, byś miał o czym gadać – rozłączyła się i podsumowała rozmowę krótko – piegowaty bałwan.

Patryk czuł się nieco nieswojo. Wprawdzie nic niepokojącego się nie działo, ale to chyba tylko dlatego, że zniknął z pola widzenia prześladowcom. To go trochę uspokoiło. Naiwnie sądził, że nikt nie będzie go szukał w mieście, które opuścili z ojcem ponad dwadzieścia lat temu. Ojciec wprawdzie nie sprzedał tej posiadłości, ale chyba nigdy tu nie zaglądał.

Dom nie wyglądał jednak na całkowicie opuszczony, ale to dlatego, że zatrudnił firmę, która zajmowała się sprzątnięciem i koniecznymi naprawami. Namawiano nawet ojca do choćby czasowego wynajęcia obiektu, ale nigdy się na to nie zgodził. Teraz Patryk postanowił przedyskutować z agencją tą sprawę. Jednak sprzedawać rodzinnej posiadłości nie zamierzał, bo nigdy nie wiadomo, co zdarzy się za kilka lat. W Stanach nie czuł się zbyt dobrze. Traktował to raczej jako chwilową pracę na zagranicznej placówce, choć zakładał tą firmę od samych podstaw i był ze swoich osiągnięć bardzo zadowolony.

Miasto, a zwłaszcza położona na jego peryferiach posiadłość miały swój urok. Dom nadal otaczał stary ogród, a mimo to czuło się surowe tchnienie cywilizacji. Z tyłu domu była droga szybkiego ruchu, która niemal dotykała ogrodzenia. Na szczęście rosły za nim potężne szpalery cisów i skutecznie tłumiły hałas przejeżdżających tirów. Za to front był utrzymany we wzorowo angielskim stylu. Pozorny beład dawał poczucie przytulności. Patryk, choć zawodowo i emocjonalnie mocno związany z techniką i cudami współczesnej cywilizacji, nie był nieczuły na uroki natury. W rodzinnym domu i w jego ogrodzie czuł się dobrze. Gdyby nie ten niepokój, byłby nawet szczęśliwy.

Teraz wracał z wieczornej partii warcabów u księdza. Był to już codzienny rytuał i Patryk radził sobie w tej grze coraz lepiej. Ksiądz nauczył go podstawowych zasad, ale informatyk ze swoim logicznym ścisłym umysłem wkrótce stał się dla niego groźnym przeciwnikiem. Dzisiaj wygrał dwie partie i był z tego powodu bardzo zadowolony. Parę szklaneczek znakomitego porto pogłębiało ten stan i Patryk zaczął poważnie rozważać, czy nie nadszedł czas wracać do firmy. Wiedział, że jest tam wszystko w porządku, bo Jerry, jego prawa ręka, wciąż o tym zapewniał. Z drugiej strony jednak bał się, że jeszcze parę tygodni, a całkowicie zagustuje w tym spokojnym życiu pozbawionym pośpiechu, naglających kontraktów i ważnych, pilnych spotkań, nie wspominając o godzinach wpatrywania się w ekran monitora.

Już podchodził do furtki, gdy z cienia wyskoczył średniego wzrostu człowiek i sięgnął za pazuchę. Patryk gwałtownie cofnął się i poczuł ostry ból w okolicach łopatki. W tym samym momencie na ulicy zabłyśły reflektory samochodu i napastnicy zniknęli. Patryk zanim osunął się na ziemię, usłyszał syknięcie napastnika, które brzmiało jak włoskie *presto* i stracił przytomność. Już nie widział, jak pochyła się nad nim para zatroskanych twarzy i jak młoda dziewczyna wzywa karetkę pogotowia.

Przytomność odzyskał w szpitalu i zaraz dowiedział się od lekarza, że rana jest wprawdzie głęboka, ale nie jest niebezpieczna. Cios, który miał trafić w serce, minął cel o dobre pięć centymetrów.

Patryk pomyślał, że uratował go po prostu bardzo gwałtowny, wręcz paniczny ruch do tyłu. Gdyby nie napięcie w którym żył, prawdopodobnie na widok pierwszego napastnika jedynie by się zatrzymał, a wtedy mężczyzna z tyłu na pewno by nie chybił. Choć nie było mu do śmiechu, pomyślał z rozbawieniem, że być może sam zwałił go z nóg.

Uratowało go też z całą pewnością to, że napastnicy uciekli, gdy w momencie ataku pojawił się samochód i fakt, że pomoc przybyła natychmiast. Przypomniawszy sobie nerwowo wypowiedziane słowo *presto* i sam nie wiedział, czy chodziło o ucieczkę, czy o dokończenie roboty. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Miejscowy policjant spisał jego zeznanie i bez przekonania przyjął do wiadomości informację, że Patryk nie ma pojęcia o co w tym wszystkim chodzi. Z zasady nie wierzył cudzoziemcom, a Amerykanin wałęsający się po ciemnych przedmieściach Dundee, w jego oczach był bardzo podejrzany. Policjant był pewien, że chodzi o porachunki amerykańskich gangsterów, a utwierdziła go w tym prośba poinformowania o wypadku inspektora McCoy'a i księdza Marco. Policjant był przekonany, że ma do czynienia ze skruszonym przestępcą i obiecał spełnić prośbę, oczywiście po sporządzeniu rzetelnej notatki dla swoich zwierzchników.

Informacja o napadzie w Dundee, w krótkim czasie dotarła do wszystkich zainteresowanych. Teraz, kiedy do gry włączyli się Włosi, nie sposób było lekceważyć pierwszego narzucającego się wrażenia, że istotnie w grę wchodzi zemsta sprzed ponad pół wieku.

Carney postanowił osobiście powiadomić kapitana o sytuacji i dyskretnie poprosił go o pewne informacje. Wilk morski nie za bardzo zgadzał się na poufną rozmowę, ale z pomocą przyszedł Carney'owi goszczący w pałacyku doktor Bob Denilson i jego żona Mary. Stary kapitan bardzo lubił i cenił sympatyczną parę, więc uległ ich namowom.

– Nie chcę, by zdradzał mi pan jakiegokolwiek tajemnice waszego bractwa – obiecał detektyw.

– Byłoby to i tak bezcelowe – odparł kapitan.

– Chodzi mi o nazwisko tego włoskiego oficera, którego podczas wojny zabił Eideard.
– Nie wiem, jak się nazywał, ale w mapniku nosił dokumenty, w których powtarzało się nazwisko Perugia. Nie wiem czy papiery mówiły o właścicielu, czy dotyczyły jakiegoś Perugia. Nie znam włoskiego, a sprawę później badała sekcja wywiadu. A oni nie mają przesadnych skłonności do zwierzeń.

– No dobrze – zawahał się Carney i po chwili kontynuował – proszę mi powiedzieć, w jaki sposób ktoś mógł poznać wasze nazwiska, w końcu byliście oddziałem zwiadowczym, a listy składu osobowego takich oddziałów podczas wojny, nie są chyba rozpowszechniane.

– W zasadzie w wojsku, nie tylko podczas wojny ale wtedy szczególnie, większość informacji ma charakter poufny.

– No właśnie, więc jak?

– Po wojnie wiele materiałów stawało się mniej tajnymi. Zbierano dokumentację, wykazy żołnierzy zasłużonych, a my, nie chwając się, za tą parszywą akcją dostaliśmy odznaczenia. Widocznie mapy tego złodzieja były dla sztabu sporo warte.

– Dlaczego złodzieja?

– Sądzi pan, że ten relikwiarz to on dostał od biskupa, jako mąż świątobliwy za zasługi dla wspomagania ubogich.

– Chyba nie – mimo woli Carney uśmiechnął się kącikami warg.

– Na pewno nie. Tam, gdzie miała miejsce potyczka, wojska okupacyjne stały kilka miesięcy. Gdy przyszedliśmy były ruiny i zgliszcza, panie prokuratorze. W okolicy z budynków nie pozostał kamień na kamieniu, co opisał Eideard, jak pan być może rozszyfrował albo wkrótce odszyfruje z jego pamiętnika. Pamiętam, jakby to było dziś. Z piwnic kościółka albo kaplicy, nie wiem, co to było, jeszcze unosił się swąd dymu. Może spalono ludzi razem z budynkami, może tylko wypędzono. Nie mam pojęcia. To było straszne miejsce.

– Gdzie to było?

– A skąd ja mam wiedzieć? Dziś już dawno na tym miejscu zapewne stoją zabudowania jakiegoś miasta, albo i nie. Nigdy tam nie byłem, ale Eideard odwiedzał to miejsce wielokrotnie. Gdybym miał mapę sztabową, może bym prędzej poznał, ale teraz ze współczesnych planów jest to niemożliwe. Znajdzie pan kod, znajdzie pan i miejsce.

– Pan wie, że kod ma Patryk.

– Wiem! Ma go też ten angielski inspektor. I to przy sobie, więc możecie z Charlotte spróbować. Bardziej liczę w tej sprawie na nią, niż na pana, oczywiście bez urazy.

– Kod jest chyba prawdziwy i mam nadzieję dość jasny?

– Wiedząc co nieco o starym Ei, jeszcze pan na to liczy – zaśmiał się kapitan.

– Sądzi pan, że na starość zdziwaczał?

– Na starość? Zawsze był dziwakiem drogi panie. W czyjej głowie wylądłby się taki dziwaczny pomysł jak ogólnoswiatowy unitaryzm.

– Co takiego?

– To, co pan słyszał. Jednak na ten temat porozmawiamy innym razem. I tak musi o tym wiedzieć przynajmniej Charlotte, bo Patryk wie.

– Dobrze. Dzięki i za to – Carney pożegnał kapitana i wrócił do pozostałych gości.

Teraz należało się spieszyć.

Do obchodów Nowego Roku pozostało już niewiele czasu i nie można było zostawiać spraw na ostatnią chwilę. Potem wszyscy zaczęli się rozjeżdżać, a w pośpiechu trudno skupić uwagę. Do swojego pokoju poprosił jedynie Charlotte i obu inspektorów. Friedel zabrał ze sobą kod, chwilę manipulował przy laptopie detektywa i po chwili otworzył plik. Spojrzeli zachłannie

na ekran i wkrótce ich miny nieco się wydłużyły. Jedynie Charlotte nawet nie mrugnęła okiem.
– Tak jak się spodziewałam – zauważyła i pokiwała potwierdzająco głową. – Ten tekst można odczytać całkowicie bez kodu, jeśli się zna niektóre fakty, choćby w ogólnych zarysach. Zwykle zastępowanie słów innymi.

– Ale bez tego nie poznalibyśmy szczegółów – zauważył Black.

– Oczywiście, ponieważ nie znamy tych szczegółów, to przypuszczam, że dla każdego członka „Monymusk” tekst jest całkowicie jasny.

– Spróbujmy zastąpić niektóre wyrazy na druku tymi z kodu i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Nie tak – oponowała Charlotte. – Trzeba ten wydruk przepisać do komputera, potem skopiować i tam dokonywać zmian. Nie możemy ciągle liczyć na uprzejmość kapitana. Jeżeli zaczniemy zgadywać za dużo, może nam te papiery odebrać albo w inny sposób staną się one dla nas niedostępne. Trudno, poświęcę się i zacznę pisać, pod warunkiem, że ktoś mi będzie dyktował. To raptem 58 stron. Zajmie najwyżej dwie, może trzy godziny.

– Pomogę ci – zadeklarował Carney.

– Dobrze, reszta niech weźmie udział w przygotowaniach. Spotkamy się po kolacji.

Wtedy wiele powinno się wyjaśnić.

Inspektorzy, nieco ociągając się, wyrazili mruknięciami zgodę i wyszli, a Carney i Charlotte zajęli się mechaniczną, żmudną pracą.

Patryk dość szybko dochodził do siebie. Odwiedzało go niewiele osób, jedynie McCoy, znajomy z gry w warcaby ksiądz i dwójka młodych, którzy byli świadkami napadu.

Tej dwójce Patryk bardzo gorąco dziękował, ponieważ bez wątpienia uratowali mu życie. Gdyby się nie zatrzymali, napastnikom wystarczyłoby parę sekund, by dokończyć robotę. Powiedzieli mu wszystko, co wiedzieli i życzyli szybkiego powrotu do zdrowia.

Inspektor przyszedł tylko po to, by upewnić się, czy nic mu nie grozi i obiecał, że wkrótce cała sprawa się wyjaśni, bo są już na dobrej drodze. Na to Patryk nic nie odparł, chcąc uchodzić w oczach inspektora za dobrze wychowanego. Gdyby bowiem młody Campbell powiedział mu chociaż część słów, które w tym momencie przyszły mu do głowy, mógłby trafić nawet przed sąd, co najmniej z powództwa cywilnego.

Za to ksiądz bardzo lamentował, wyrzucając sobie, że nie odprowadził go do domu albo siłą nie zatrzymał u siebie, o co go bardzo prosił.

Patryk ze zdziwieniem spoglądał na księdza, bo nie przypominał sobie, by prosił księdza o gościnę, ale ten tajemniczo wyjaśnił, że mówił mu o tym ktoś inny.

– Niech pan wybaczy, ale te nagabywania o grę w warcaby, nie były tylko moim pomysłem – wyznał wreszcie.

– Miał mnie ksiądz pilnować, czy co?

– Tak jakby – westchnął. – Po prostu miałem mieć z panem jak najbliższy kontakt i nie stracić pana z oczu.

– Skąd ktoś wiedział, że tu jestem – zdziwił się Patryk. – Przecież nikomu o tym nie mówiłem, wyjechałem nagle i bardzo dyskretnie.

– Jeżeli odjazd z Charing Cross nazywa pan dyskretnym, to nie wiem skąd można odjechać z większym hukiem.

– Ale nikt o tym nie wiedział. Byłem samotny w tym tłumie.

– Nie licząc staruszka w przedziale, który bardzo interesował się notowaniami giełdowymi.

– No jeśli on stanowił moją ochronę, to rzeczywiście mogłem być spokojny i czuć się bezpiecznie.

– Całkowicie. Nie miał tylu lat na ile wyglądał, rozmawiałem z nim po pana przyjeździe i prosił mnie o przysługę.

– Co ksiądz ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nic, a ponadto nie wiem nawet z czym. Ten niby staruszek prosił mnie o wręczenie panu małego pakieciku, ale nie wcześniej niż przed pana wyjazdem lub gdy się stanie coś niezwykłego. Ponieważ uważam, że to co się stało było dość niezwykle, wręczam panu ten pakiecik. A skąd ja się tu wziąłem? Po prostu temu nazwijmy go dalej staruszkowi polecił mnie nasz wspólny znajomy z Irlandii. Ja, może pan nie wie, jestem Irlandczykiem i wiem, że mój przyjaciel nigdy nie miał względem nikogo złych zamiarów. Ten człowiek, który z panem jechał, powiedział, że jest to dla pana bardzo ważne. Skoro tak, to dlaczego miałem panu nie pomóc. Mam nadzieję, że nie nadużyłem pańskiego zaufania.

– Oczywiście, że nie.

– Oto paczuska dla pana – ksiądz wstał z krzesła przysuniętego do łóżka i wychodząc obiecał – zajrzę jeszcze do pana.

Zaintrygowany Patryk nie zatrzymywał księdza i z zaciekawieniem oglądał niewielki pakiecik. Wyglądał jak złożona na pół koperta, w której znajdował się sztywny krążek, jakby duża moneta. Delikatnie rozerwał brzegi i faktycznie wyjął jakiś medalion oraz przyklejoną do niego kartkę, z wyraźnym i czytelnym napisem: „*Proszę to pokazać kustoszowi Scottish Museum w Edynburgu i zapytać o Archibalda*”.

Patryk na wszelki wypadek zapytał lekarza o możliwość wyjazdu do Edynburga, przeciwko czemu ten nie oponował, pod warunkiem że samochód będzie prowadził ktoś inny. Nie chcąc nikogo wtajemniczać, Patryk najpierw pomyślał o księdzu, że skoro nawarzył piwa, to niech go teraz wypije i zawiezie do Edynburga, ale w końcu zawstydził się i zadzwonił do Carney'a.

– Po coś go do cholery wynająłem – mamrotał do siebie, ale widać było, że zły humor Patryka wynikał raczej z pewnego uzależnienia od ludzi, niż z niechęci do nich.

Ponieważ było już późno i wyjazd nie miał sensu, w ten sposób Patryk zyskał jeszcze jedną noc na spokojne leczenie i na drugi dzień czuł się na tyle dobrze, że próbował pojechać sam, ale Carney, który już rano zjawił się w Dundee, nawet o tym nie chciał słyszeć. Detektywowi tym razem nie towarzyszyła Charlotte, ponieważ nie chciała zawieść wdowy Wilshere i z poświęceniem pomagała w przygotowaniach.

W Edynburgu przyjął ich ten sam kustosz i procedura przekazania relikwiarza, powtórzyła procedurę przekazania biblii i alabastrowej czarki do rąk Charlotte. Tym razem jednak Patryk nie przyjął relikwiarza, lecz napisał oświadczenie wypożyczenia do muzeum i udostępnienia jako eksponatu. Ponadto zadeklarował, że po jego śmierci relikwiarz stanie się własnością muzeum. Carney nie mógł oprzeć się wrażeniu, że taka decyzja była uzgodniona między ojcem a synem i że co najciekawsze, kustosz o tym wiedział.

Za to we wnętrzu relikwiarza znajdowało się małe pudełko, obwiązane sznurkiem i opatrzone pieczęcią lakową. Tym razem Patryk nie potwierdzał podpisem odbioru czegokolwiek. Był to zatem prywatny depozyt ojca dla syna.

Kustosz po wręczeniu pudełka i zamknięciu relikwiarza w sejfie, podobnie jak poprzednio zaczął się bardzo spieszyć i nie pozostało im nic innego, jak opuścić jego biuro. Carney prowadził Patryka do samochodu i nie spuszczał go z oczu. W samochodzie obejrżeli

zawiniątko, co trwało bardzo krótko. W drodze obydwaj zainteresowani panowie uzgodnili sposób dalszego postępowania, skutkiem czego w trakcie podróży do Dundee zatrzymali się na jakąś godzinę w Perth, a następnie dotarli prosto na plebanię. Ksiądz przyjął Patryka i obiecał udostępnić mu niewielki gościnny pokój.

Carney z dużą kopertą w ręku, którą otrzymał od fotografa w Perth powrócił do Glasgow.

Ksiądz Marco był wstrząśnięty wiadomościami z Dundee. Kto i jakim sposobem dowiedział się o miejscu pobytu Patryka? Jedynymi osobami z którymi podzielił się tą wiadomością byli Charlotte, Carney i Black. Ich wykluczył z podejrzeń o dokonanie zamachu. Niepokoił go udział Włochów w tej całej sprawie.

O przeżyciach Eidearda wiedział o wiele więcej niż inni, ale były to wiadomości powierzone mu w spowiedzi. Ksiądz przypuszczał, że w znacznym stopniu był to ze strony Eidearda bardzo sprytny wybieg, ale on traktował te sprawy daleko poważniej. Podobnie jak kapitan słyszał o Antoniu Perugia, ale wiedział też o istnieniu jego syna Benita Perugia. Dwadzieścia lat temu trafił na jego ślad Eideard i zaraz potem wyniósł się z Dundee. Zakładając, że od ostatniej wojny upłynęło około 60 lat, Benito mógł być jakoś w tym wieku. Zatem kiedy zginął ojciec Charlotte i sir Wilshere, a kapitan i Ei opuścił rodzinne posiadłości, to Perugia miał około czterdziestki.

Rzeczywiście wiek, w którym coś się już osiągnęło i miało się pewne możliwości działania – pomyślał ksiądz.

Mniej więcej wtedy Sycylię opuścił także ksiądz.

Tak się złożyło, że również i jemu zdarzyło się popełnić życiowy błąd, ale wyznał winy i postanowił pokutować na obczyźnie. Zwierzchnicy osłonili go i dali szansę. Nigdy ich nie zawiódł. Od tamtej pory nie kontaktował się też z byłymi przyjaciółmi, ale teraz postanowił skorzystać z ich pomocy. W końcu mieli wobec niego dług wdzięczności i honor nakazywał im spłatę tego długu.

Postanowił zażądać tego, by ochronić niczemu niewinnego Patryka.

Ksiądz Marco westchnął ciężko i spakował jedynie najbardziej potrzebne rzeczy. Zawiadomił zwierzchników, że na parę dni wyjeżdża w sprawach rodzinnych na Sycylię. Obiecał zameldować się tam u miejscowych hierarchów.

W samolocie przedrzemał prawie całą podróż. Na lotnisku w Palermo czekał na niego wikary jednego z kościołów i zawiózł prosto na plebanię. Tam miał się spotkać ze starym księdzem, który przed laty był jego opiekunem i zażartym obrońcą. Monsignore Luigi, z troską popatrzył na księdza Marca, gdy ten wyznał mu swój zamiar.

– Rozważyłeś dobrze to, co zamierzasz zrobić?

– A co mi pozostaje? – odpowiedział pytaniem gość. Nawet jeśli syn miałby jakieś argumenty, by pomścić śmierć ojca, to jednak kara na potomkach, jak mówi Pismo Święte, przysługuje tylko Bogu.

– Więc zostaw też Jemu ochronę tego człowieka. Jak rozumiem zamach się nie powiódł.

– Toteż ja tylko chcę powstrzymać zabójców od dalszych prób, bo pewnie teraz przygotowują się lepiej.

– Skąd wiesz, że akurat tu powinieneś szukać?

– Rodzina Perugiów, jak odkrył Eideard, pochodzi z Sycylii. Gdzie Benito miał szukać ewentualnych zamachowców jak nie wśród rodaków, w dodatku ojciec, powiedzmy sobie szczerze, nasi rodacy nie mają przesadnych skrupułów.

– Niestety, masz rację – westchnął staruszek. – Nie mówiłem ci tego, ale ja chyba znałem

ojca tego Benita. Miał na imię Antonio. Mówię chyba, bo może to być jakaś zbieżność, choć nie sądzę. Był ode mnie starszy, silniejszy i pewnie dlatego się go bałem. W każdym razie lubił pokazywać i udowadniać swoją przewagę. Znałem też Marie Gilliam, jego późniejszą żonę. Była nim oczarowana, a przez to niestety bezkrytyczna. Kto wie, może też ze względu na nią zgrywał takiego bezwzględne łobuza. Tak, tak – pokiwał głową. – Paskudny typ, nic dziwnego, że zrobił karierę podczas wojny.

– Ależ ojciec – mitygował ksiądz Marco – przecież nie wszyscy, którzy zrobili karierę podczas wojny, muszą być podli. Wielu przecież odznaczało się bohaterstwem.

– Wiem, ale i tak polegało to na zabijaniu. Nigdy tego nie zrozumieję.

Marco zamilkł, bo cóż miał odpowiedzieć. Znał poglądy ojca Luigiego i w gruncie rzeczy je podzielał. Rozumiał jednak, że życie nie jest takie proste, jak to wydaje się zza bibliotecznych półek, które od dzieciństwa stanowiły właściwie jedyne otoczenie gospodarza. Monsignore był bardzo mądrym człowiekiem, ale bardzo słabo znał życie. Jego życiem była nauka i może dlatego tak skutecznie wybronił kiedyś swojego podopiecznego.

– Dzwoniłeś już do swoich znajomych? – zapytał wreszcie ksiądz.

– Nie, ze Szkocji byłoby to nierozsądne. Nie znam zresztą ich nowych kontaktów.

– Co zrobisz?

– To proste – uśmiechnął się ksiądz. – Jutro jest niedziela, pójdę w południe do Cappella Palatina. O tej porze Alberto miał zwyczaj modlić się w pobliżu mozaiki przedstawiającej Rogera II. Zawsze podziwiał tego władcę.

– Boże drogi – załamał ręce Luigi – tego rozbójnika? – To prawda, że zbudował kaplicę i dokonał innych chwalebnych czynów, ale też miał za co Boga przepraszać. Sądzisz, że Alberto chodzi tam nadal?

– Nie sądzę. Wiem.

– Skąd?

– Dzwoniłem do kuzynki Berty. Pytałem o znajomych i sama mi powiedziała. Mówiła, że źle wygląda. Może jest chory.

– A co u ciebie synu? – zainteresował się w końcu ksiądz Luigi i od tej chwili już cały wieczór poświęcili sprawom kościelnym.

Nazajutrz w kościele ksiądz Marco natychmiast poznał swego dawnego przyjaciela i sam stwierdził, że wyglądał bardzo źle. Poprosił kościelnego, by dyskretnie zaprosił modlącego się mężczyznę do zakrystii i wreszcie, po ponad dwudziestu latach, przyjaciele się spotkali.

Alberto z ciekawością spoglądał na księdza Marco i wreszcie zagadnął:

– Cóż cię sprowadza do starego Palermo, wracasz tu na stałe?

– Nie, przyjacielu – ksiądz mocno uściskał Alberta, ale na widok skrzywionej bólem twarzy złagodził uścisk i poprosił go, by usiadł.

– Przyjechałem spotkać się z tobą – wyznał prosto z mostu.

– Masz kłopoty?

– Ja nie. Ale ma je ktoś bardzo mi bliski.

– Mów przyjacielu – zachęcił Alberto. – Mam wobec ciebie duży dług wdzięczności i jeżeli coś chciałbym zrobić przed śmiercią, to móc ci go spłacić, za wszelką cenę.

– Znasz rodzinę Perugiów?

– Oczywiście, że znam, a właściwie znałem. Antonio i Maria nie żyją, a ich syn nigdy tu nie zaglądał. Nawet nie wiem, czy żyje.

– Z całą pewnością żyje i to właśnie o niego mi chodzi.

– Mów przyjacielu.

– Podejrzewam, że zlecił zabójstwo młodego Amerykanina. Na szczęście zamach się nie udał, ale nie może się powtórzyć.

– Znasz szczegóły?

– Nie mam nawet podstaw, by podejrzewać kogokolwiek, bo związek z Włochami daje tylko jedno słowo *presto*, które podczas ataku rzucił jeden z napastników.

– I na tej podstawie każesz mi uruchomić całą maszynę?

– Nie – dowiedz się tylko, czy ktokolwiek z miasta dostał takie zlecenie, a potem dopiero trzeba go przekonać, by się wycofał.

– Żądasz cudów! Żaden Sycylijczyk nie porzuci zobowiązania jeśli dał słowo. Dobrze wiesz o tym.

– Ale przynajmniej się dowiedz?

– Najdalej pojutrze będziesz znał odpowiedź. Potem się zastanowimy. W każdym razie nie trać nadziei, że wszystko zakończy się po twojej myśli. Byleby tylko nie było za późno.

– O to się nie martw. Patryk Campbell od wczoraj ma bardzo skuteczną ochronę.

– Patryk Campbell powiadasz? Zainteresował się nagle, niby zdawkowo Alberto.

– Tak się nazywa. Znasz go?

– Niby skąd, skoro mówisz, że jest Amerykaninem. Znałem jednego Campbella, ale on był Szkotem.

– Ten też jest Szkotem, tyle że mieszka w Stanach. Jego ojciec Eideard był moim bliskim przyjacielem.

– Rozumiem przyjacielu – Alberto nie dał poznać po sobie, jak ważna była to informacja. Pojutrze dostaniesz wiadomość.

– Jak się skontaktujemy?

– Tak samo jak dzisiaj, w południe przy mozaice Rogera. – Alberto objął i przytulił księdza, a następnie wyszedł z zakrystii.

Lotte większą część dnia spędziła na wertowaniu materiałów, jakie zgromadził inspektor Brian McCoy. Przyleciała już poprzedniego dnia, ale późnym wieczorem i trudno było się zabrać do pracy. Ponadto, chciała trochę poznać specyfikę nowego miejsca, a zwłaszcza sprawdzić, czy jej wysiłek nauki angielskiego nie poszedł na marne. Nie mogła zdecydowanie odpowiedzieć pozytywnie, ale fakt, że znacznie lepiej rozumiała innych, niż inni ją rozumieli, był bardzo dla niej pocieszający.

Na drugi dzień od razu przystąpiła do pracy. Inspektor, ten sam, który czekał na nią na lotnisku, zawiózł ją z hotelu do biura, gdzie wyjął z szafy stertę papierów i wszystko to położył na biurku, które gościnnie jej odstąpił. Widząc, że zabiera się do czytania, wyszedł po cichu i postanowił poczekać u kolegi, aż skończy.

W dokumentach ze śledztwa nie było wiele na temat samego zabójstwa. Znalazła wiele innych materiałów – to były sprawozdania z obserwacji podejrzanych i jakieś zeznania z poprzedniej sprawy, o której nie miała zielonego pojęcia. Okazało się, że Bruno był podejrzany o dokonanie zabójstwa jakiegoś staruszka w małym miasteczku w okolicach Morangie niedaleko Tain. Ani miejsce, ani nazwisko Eideard Campbell nie mówiły jej niczego. Co ciekawego, z zeznań wynikało, że już rok temu również Hans interesował się tym mężczyzną.

Czy w tą paskudną sprawę zamieszany był Peter – nie potrafiła tego odgadnąć, ale było to prawdopodobne.

Spoglądała na portret pamięciowy i fotografie znanych jej młodych ludzi. Nie były

specjalnie podobne, byli jacyś inni, niż przeważnie w zakładzie, gdzie czasem ich widywała, ale pewien charakterystyczny rys można było uchwycić. Szczególnie intensywnie przyglądała się twarzy mężczyzny śledzącego Hansa i Bruna. Było w niej coś odpychającego, ale i też znajomego. Niewykluczone, że kiedyś widziała go razem z Peterem na ulicy w Monachium. Pewna nie była. Za to doskonale rozpoznała charakterystyczne rękawiczki. Identyczne miał brat i był z nich bardzo dumny.

Gdy zapytała go kiedyś, co to za litery, odpowiedział z uśmiechem, że to znak firmy, a inicjały pochodzą od jego ukochanej. Faktem było jednak, że nigdy u nikogo podobnych rękawic nie widziała, nosili je faktycznie jedynie dwaj pracownicy firmy i on. Może dlatego, że wszyscy mieli potężne motocykle i często ich używali.

Z westchnieniem zatrzasnęła teczkę z materiałami i poszła poszukać inspektora. Znalazła go w sąsiednim pomieszczeniu, więc wrócili już razem, a McCoy zaproponował jej kawę. Chętnie przystała na zaproszenie.

- Znalazła pani coś ciekawego – zapytał Brian, podając gościowi filiżankę.
- Jedynie potwierdzenie, że tak naprawdę nie znałam mojego brata – westchnęła Lotte.
- Co ma pani na myśli? – myślał, że nie zrozumiał jej angielszczyzny.
- Patryk, szef tych dwóch chłopaków, był moim bratem. Też nie żyje i wszystko wskazywało, że był to wypadek. Teraz sama już nie wiem.
- To rzeczywiście wyjątkowy zbieg okoliczności.
- To że prowadzę tę sprawę? – roześmiała się i wyjaśniła – to dowodzi jedynie, że moi zwierzchnicy mają do mnie zaufanie. Czy uwierzy pan, że nawet nie wiem, gdzie mój brat mieszkał?
- To dość szczególne więzy rodzinne – grzecznie zauważył inspektor.
- Bardzo szczególne – twardo tym razem rzuciła Lotte. – Gdybym chciała, posłałabym za nim moich ludzi i w ciągu paru godzin byłby namierzony. Ale nie chciałam, rozumie pan. Widywałam go jedynie w warsztacie, gdy miałam jakiś interes, ale przeważnie nie miałam.
- Właśnie w warsztacie był zameldowany, tak wynikało z dokumentów.
- Tam miał takie małe mieszkanie, właściwie tylko pokój, pozostałą część domu chętniej użytkowali jego pracownicy Hans i Bruno. On świadomie chciał zbecześcić nasz rodzinny dom. Nienawidził naszego ojca, który był prokuratorem i wpajał nam szacunek do prawa. No cóż, nie całkiem się mu to udało.
- Szkoda, że nie wie pani, gdzie mieszkał brat, bo teraz przeszukanie tego lokalu jest bardzo ważne, choć nie wiadomo, czy nie jest już za późno. Jeżeli było to zabójstwo, sprawca już tam był. Kiedy zginął pani brat?
- 10 grudnia po południu.
- Hans i Bruno przekroczyli granicę 13 grudnia po południu. Mieli więc trzy dni. To dużo.
- Mogli się bać, że mieszkanie jest pod obserwacją.
- To prawda. Bardzo na to liczę, zwłaszcza, że pani brat nie będąc zameldowany, mieszkanie miał jakby zakonspirowane.
- Okropnie pan to nazwał – zdenerwowała się Lotte. – Dlaczego miałby się konspirować? Nie był chyba szpiegiem!
- O szpiegostwie nic nie wiem – to nie moja sprawa. Ale może zainteresuje panią wiadomość, co oznacza ten znak – wskazał na czerwony nadruk na rękawicy.
- Jestem ciekawa, bo w wyjaśnienia brata nie wierzyłam ani przez chwilę. Nie miał dziewczyny. Wolę nie dociekać dlaczego. Zawsze obracał się w towarzystwie młodych, umięśnionych byczków. Choć przecież to jeszcze nic nie znaczy. Niech pan mówi!

– No więc najprawdopodobniej jest to skrót od Neue Achsenmachte.

– Pan żartuje. Co to jest Achsenmachte, oczywiście wiem, ale Neue Achsenmachte to chyba przesada. Kto miałby możliwość stworzyć nową oś Berlin-Tokio-Rzym i w jakim celu? Skąd wzięłyby miliony zwolenników? Nawet jeżeli jest tak jak pan mówi, to są to zwykłe, szczeniackie mrzonki.

– Ilość występujących tu zwłok wskazuje, że te szczeniackie mrzonki są zadziwiająco niebezpieczne.

– Bez wątpienia – zgodziła się Lotte. – Oczywiście, pod warunkiem że ma pan rację, a jak zrozumiałam pewności pan nie ma.

– Nie mam – zgodził się inspektor – i wcale nie traktuję tego wątku jakoś specjalnie. On może być znacznie ważniejszy dla policji niemieckiej i jeżeli o nim mówię to tylko w pani interesie.

– Dziękuję – skinęła głową. – Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale może pan być pewien, że tej sugestii nie zlekceważę. Zainteresuję tą sprawą właściwych ludzi. Proszę mi teraz powiedzieć, co jest z tym zabójstwem staruszka?

– Sami nie bardzo wiemy. U staruszka po zabójstwie dokonano spektakularnej kradzieży. Z przemyślnie zamaskowanej skrytki zabrano jedynie stary relikwiarz i współczesną książkę autorstwa zamordowanego. Nic więcej.

– A można było ukraść coś innego?

– Tak. Obok relikwiarza leżało jedno z pierwszych wydań Biblii Króla Jakuba i pamiętająca faraona Cheopsa alabastrowa miseczka.

– Relikwiarz, jak rozumiem, był ze złota i drogich kamieni, a biblia jest papierowa, zaś alabaster wygląda jak tworzywo sztuczne. Ma pan wytłumaczenie, jeśli to był dureń, a nie fachowiec.

– Nie mam wytłumaczenia – odparował inspektor – bo książka autora była też papierowa – zachnął się McCoy. I zauważył po chwili – chyba nie mówiła pani poważnie o tym wytłumaczeniu.

– Oczywiście, że nie, ale to chyba znacznie skomplikowało sprawę.

– Bardziej, niż pani uważa, bo kradzież relikwiarza zlecił pewien Włoch, syn oficera walczącego podczas wojny w kampanii włoskiej. Ma tu pani wskazówkę na istnienie kawałka wspomnianej przed chwilą osi.

– Trochę naciągane, ale może być – kiwnęła głową Lotte.

– Brakuje nam jeszcze ataku kamikadze.

– Może już wystartował – wyraził przypuszczenie inspektor.

– Niech pan nawet nie żartuje – wzdrygnęła się Lotte.

– Żarty się dawno skończyły – ponuro odpowiedział McCoy.

– Parę dni temu został zaatakowany syn tego staruszka. I znowu przy robocie byli Włosi.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – rzeczowo zapytała Lotte.

– U nas sprawa przypuszczalnie jest zamknięta – oświadczył inspektor. – Szukamy oczywiście zabójcy tych dwóch chłopaków, ale to raczej pani będzie miała większe pole do popisu. Nie sądzę, bym bardzo się mylił, podejrzewając, że zabójca był cudzoziemcem.

– Oczywiście Niemcem, chciał pan powiedzieć – zdenerwowała się nagle Lotte.

– Niekoniecznie – Brian ani na cal nie stracił spokoju – być może Włochem.

– Przepraszam – zreflektowała się policjantka – nie chciałam pana dotknąć. Nie ma znaczenia jakiej był narodowości. Jest to w każdym razie groźny morderca, sądząc ze sposobu dokonania zabójstwa. Ale i tak popełnił błąd. Wasze zdjęcia są może niezbyt dokładne, ale wystarczające do rozpoznania tego typu.

– Pani go zna?
– Na pewno go widziałam – zmarszczyła brwi Lotte – ale nie bardzo wiem kiedy i w jakich okolicznościach. Na pewno nie z bratem, to znaczy teraz sama już nie wiem – uprzedziła pytanie inspektora. – Nie, to raczej jakaś inna sprawa. Nie pamiętam, ale może koleżdy mi pomogą. Z całą pewnością nie jest to osoba nikomu nieznaną.
– Mam zgodę zwierzchników, by przekazać pani kopie wszystkich materiałów, które udało mi się zebrać. Może na miejscu coś się jeszcze pani nasunie. Włosi też je otrzymają.
– Czyli włoska policja też się tym zajmuje?
– Tak, ale za bardzo na nich nie liczę.
– Dlaczego? – zdziwiła się Lotte.
– O Włochach występujących w tej aferze wiemy najmniej. Rysopisy, zrobione na podstawie zeznań dziewczyny i chłopaka, który uratowali Patryka, są mało precyzyjne. Jedyne to ucho może być jakimś śladem.
– No nie wiem, ale faktem jest, że dla ludzi z naszej branży informacja o nożowniku pozbawionym ucha to dość cenna uwaga.
– „Chyba nie miał lewego ucha” – Brian dosłownie zacytował słowa dziewczyny. – Nie upierała się przy tym.
– We Włoszech takie typki nie chadzają samodzielnie – zwróciła uwagę Lotte. – Ponadto, nikt nie zleciłby takiego zadania nowicjuszowi. Myślę, że może gdzieś figurować w policyjnych kartotekach. Niech pan nie traci nadziei. Zna pan niejaką Lolitkę? – zapytała nagle.
– Nie bardzo, ale wiem kim, jest. Dlaczego pani pyta?
– Sympatyczna osoba – uśmiechnęła się policjantka – to dzięki niej znalazłam się tutaj. Wpadła na trop jakiejś afery z bronią. Mój brat miał klucz od skrytki, prawdopodobnie punktu kontaktowego.
– I pani naprawdę nie bierze pod uwagę istnienia jakiejś groźnej organizacji – nie dowierzał inspektor.
– Wszystko biorę pod uwagę, choć wolałabym mieć brata gangstera, niż terrorystę. Ale i tego nie wykluczam – dodała smętnie.

Nakayama był wściekły. Informacje, jakie otrzymał od swojego sekretarza, były już nie alarmujące, ale wstrząsające. W ciągu dosłownie paru tygodni stracił, wydaje się bezpowrotnie, połowę swoich aktywów. Wchodząc na rynek europejski zaufał włoskiemu finansiście i swojemu niemieckiemu kontrahentowi. Na początku wszystko szło dobrze i nic nie wskazywało, że dotychczas ostrożny Włoch podejmie tak ryzykowne rozwiązania. Słuchał ich bajania o stworzeniu finansowego imperium, które wkrótce będzie liczyło się w światowym biznesie. Miał to gwarantować Herman, wchodząc na scenę polityczną. Japończykowi nie uśmiechało się mieszanie biznesu z polityką, ale przekonali go, że w Europie i Ameryce jest to zjawisko normalne. Faktycznie znaleziono nawet dość prężną amerykańską firmę, gdzie jednym z dyrektorów był człowiek rekomendowany przez Hermana. Ten kontrahent nie sprawiał kłopotu.

Nakayama nacisnął przycisk wewnętrznego telefonu i poprosił do gabinetu sekretarza.
– Jak wygląda sprawa? – zapytał bez wstępów.
– Niedobrze – westchnął sekretarz. Był to młody, szczupły mężczyzna w grubych okularach, które nerwowo zdjął, odkrywając zaczerwienione, zmęczone oczy. – Może uda się po jakimś czasie odzyskać część pieniędzy, ale pod pewnym warunkiem – zakończył nieco ostrożnie.

– Jakim? – głos szefa brzmiał sucho i ostro.

– Na miejscu tego Włocha musi się znaleźć ktoś przewidywalny. Tylko wtedy korporacja będzie mogła odzyskać zaufanie i akcje nie polecą w dół. No może trochę, ale wolniej i nie tak drastycznie.

– Co proponujesz?

– Ten człowiek nie może podpisać już ani jednego dokumentu, a mimo to ma nadal pełne plenipotencje. Jeśli wpadnie w panikę, a przypuszczam, że tak się już stało, firma straci wszystko.

– Jak szybko można zwołać zebranie zarządu.

– Nieważne, bo i tak zanim zbierze się zarząd, może być za późno. Wiedząc o zagrożeniu, Perugia zacznie ratować sytuację i pograży się całkiem. Trzeba go powstrzymać i odsunąć od możliwości podejmowania decyzji do czasu zwołania zarządu. W przeciwnym wypadku, jeśli zorientuje się, że jesteśmy poinformowani o sytuacji, zacznie robić głupstwa.

– A właściwie skąd dowiedziałeś się o tym wszystkim?

– Od kuzyna z londyńskiej giełdy. Zauważył, że z naszymi akcjami dzieje się coś złego i... rozumie pan. Nie bardzo mu było wolno nas wtajemniczyć, ale rodzina zobowiązuje.

– Mamu kogoś we Włoszech? – zapytał obojętnie Nakayama.

– Miesiąc temu posłałem obserwatora.

– Nie mówiłeś mi.

– Nie chciałem pana niepokoić, nie było to jeszcze tak groźne, ponadto kiedy wybierał się pan do Berlina, myślałem że w tej właśnie sprawie.

– Kim jest ten obserwator?

– To chłopak od pana Torana.

– Czy byłby w stanie przekonać Perugia, by nie podejmował już żadnych decyzji?

– Bez problemu, zresztą od pewnego czasu dość dokładnie go pilnuje. Wiemy na przykład, że niedawno poleciał na Sycylię i niemal natychmiast wrócił, choć już późną nocą.

– Po co tam poleciał?

– Tego niestety nie wiemy, ale sekretarce nie tylko nie wspomniał, że tam wylatuje, ale wręcz wmówił, że ma spotkanie na mieście. Pewnie załatwiał jakieś swoje prywatne sprawy.

– Nawet chyba wiem jakie. Dobrze by było, żeby pan Perugia już nigdy nie popełniał głupstw. Sądzisz, że ten chłopak może to załatwić?

– Takie instrukcje musiałby otrzymać bezpośrednio od pana Torana.

– Umów spotkanie pana Torano ze mną, o ile to możliwe jak najprędzej.

– Jeśli pan sobie życzy, to spotkanie może odbyć się nawet dzisiaj wieczorem.

– Pan Torano wie o co chodzi?

– Szczegółów z pewnością nie zna, ale w sytuacji orientuje się na pewno.

– Dobrze. Załatwmy tę sprawę od razu.

– Pan Torano o tej porze przebywa na kolacji w restauracji w Shinjuku. Zaraz postawię samochód i zadzwonię do niego – sekretarz skłonił się i bezszelestnie opuścił gabinet.

Shinjuku było zachodnią dzielnicą Tokio, bogatą i słynącą z rozrywek. W restauracji o tej samej nazwie na Nakayamę oczekiwał pan Torano, człowiek znany i ceniony w pewnych kręgach dzięki umiejętności dyskretnego załatwiania kłopotliwych spraw.

Nakayama został przez obstawę wprowadzony do saloniku, gdzie przy niskim stoliku otoczony kilkoma pięknymi gejszami siedział mocno otyły mężczyzna. Na widok gościa pan Torano niedbałym gestem odprawił damskie towarzystwo i zaprosił Nakayamę do stolika.

– Słyszałem, że ma pan kłopoty, panie Nakayama – zaczął bez wstępu, jakby z pewną nutką współczucia.

– Panie Torano – gość bez wstępu przeszedł do sedna zagadnienia – to nie jest kłopot tylko poważne naruszenie zaufania. Sam pan wie, jak ważne w interesach jest zaufanie.

– Tak. Właściwy dobór współpracowników i jasne reguły to podstawa sukcesu. Pański włoski współpracownik tak naprawdę pana zlekceważył.

– Bez wątpienia. Miał pełnomocnictwa do zawierania umów, ale nie wolno mu było podejmować bez konsultacji tak radykalnych posunięć.

– Podejrzewam, że lęka się pan o przyszłość.

– I to nie tylko o skutki już podjętych decyzji, ale przede wszystkim możliwość dalszych, nieprzemyślanych działań.

– Rozumiem. Aby zapobiec nieszczęściu należy plenipotentą natychmiast odsunąć od zarządzania.

– Z drugiej strony trzeba postępować tak, by odsunięcie nie było zbyt gwałtowne i nie budziło podejrzania. Rozumiem, że Perugia, z powodu wyrzutów sumienia, mógłby honorowo targnąć się na swoje życie, ale lepiej byłoby, gdyby na przykład gdzieś wyjechał.

– Najlepiej daleko i na długo.

– Na tak daleko, że trudno byłoby do niego dotrzeć i na tak długo, by mógł płynnie przejść na emeryturę.

– Podczas takiej podróży wiele człowiekowi może się przytrafić – zauważył smutno pan Torano.

– O tak. Świat jest bardzo zepsuty. Ludzie o byle co skaczą sobie do gardeł.

– Myślę, że będzie tu potrzebna pewna kwota, by zorganizować dla pana Perugia odpowiedni w tej sytuacji urlop.

– Jestem tego pewien – potwierdził Nakayama. – Niech pana ludzie w tej sprawie skontaktują się z moim sekretarzem.

– Oczywiście. Jak rozumiem sprawa jest pilna i trzeba załatwić ją natychmiast.

– Bardzo o to pana proszę.

Torano klasnął w dłonie i zza kotary wyszedł dobrze zbudowany, młody mężczyzna. Grubas bez słowa wysunął przed siebie pulchną dłoń. Milczący ochroniarz skinął głową i zniknął znów za kotarą.

– Myślę, że w ciągu paru godzin powinien pan otrzymać uspokajającą odpowiedź. Pan Perugia jeszcze dzisiaj, najdalej jutro rano wybierze się w rejs specjalnie wynajętym jachtem. Pewnie zamierza zwiedzać okoliczne morza na południu Włoch albo zjeść kolację na sąsiedniej, dyskretnej wysepce. Ludzie bogaci często lubią tak się bawić.

– W nocy, często przy złej pogodzie? – obłudnie zauważył Nakayama.

– No właśnie – westchnął Torano – to dowodzi jak bardzo ten człowiek jest lekkomyślny, niech pan jednak będzie dobrej myśli. Zadzwoń wkrótce – zakończył rozmowę gospodarz.

Bez jakiegokolwiek zawiadomienia, do saloniku powróciły panie, więc Nakayama skłonił głową i został z rewerencją odprowadzony do wyjścia. Mimo dość ciepłego wieczoru poczuł chłód przebiegający mu po plecach. Znał Torano i bez oporu korzystał z jego usług, ale ta całkowita beznamietność w podejmowaniu decyzji była wstrząsająca nawet dla niego. Inaczej też zaczął postrzegać swojego sekretarza. Ten człowiek był mu oddany, tego był pewny, ale zastanawiał się, jak postąpiłby ten niepozorny okularnik, gdyby Torano wskazał swoim grubym paluchem na Nakayamę. Pewnie w ułamku sekundy byłby martwy. Oczywiście dawał mu w pewnych sprawach dużą swobodę, ale to jak sekretarz działał we Włoszech, zanim udzielił informacji szefowi, wskazywało, że jego związki z podziemiem były o wiele bardziej zażyłe, niż do tej pory sądził.

Perugio z czwórką przyjaciół bawił się beztrąsko na niewielkiej wysepce, w przytulnym hoteliku z kasynem. Beztrąsko to może za dużo powiedziane, ale robił dobrą minę do złej gry. Na wycieczkę i oderwanie się od problemów namówił go jego własny sekretarz, do którego miał absolutne zaufanie. On jeden, nie bacząc na fakt, kto tu jest szefem, odradzał mu podejmowania fatalnych, jak się potem pokazało, decyzji.

Towarzyszący Perugiowi finansisci pocieszali się nawzajem, że koniunktura wkrótce się zmieni i akcje kopalni zaczną zwyżkować. To, że na razie ograniczono w nich eksploatację, nie oznaczało, że nie znajdują się tam nowe pokłady, zwłaszcza, że poufne ekspertyzy, które otrzymał Perugia, dawały już nie nadzieję, ale prawie pewność, że tak się stanie.

Zabawa podsycana alkoholem trwała w najlepsze do późnej nocy.

Na pokładzie jachtu załoga nudziła się, czekając na bawiących się klientów. Zostali wezwani przez szefa, choć każdy z nich miał wolny dzień. Podobno członkowie załogi, którzy aktualnie pracowali na jachcie, byli w słabej kondycji, krótko mówiąc upili się i groziło im wyrzucenie z pracy. Obecni na pokładzie byli zbierani z różnych jednostek i prawie się nie znali, ponadto zamiast jak zwykle trzech, było ich czterech, choć ten czwarty, jak zauważyli, słabo znał się na robocie i właściwie podawał tylko drinki i niewielkie zakąski. Spacerowy jacht, przygotowany do obsługi ekskluzywnych turystów, był wyposażony praktycznie we wszystko, co było potrzebne nie tylko do krótkiego, ale nawet dłuższego rejsu. Członkowie załogi, wyrwani z domów w ostatniej chwili, nie kryli kiepskiego humoru, choć dokoptowani do obsługi gości Koreańczyk sugerował, że szef obiecał podwójną premię. Podniesieni tym na duchu, już nieco po północy, ochoczo przystąpili do spożywania podanych im przez uczynnego Koreańczyka przekąsek i jak mówił specjalnie parzonej herbaty. Poprawiło im to nieco humor i kiedy rozbawione towarzystwo bankierów i maklerów giełdowych ze śpiewem wtoczyło się na pokład, włączyli silniki i na pełnych obrotach ruszyli w drogę powrotną. Nie zauważyli, jak tuż przed odbiciem z przystani Koreańczyk zgrabnie wyskoczył za burtę, a nawet gdyby zauważyli i tak byłoby im wszystko jedno.

Minęło dziesięć minut. Nieco otrzeźwieni pasażerowie z przerażeniem dostrzegli, że nikt z załogi już nie panuje nad sterem, a uderzony boczną falą jacht nabiera wody i zaczyna tonąć.

Po paru minutach na powierzchni wody nie pozostał żaden ślad po wspaniałym, wycieczkowym jachcie.

Alberto bez zwłoki zabrał się do wyjaśniania sprawy zabójstw, za które odpowiedzialny był prawdopodobnie Perugia. Znał wielu finansistów, którym wyświadczał drobne lub poważniejsze przysługi i mógł być pewien rewanżu. Informacje zdobył dość prędko, bo o panu prezesie ostatnio mówiło się dość dużo. Nie wiadomo z jakiej przyczyny zainwestował spore pieniądze w akcje kopalń w południowej Afryce. Samo w sobie inwestowanie w kopalnie złota czy diamentów nie pociągało przesadnego ryzyka, ale tu okazało się, że rozpoznanie rąk na zysk było chybione. Akurat te kopalnie były na skraju wyczerpania i niewiele wskazywało, by były szansę na znalezienie w nich nowego złoża. Wyglądało to tak, jakby Perugia dotarł do poufnego raportu, ale nic nie wskazywało, by miał on jakieś poważniejsze przesłanie lub wiarygodne ekspertyzy. Albo ktoś świadomie wprowadził Perugia w błąd, albo ten doradca stracił instynkt ostrożnego i przewidywalnego finansisty.

Alberto uśmiechnął się słysząc ten meldunek. Doskonale wiedział, komu Perugia mógł zawdzięczać cenne rady dotyczące zakupu akcji kopalni. Na razie jednak nie zamierzał tego

zdradzać.

Druga informacja pochodziła od chłopaków z miasta. Faktycznie Perugia spotkał się z kimś w Palermo, bo szukał kogoś, kto podjąłby się zadania na Wyspach Brytyjskich. Kto to miał być, tego jeszcze nie wiedział, ale takie krążyły plotki w półświatku.

Alberto znał zasady działania i wiedział, że najpierw wiadomo jest o co chodzi, a dopiero potem kto daną sprawą się zajmuje. Oczywiście wiedzą ci, co powinni wiedzieć lub mają możliwość się dowiedzieć. Alberto miał takie możliwości.

Od przyjaciół w organach ścigania otrzymał rysopisy i portrety pamięciowe niefortunnych zamachowców i choć były kiepskie, to brak ucha był wyraźną wskazówką. Zwykli chłopcy do wynajęcia, jako notowani i dość charakterystyczni, nie byli związani na stałe z żadną organizacją. Nikt nie podjąłby się takiego ryzyka. Byli jednak wygodni dla wszystkich do wykonywania zadań niezbyt ważnych, niejako dorywczych i chętnie je podejmowali. W tej sytuacji raczej nie należało szukać pośrednika, ale raczej dać do zrozumienia zleceniodawcy, by zrezygnował z zadania i zapłacić chłopakom za fatygę.

Alberto nie chciał brać już sobie na sumienie podejrzanych zleceń. Był ciężko chory i chciał umrzeć w spokoju. Ale honor zobowiązywał go do wyrównania długu wobec księdza, choć ten byłby ostatnim, by żądać od niego jakichś radykalnych rozwiązań.

Mężczyzna z westchnieniem podszedł do telefonu i wystukał rzymski numer swojego przyjaciela z branży zajmującej się giełdą i finansami, nie zawsze kryształowo przejrzystymi.

– Antonio? – zapytał, gdy po chwili uzyskał połączenie.

– Słucham przyjaciela – makler natychmiast rozpoznał swojego rozmówcę.

– Mam pewien problem – wyznał Alberto.

– Finansowy?

– Nie, to sprawa osobista.

– Mów – tym razem w głosie maklera zadźwięczał niepokój.

– Pewien nierozsądny bankier Perugia sprawia kłopot mojemu przyjacielowi.

– Pewnie nie tylko jemu – ze zrozumieniem oświadczył Antonio. – Słyszałem o sprawie.

– O tej nie słyszałeś – zaprzeczył Alberto. – To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

Przypuszczalnie zlecił zabójstwo znajomego mojego przyjaciela. Nie znam powodów, zapewne to jakieś stare strawy.

– Co miałbym zrobić?

– Przekonać go, by poniechał zamiaru. Ale bez przemocy. Zaproponuj mu może jakieś zyski na giełdzie.

– To by mu się przydało i być może nawet mógłbym mu pomóc.

– Potraktuj to jak sprawę pilną i zawiadom mnie jak najprędzej, co wskórałeś – zakończył rozmowę i przerwał połączenie.

Na odpowiedź nie czekał zbyt długo. Antonio przekazał informację nie tyle rozwiązującą sprawę, co wstrząsającą. Dwa dni temu Perugia wypłynął wynajętym jachtem z kilkoma przyjaciółmi na towarzyskie party na niewielką wysepkę, gdzie mieścił się ekskluzywny, ale przytulny hotel. W drodze powrotnej, z niewiadomych na razie przyczyn, doszło do zatonięcia jachtu. Ani z załogi, ani ze znajdujących się na pokładzie gości nie ocalał nikt. Nie wiadomo też, czy zostaną podjęte próby wydobycia jachtu, raczej tylko grupa nurków zrobi oględziny i na tej podstawie zostanie przeprowadzone śledztwo.

Tożsamość zwłok została potwierdzona, a przyczyną śmierci było utonięcie. Wszyscy goście byli pod wpływem alkoholu i co było nadzwyczaj dziwne – wszyscy członkowie załogi

byli naćpani. Sekcja zwłok nie pozostawiała cienia wątpliwości.

Spotkanie księdza Marca z Albertem było tym razem stosunkowo krótkie. Alberto nie czuł się zbyt dobrze, ksiądz Marco był zbyt wstrząśnięty. Chciał oczywiście załatwić sprawę, ale nie spodziewał się takiego rozwiązania. Gdyby nie fakt, że wypadek miał miejsce w dniu przylotu księdza na Sycylię, pewnie podejrzewałby Alberta i jego daleko idący wpływ na przebieg katastrofy. Dlatego wyraźnie uspokojony odetchnął z ulgą.

– Powiedz mi przyjacielu – zagadnął ksiądz czy rzeczywiście zamach już się nie powtórzy.

– Wczoraj moi ludzie dotarli do wynajętych przez Perugia zbirów. Przedstawili się jako jego pełnomocnicy, zapłacili umówioną sumę i kazali przerwać wykonanie zadania. Poradzili im, by raczej zadbali o własną skórę. Jestem pewien, że zastosują się do tej dobrej rady.

– Pieniądze ci oczywiście zwrócimy.

– Nawet o tym nie myśl – oświadczył Alberto. – To i tak niewiele w porównaniu z tym, co ty zrobiłeś dla mnie. Wziąłeś na siebie znaczną część mojej winy, a to nie jest byle co.

– Nic mi się jak widzisz nie stało.

– Stało się. Zostałeś skazany na banicję, a twoje imię przez pewien czas nie było wymawiane z należytym szacunkiem.

– W pewnym sensie czułem się też winny. Nie powstrzymałem cię przed nierozważnym krokiem.

– Ale to ja trzymałem nóż w ręce, a nie ty. Ponadto nie przyszedłeś wtedy mi pomagać, raczej chciałeś przeszkodzić. Dlaczego o tym nie powiedziałeś, nie rozumiem. Ale tego, że ja wtedy stchórzyłem, nie potrafiłem sobie wybaczyć przez wiele lat. Potem jeszcze trudniej było przyznać się do mojego strachu, niż do samego czynu. W każdym razie ty wyszedłeś na człowieka, ja niestety nie byłem dobry. Nie po tym, co się wtedy stało.

– Nic się wtedy przecież nie stało. Twój rywal był jedynie lekko ranny.

– W tym też jest twoja zasługa. Dobra pomódlmy się razem, a potem już pójdę.

Chwilę trwali w milczeniu. Pierwszy przerwał je Alberto:

– Bądź zdrow przyjacielu. Jeśli ze mną stanie się to, co z każdym z nas musi się w końcu stać, moja rodzina cię zawiadomi.

Ksiądz nie odpowiedział nic, tylko w milczeniu położył rękę na głowie przyjaciela i cicho poruszał wargami.

Herman zwyczajnie się bał. Śmierć Perugia według niego nie nastąpiła w wyniku wypadku. W przeciwieństwie do opinii publicznej, która osądzała załogę jachtu, węszył w tym wszystkim coś dziwnego. To, że panowie bankierzy nadużyli alkoholu, nie było specjalnie dziwne. W końcu popłynęli na party. Za to naćpanie załogi było co najmniej dziwne. Na takich statkach nie zatrudnia się narkomanów, no ostatecznie mógłby prześliznąć się jeden. Ale cała trójka?

Niepokojące było to, że nikomu nie zależało na tym, by dowiedzieć się, co członkowie załogi robili podczas oczekiwania na pasażerów i z kim się spotkali. Przecież nie zaplanowali sobie tak szampańskiej imprezy w połowie rejsu.

Przypomniawszy sobie ostatnie spotkanie z Nakayamą, który jednoznacznie oświadczył, że do załatwiania prywatnych spraw zatrudnia fachowców, którzy znają się na robocie. Wspominał wówczas o jakuzie. To go ostatecznie powstrzymało przed próbą docierania do prawdy o przyczynach śmierci Perugia. Z drugiej strony Włoch powinien był bardziej uważać prowadząc

interesy. On sam stracił wprawdzie niewiele, w każdym razie w porównaniu z Japończykiem. Herman swoje interesy dopiero rozwijał i prawdę powiedziawszy bardzo pomagały mu w tym fundusze Nakayamy i Perugia. Lwią część swoich aktywów miał zupełnie gdzie indziej. Jego oddanie dla sprawy pod względem finansowym było mocno ograniczone. Tak właściwie to on wyszedł na tym najlepiej. Napełniało go to i otuchą, i pewną obawą.

W przeciwieństwie do buńczucznych gestów nie był przesadnie odważny, a już skłonności do odgrywania roli bohatera czy męczennika nie miał żadnych.

Postanowił więc nie wychodzić już przed szereg, robić swoje, ograniczyć działalność organizacyjną i czekać.

Lotte wróciła do Norymbergi i zreferowała swoje osiągnięcia szefowi. Komisarz nie myślał zbyt długo i natychmiast zadzwonił do swojego odpowiednika w Monachium.

W wyniku rozmów kobieta została oddelegowana do Monachium, by podjąć tam śledztwo w sprawie tajnej organizacji przestępczej i jej udziału w zabójstwach i handlu bronią. Wątki o charakterze ideologicznym nie były oficjalnie ujęte, ale w ustnym określeniu kompetencji i zakresu działania zostały wyraźnie i jednoznacznie wyartykułowane.

– Norman? – zapytała Lotte, gdy usłyszała sygnał podniesionej słuchawki telefonu.

– Oczywiście, ktośby inny siedział za moim biurkiem – usłyszała wesoły śmiech narzeczonego.

– Jestem już po odprawie. Zostałeś przydzielony do mojego zespołu – dodała nieco niepewnie, bo w ich związku świadomie pozwalała mu decydować o wielu sprawach, a w każdym razie często pytała go o radę.

Robiła tak z powodu swojego zawodu. Nie chciała stać się heterą, która zawsze ma rację i zawsze podejmuje ostateczną decyzję. Wiedziała, aż za dobrze, jak wiele jej koleżanek straciło w ten sposób mężów, niektóre z nich traciły całe rodziny. Wchodząc w rutynę, często nieświadomie stawały się w pewnej chwili nadmiernymi formalistkami i w ogóle osobami trudnymi do zniesienia w normalnym, codziennym życiu. Odsuwali się od nich mężowie, dzieci, sąsiedzi i każdy, kto pozwala sobie na luksus posiadania wad, przywar i nieszkodliwych grzeszków. Ona tego nie chciała.

– Tak jest szefie – radośnie wykrzyknął Norman i dodał – nareszcie będę mógł tylko słuchać i wykonywać rozkazy, a nie tylko myśleć i bać się, żeby w czymś nie nawalić.

– A wiec dzisiaj po kolacji odprawa nieformalna i spotkanie integracyjne – zarządziła ze śmiechem.

– Kolacja zostanie przygotowana szefie.

– To dobrze, że przygotujesz, bo wrócę trochę później. Muszę skompletować materiały i rozdzielić zadania dla członków zespołu. Nie wiesz, czy Lolitka jest jeszcze w Monachium. Mogłabym do niej zadzwonić, ale naprawdę nie mam kiedy.

– Nie wiem, ale zadzwonię do redakcji albo lepiej pojedę tam sam. Może uda mi się czegoś dowiedzieć, tak trochę nieformalnie.

– Dobrze, spróbuj. Gdybyś ją gdzieś spotkał, powiedz, że muszę się z nią skontaktować.

– Załatwione, do zobaczenia wieczorem – zakończył rozmowę Norman i odłożył słuchawkę.

W tym czasie Lolitka rzeczywiście przebywała w Monachium i od dwóch dni kręciła się po hali dworca. Postąpiła tak wbrew stanowisku policji, która nie życzyła sobie udziału w śledztwie osób trzecich. Ponadto Norman obawiał się, że zostanie rozpoznana przez osobę, która opróżniła skrytkę i może jej w związku z tym grozić niebezpieczeństwo. W tej akurat

sprawie miał absolutną rację, ponieważ bagażowy poznał ją natychmiast i gdyby nie wyraźny rozkaz Johana, by zostawić ją w spokoju, pewnie zrobiłby jakieś głupstwo.

Tak więc Lolitka mogła węszyć spokojnie. Gdzieś tak po godzinie przyczepił się do niej wyraźnie głodny ćpun i dla świętego spokoju dała mu kilka euro. Przez resztę popołudnia miała spokój, ale na drugi dzień sytuacja się powtórzyła. Narkoman najwyraźniej uznał ją za znajomą i już bez oporu ponowił prośbę. Tym razem zagroziła mu policją, na co on odpowiedział nieco chępliwie, że gdyby chciał, to policja by go na rękach nosiła za to, co mógłby im powiedzieć.

Lolitka nie była idiotką, więc oświadczyła, że dla tak ważnej osoby jak on gotowa jest poświęcić jeszcze parę euro. Chłopak odszedł zadowolony, natomiast Lolitka pofatygowała się natychmiast do Normana. Oszczędziło mu to trudu poszukiwania jej w redakcji, a Lolitce utraty następnych funduszy, bo kilkanaście minut później ćpun siedział w areszcie i powoli dochodził do siebie.

Tej akcji, mimo swojej spostrzegawczości, bagażowy nie zauważył, bo też na peronie nie miał czego szukać. Norman był wdzięczny Lolitce za zwrócenie uwagi na ćpuna i pochwalił ją za to, że nie próbowała prowadzić śledztwa na własną rękę. Zyskała bardzo na wiarygodności, co mogło być później korzystne dla obu stron.

Narkoman ze zdumieniem spoglądał na otaczający go świat. Przeważnie budził się na ławce albo tuż obok, ale pod gołym niebem, za to teraz widział nad sobą sufit, wokół siebie ściany i solidne, zakratowane drzwi. Co się takiego stało, nie mógł pojąć. Po zażyciu narkotyku, nie był nigdy agresywny, przeważnie chował się w kąciку i śnił. Teraz najwyraźniej było inaczej. Pomieszczenie go przygniatało, poczuł, że się dusi i jeszcze moment, a zwariuje. Starczyło mu sił, by zwlec się z pryczy i załomotać do drzwi. Albo spodziewano się tego sygnału, albo był obserwowany, bo wraz z policjantem wszedł lekarz i przystąpił do pobieżnego badania. Doktor machnął ręką dość zrezygnowany i wyszedł. Zaraz pojawił się w inny mężczyzna w cywilu, ale narkoman i tak go znał. To on w towarzystwie policjantów robił oględziny opróżnionej skrytki.

– Co oni wiedzą? – zastanawiał się gorączkowo. – Chyba im nic nie wypaplałem?

– No bracie – zaczął Norman, jakby czytał w jego myślach.

– Coś nam zacząłeś mówić przed snem, teraz dokończysz albo posiedzisz, choćby za składanie fałszywych zeznań – zagroził.

– Dajcie najpierw pić – poprosił.

Norman kiwnął głową, a inny policjant podał butelkę z wodą. Lekarz miał rację, przewidując jego pierwsze potrzeby po wyjściu z odurzenia.

– No gadaj o co chodzi. Podobno dzięki temu mamy ci dać spokój. A trochę narozrabiałeś – blefował pewnym głosem Norman.

– Nic nie pamiętam – padła niepewna odpowiedź.

– Za to my pamiętamy, no gadaj.

– To chyba nic ważnego, ale dotyczy tej skrytki, którą ostatnio przeszukiwaliście.

– Zobaczymy. Potem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

– Chodzi o to, że ten facet z boksów dał Szczurowi parę euro i działkę w zamian za przeniesienie torby z jednego boksu do drugiego.

– Jakiemu Szczurowi? – zgłupiał nieco Norman.

– No Szczurowi, to mój kumpel, taki zwykły ćpun.

– A ty oczywiście jesteś abstynentem albo nadzwyczajnym ćpunem.

– No nie, czasem dla podniesienia nastroju to i owo zażyję. Wie pan, ja mam duszę artysty, a dzisiejsze życie jest paskudnie szare – machnął ręką i niewzruszony dalej wyjaśniał –

ale on to był naprawdę już wrak człowieka. Za byle jakie świństwo był gotów na wszystko, a tu naprawdę nie musiał się napracować – dodał zawistnie.

– A co z tym facetem z boksów?

– No jak to co. Wziął Szczura tam do przejścia. Myślałem, że sprzedaje mu działkę – tu zamilkł i miał minę, jakby chciał dać sobie parę razy po własnej gębie.

– Mów dalej – ten facet i tak już przez dłuższy czas nie będzie mógł wam sprzedać nawet szklanki wody. Kim był facet z boksów?

– No dobra – chłopak wyraźnie się odprężył. – To był Martin. On zawsze miał towar, drogi wprawdzie, ale całkiem niezły – zeznawał już bez oporu. – Zastanawiałem się, skąd Szczur ma kasę. Ale okazało się, że dostał robotę. Poszedł do tej skrytki na dole, widać dostał klucz. A trzeba wam wiedzieć, że do tej skrytki zaglądała wcześniej jakaś laska.

– Skąd wiesz?

– Bo ją przyważyłem, taka jakaś nowa i chyba cudzoziemka. Gadała dziwacznie. Dzisiaj też ją widziałem, wczoraj też.

– Co było dalej?

– A nic, dała mi parę euro.

– Nie mówię o niej, tylko o Szczurze.

– A o nim – ciężko zbierał myśli. Widać było, że jego organizm za chwilę zacznie się dopominać uzupełnienia narkotyku.

– No więc przeniósł taką torbę w kratę, chyba ciężka była i zaniósł do boksów na piętrze. Potem zabrał ją jakiś łysy koleś.

– Znasz go?

– Takich jak on, to my wolimy nie znać. Czasem się pokazują, ale wtedy my znikamy. Tego nigdy nie widziałem. Taki byczek umięśniony w ciężkich buciorach i w czapce z daszkiem.

– Miał coś jeszcze na sobie poza czapką i butami? – zakpił Norman.

– Jak zwykle spodnie bojówki na szelkach i biały podkoszulek.

– Przecież było zimno.

– W hali nie jest zimno, a on mógł przyjechać samochodem tylko po ten bagaż. Pod halą jest parking. Wcale nie musiał wychodzić na zewnątrz.

– Co zrobił potem Szczur?

– To co zwykle. Najczęściej wsiadał do pociągu i jechał w nieznane.

– Dlaczego?

– Zawsze tak robił, nie wiem dlaczego.

– Dobra – zdecydował inspektor – na razie wystarczy. Potem jeszcze pogadamy.

– Jak to potem, przecież ja nic nie zrobiłem. Musicie mnie wypuścić.

– Jeszcze nie teraz bracie – spokojnie wyjaśniał Norman.

– Po pierwsze potrzebujesz lekarza, po drugie grozi ci niebezpieczeństwo. Właściwie to nawet dziwię się, że żyjesz.

– Bo co?

– Bo ten, jak mówiłeś, łysy byczek, gdyby wiedział, co widziałeś, pewno nie zostawiłby cię przy życiu, nawet przez pięć minut – Norman odwrócił się i zawołał w głąb korytarza – doktorze niech się pan nim zajmie. Potrzebuję go jeszcze później, ale w dobrej formie.

Norman wrócił na dworzec. A więc jednak przegapili wiele szczegółów. Tego narkomana Szczura widzieli na obrazie monitoringu, ale do tej pory nie mogli znaleźć. Teraz, kiedy dowiedział się, że Szczur mógł wsiąść do pociągu, trzeba było sprawdzić rozkład jazdy i wszcząć poszukiwania na szerszą skalę.

Nie to było jednak najpilniejsze. Trzeba było sprawdzić metody działania Martina, a potem dać mu ogon. Z pewnością znał późniejszego odbiorcę i albo się z nim jeszcze skontaktuje, albo obaj obracają się w tym samym towarzystwie. Ale to niech już chłopakom zleci Lotte. Na razie postanowił sam mieć na niego oko, oczywiście pod pozorem zupełnie innej sprawy, bo Martin, pracując na dworcu, z pewnością go znał.

Martin był na dworcu, więc Norman postanowił dyskretnie nie spuszczać go z oka. Jednocześnie większą uwagę zwrócił na stałych bywalców, kręcących się przeważnie po dworcu i w jego okolicach. Byli to młodzi ludzie, najczęściej jacyś włóczędzy, poszukujący przygód lub sposobności łatwego zarobku, wśród których było wielu cudzoziemców. Służby porządkowe starały się takie elementy z obiektu usuwać, ale była to syzyfowa praca. Wracali prawie natychmiast.

Jedna z funkcjonariuszek zaproponowała mu wykonanie drobnej prowokacji. Chodziło o sfilmowanie zakupu działki od Martina. Miała tego dokonać nieświadoma niczego dziewczyna, która w okolicach dworca poszukiwała mało wymagających klientów. Jak stwierdzono była narkomanką i pewnie nieraz korzystała z zasobów Martina. Wprawdzie nie było to całkiem zgodne z prawem, ale mogło przynieść dobry rezultat.

Bardzo kusilo go wykonanie takiej prowokacji, ale się nie zdecydował. To od początku do końca miało być śledztwo kierowane przez Lotte. Odprowadził jednak Martina po pracy aż do piwiarni, do której co chwilę wchodził młodzi, dobrze zbudowani ludzie, w większości mężczyźni, ale było też kilka dziewcząt. Spora grupka, dość hałaśliwie zachowujących się bywalców, stała przed piwiarnią, ale nie zaczepiali przechodniów, jedynie komentowali głośno ich wygląd, bardziej lekceważącymi niż obraźliwymi słowami.

Norman pojechał do domu, gdzie, jak obiecywał, miał przygotować kolację i ku swemu zadowoleniu zdążył przed przyjazdem Lotte.

– Opowiadaj, czego dowiedziałaś się w Szkocji – poprosił Norman po pierwszym zaspokojeniu głodu.

– W sumie niewiele – odpowiedziała Lotte. – W zasadzie przywiozłam same zagadki. Śledztwo przeprowadzili rzetelnie, to muszę przyznać, ale sprawcę będziemy musieli znaleźć my. U nich sprawa zamordowania pewnego staruszka jest w zasadzie zamknięta, bo zabójca sam zginął, a ślady prowadzą niestety do nas.

– A twój brat? Mógł być jakoś zamieszany w te sprawy? – zapytał ostrożnie.

– Jestem niestety tego prawie pewna – westchnęła smutno Lotte. – Myślę nawet, że był osobą, która odgrywała tu rolę kierowniczą, może nie całkiem zwierzchnią, ale dość istotną. Przypuszczam, że działał w dość dobrze zorganizowanej grupie.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się. – Sugerujesz istnienie jakiegoś przestępczego gangu?

– Oby tylko przestępczego gangu. Wygląda na to, że mamy do czynienia z jakąś międzynarodową organizacją polityczno-finansową o skłonnościach terrorystycznych.

– I twój brat miałby się w niej znaleźć?

– Znając jego radykalne poglądy, które obwieszczał na każdym rodzinnym przyjęciu, obojętnie czy ktoś chciał słuchać, czy nie, to wcale bym się nie zdziwiła.

– To by wyjaśniało, dlaczego ulubiona piwiarnia Martina gromadzi taką jednoznaczną klientelę.

– Jaką klientelę? – zainteresowała się nagle Lotte.

– Skinów i to wyglądających na naprawdę bardzo niebezpiecznych.

Norman opowiedział Lotte o swoich dokonaniach, wskazówkach Lolitki i odszukaniu narkomana.

Przyznał się do obserwacji Martina i podejrzanej klienteli monachijskiej piwiarni. Lotte

śluchała z uwagą i na koniec sięgnęła po telefon. Przeprosiła Lolitkę za zakłócenie nocy i poprosiła o spotkanie na odprawie w dniu jutrzejszym w miejscowym komisariacie, gdzie gościnnie zaadaptowano dla niej jedno z pomieszczeń na tymczasowe biuro. Na pytające spojrzenie narzeczonego pokiwała przecząco głową i zaproponowała, by dalsze służbowe sprawy odłożyli na następny dzień.

– Powiem ci coś ciekawego. Komisarz obiecał mi przeniesienie na stałe do Monachium, jeśli ta akcja zakończy się sukcesem, a ja zrobię wszystko, by tak się stało – wyznała.

Potem o sprawie już nie mówili.

Ksiądz Marco zamyślił się głęboko. Po powrocie z Sycylii wiele spraw wymagało przemyślenia. Z jednej strony był uspokojony co do Patryka. Nie zagrażało mu już ze strony Perugia jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ale okoliczności w jakich doszło do odsunięcia zagrożenia były co najmniej niepokojące. Nieszczęśliwy wypadek, czy umyślne zabójstwo, ludzi włoskiej finansjery i zupełnie przypadkowej załogi jachtu.

Zastanawiał się, czy stowarzyszenie, z którego był tak dumny, nie skrzyżowało swych dróg z jakimś innym ruchem o podejrzanym charakterze, niejasnych celach i bezwzględnych metodach działania. Ale w którym miejscu i dlaczego te drogi się skrzyżowały. Mógł jeszcze jakoś zrozumieć rolę Włocha w tej awanturze, ale kto i dlaczego miałby zabijać Perugia, jeśli to było zabójstwo i jeśli o niego, a nie innego uczestnika rejsu chodziło.

Jednak w takie zbiegi okoliczności nie wierzył.

W skład stowarzyszenia nie wchodziłoby ludzie ubodzy. Co innego członkowie korespondenci czy członkowie sympatycy, bo i tacy byli. Na poszukiwania, konserwacje i adoracje relikwii potrzebne były spore pieniądze, a stowarzyszenie je miało. O tym wiedział. Wiedział również, że pochodzenie tych pieniędzy oraz ich wykorzystanie było dokładnie udokumentowane i całkowicie legalne. Ale znając życie, był świadomy, że członkami stowarzyszenia byli ludzie, a nie anioły. Mogli mieć inne niż deklarowali intencje, mogli też być przypadkowo uwikłani w dziwne sprawy.

Ze zdziwieniem Alberto przyjął uwagę na temat Campbella, starego Szkota, którego jakoby znał. Ksiądz nie dał nic po sobie poznać i nie kontynuował wątku, jego rozmówca też.

Pukanie do drzwi przerwało rozmyślenia. Ksiądz zerknął na wiszący na ścianie olbrzymi zegar i wyszedł do korytarza, by wpuścić gości. Przez chwilę była cisza, potem rozległy się słowa powitania, w końcu do pokoju wrócił ksiądz w towarzystwie gości. Był to śniady mężczyzna w średnim wieku z przetykaną siwymi włosami brodą i kustosz muzeum z Edynburga.

– Witajcie przyjaciele – rozpromienił się ksiądz i gestem zaprosił do stołu – myślałem już, że nie przyjdziecie. Siadajcie i rozgoście się. Zaraz podam jakąś skromną przekąskę. – Ujął w rękę niewielki dzwoneczek, na którego dźwięk otworzyły się drzwi, przez które starszy pan w białym kitlu przepychał wózek zastawiony parującymi półmiskami. – Anastazy – ksiądz wskazał kucharza – od godziny zrządzi, że kolacja będzie bez smaku albo nadmiernie rozgotowana, albo zimna.

– Nie jesteśmy głodni – chciał uspokoić księdza kustosz, ale widząc minę kucharza, dodał szybko – oczywiście nigdy nie zrezygnowalibyśmy z przysmaków Anastazego, bez względu czy byłyby zimne, czy rozgotowane – brnął tyle fatalnie co nieświadomie, sądząc, że wznosi się na szczyty dyplomacji.

– Siadajcie już i nie nadużywajmy cierpliwości Anastazego – przerwał szybko ksiądz. Znał swojego kościelnego i kucharza dokładnie, dlatego wiedział na co się zanosi i na szczęście

odniósł skutek, bo twarz Anastazy straciła nieco czerwony kolor i w miarę spokojnie zaczął podawać do stołu, a po skończeniu swoich czynności dyskretnie wyszedł.

– Ależ to drażliwy nerwus z tego Anastazego – westchnął nieco z ulgą kustosz i, nie chcąc pogorszyć sprawy, zabrał się do jedzenia. Drugi gość i ksiądz poszli za jego przykładem. Kiedy skończyli posiłek, nadal naburmuszony Anastazy zabrał naczynia, przyniósł wino i kieliszki, po czym wyszedł starannie zamykając drzwi.

Ksiądz nalał do kieliszków i spojrzał pytająco na kustosza, a ten zrozumiał i wskazując na gościa wyjaśnił.

– Carlos i ja musieliśmy się z tobą zobaczyć w pewnej ważnej sprawie.

– Domyślam się, że chodzi o sprawy stowarzyszenia – pokiwał głowę ksiądz.

– Poniekąd, ale raczej o sam relikwiarz.

– Słucham uważnie.

– Jak wiesz, Eideard zlecił mi poszukiwanie właściciela relikwiarza. Zdobył go w warunkach wojennych, a właściwie został mu podarowany przez przyjaciół i nie miał możliwości dowiedzieć się o jego poprzednich losach, bo z włoskiego oddziału, na który natknęła się grupa zwiadowcza Brytyjczyków, nikt nie przeżył.

– To wiemy.

– Ale była możliwość, że mógł istnieć ktoś, spoza tego oddziału, kto znał tę historię, bo przecież nie wiemy, od jak dawna relikwiarz był w posiadaniu oficera.

– Istotnie, to też braliśmy pod uwagę.

– A teraz wiemy już na pewno, że była taka osoba.

– Kto? – ksiądz zwrócił się do drugiego gościa.

– Żona Perugia, a następnie jego syn – odparł Carlos.

– Skąd ta wiadomość?

– Uzyskaliśmy ją nieco skomplikowaną drogą – odparł kustosz i wskazał swojego towarzysza – nasz przyjaciel jest cenionym naukowcem historykiem i jako don Carlos doskonale znanym w wielu środowiskach, od szeregowych żołnierzy po arystokratycznych generałów. Ma dostęp do wielu ważnych i wpływowych ludzi na całym świecie, ale oczywiście najwięcej w krajach południowej części Europy. A oprócz Włochów i Niemców, wielu ludzi również innych narodowości brało udział w kampanii północno-afrykańskiej.

– To oczywiste, ale do czego prowadzi.

– Do tego, że trzeba było zacząć od początku działań wojennych w tej części świata i od różnych ludzi, a nie skupiać się na jej końcówce i panu Perugia.

– Wydawało się logiczne, aby zacząć od końca i powoli zmierzać do źródeł.

– I to się nie powiodło – rzucił pochmurnie kustosz – a ponadto przyniosło niekorzystne zamieszanie.

– Zacząłem od zajęcia przez Brytyjczyków Fortu Capuzzo, na pograniczu Egiptu i Libii – wyjaśniał Carlos – ale szczególnie zainteresowały mnie działania w rejonie Sidi Barrani i Bengazi. Pomędzy wojskami aliantów i wojskami osi istniała ponad 100 km przestrzeń ziemi niczyjej, która została dosłownie spustoszona i zryta pociskami. Jednakże między liniami kręciły się niewielkie oddziały, głównie zwiadowcze. W celu uzyskania jakichkolwiek informacji wysyłano oddziały złożone ze specjalnie dobranych ciemnych i bezwzględnych typów, zatem byli to ludzie zdolni do różnych czynów, niekoniecznie bohaterskich. Poza tym główne siły czekały na hasło do ataku. W tym czasie żołnierze pisali listy do domu, chwalili się swoimi czynami, wysyłali swoje fotografie.

I właśnie wtedy kapitan Perugia kazał sobie zrobić zdjęcie z bardzo pięknym złotym przedmiotem, jak mówił talizmanem szczęścia i tą fotografię wraz z listem wysłał do domu.

A z tego wniosek, że wcześniej nie mógł go mieć, skoro chciał żonie pokazać zdobycz.

– Tak rzeczywiście mogło być – powiedział jakby do siebie ksiądz i zapytał – a skąd masz tę informację?

– Podczas wizyty u przyjaciela w Mediolanie miałem okazję rozmawiać z jego ojcem. Był to staruszek o mocno posuniętej sklerozie, ale zadziwiająco dokładnie pamiętał prawie każdy dzień wojny. Niektóre fakty potem sprawdziłem z dokumentacją historyków i wyobraź sobie, że zgadzały się nawet godziny. Staruszek był wtedy podoficerem technicznym i sam robił to zdjęcie. Niestety go nie ma – uprzedził pytanie – klisze też zaginęły w zawierusze wojennej. Oczywiście na to wspomnienie sam go nakierowałem, ale nie było to zbyt trudne.

– Czyli relikwiarz pochodzi z tamtych okolic.

– I nie ma w tym nic dziwnego, że nikt się do niego nie przyznaje. Zgromadzenia chrześcijańskie w państwie, gdzie obowiązywało prawo szariatu, na pewno się tym nie chwaliły, a w wyniku działań wojennych wszelkie budowle, kapliczki, nawet pustelnie zostały dosłownie zrównane z ziemią.

– Być może nawet przez oddział Perugia.

– Ten obiekt, w którym znajdował się relikwiarz, zniszczył na pewno Perugia. Nikt inny przecież nie oddałby mu takiej zdobyczy. W ten sposób możemy mieć prawie pewność, że legalnego spadkobiercy relikwiarza nie odnajdziemy.

– A więc poszukiwania uznajemy za zakończone? – Zapytał ksiądz z nadzieją.

– Tak jest! – odparł kustosz i dodał uroczyście – możemy teraz spokojnie wypełnić ostatnią wolę zmarłego.

Ksiądz Marco wznosił oczy w górę i bezgłośnie poruszał ustami, a goście milczeli. Po modlitwie powrócili do narady, która dotyczyła najbliższych zadań. Należało najpierw napisać pismo do Watykanu o okolicznościach odnalezienia relikwiarza i rozporządzenie nim zgodnie z wolą zmarłego. Potem, nawet nie czekając na odpowiedź, jak najdokładniej poinformować okolicznych parafian, a następnie w jak najszerszym zakresie całą opinię publiczną o znalezisku i wreszcie po sporządzeniu dla relikwii nowej cennej oprawy, umieścić relikwiarz w miejscowym kościele.

Uzgodnienie szczegółów tak się przedłużało, że narada trwała do późnej nocy.

Dzięki temu, na szczęście dla wszystkich, Anastazy mógł podać kolację odpowiednio przyrządzoną i podaną we właściwym czasie. Konflikt został zażegnany.

Po nieco nużącej kilkugodzinnej pracy, rozdział I o relikwiarzu został przepisany. Carney, który dyktował Charlotte każde słowo, nie zanieczyścił konfrontowania na bieżąco pisanego tekstu z otrzymanym kodem. Kobieta fukała na to gniewnie przez swój zgrabny nosek, jak rozkapryszona kotka, ale detektyw udawał, że tego ani nie widzi, ani nie słyszy.

W ten sposób, zanim dokończyli pracę, mieli już ogólne pojęcie o prawdziwej treści zapisu. Pozostało jedynie go w tej wersji zapisać, ale na to musiał zgodzić się kapitan.

Charlotte i Carney nie zamierzali zresztą wykorzystać tekstu do jakichkolwiek innych celów, niż dla potrzeb śledztwa. Zależało im na wyjaśnieniu pochodzenia relikwiarza. Chcieli wiedzieć, dlaczego życie Patryka było zagrożone. Na taki zakres pozwalało im pełnomocnictwo.

Charlotte skopiowała tekst do drugiego pliku i wprowadzała poprawki zgodnie z zaleceniami kodu. Czytała kolejne zdania, a Carney mówił jej co trzeba zmieniać.

– Tu jest ten punkt, który czytałeś nam wcześniej: 25.06.1976

– *na przedmieściu ogród nadal jest otoczony murem, furtka zatrzaśnięta. Nielatwo się porozumieć, gdyż sąsiedzi opuścili domy, które były kompletnie zniszczone. Nie można poznać gdzie były piwnice, a cóż dopiero kuchnie i kominy. Co to ma znaczyć?*

– Co my tu mamy? – zaczął czytać Carney – zaczekaj, już mam. Poprawiaj stronę 34, wiersz 10 i dalsze: na przedmieściu = okolice Bardii, ogród = prace ziemne, otoczony murem = zakaz wejścia, furtka zatrzaśnięta = brak zezwolenia na poszukiwania, sąsiedzi = miejscowi, piwnice = kruchty, kuchnie = kaplice, kominy = ołtarze. Poprawiłaś?

– Tak. Posłuchaj jak to brzmi teraz: *okolice Bardii prace ziemne nadal, zakaz wejścia, a brak zezwolenia na poszukiwania. Nielatwo się porozumieć, gdyż miejscowi opuścili domy, były kompletnie zniszczone. Nie można poznać gdzie były kruchty, a cóż dopiero kaplice i ołtarze. Co to u licha znaczy?*

– Przypuszczam, że zwięzłe sprawozdanie z poszukiwań. Pada nazwa miasta Sidi Barrani. Nie wiem, gdzie to jest – przyznał się Carney.

– Ja wiem – pochwaliła się Charlotte – Sidi Barrani i Marsa Matruh to dwa miasta, o które już jesienią 1940 roku toczyły się walki między Włochami i Brytyjczykami podczas kampanii północno-afrykańskiej. Przechodziły z rąk do rąk i przypuszczam, że zostały kompletnie zniszczone.

– Skąd wiesz?

– Z książek, które wypożyczyłam z biblioteczki Eidearda.

– Kiedy zdążyłaś to przeczytać?

– Mam wprawę. Ukończyłam kurs szybkiego czytania, a zresztą to były broszury i raczej niewielkie monografie.

– I co nam to daje?

– Dużo. Zawiera informację, że tam Ei nie natrafił na ślady relikwiarza. I myślę, że wszystkie pozostałe informacje sprowadzają się do identycznej konkluzji.

– Ponawiam pytanie: co nam to daje?

– Aaa, rozumiem. Chodzi ci o „nam” w konkretnej sprawie. Jeśli tak, to kompletnie nic. To są ważne informacje, ale nie dla nas, tylko dla stowarzyszenia, że nie ma śladu właścicieli i relikwiarz mogą uznać za swój, jako odzyskany na drodze wyroków czynników nadprzyrodzonych.

– Czyli spokojnie możemy oddać całość kapitanowi i nie zaprzętać sobie tym głowy.

– Nie tak od razu – ostrzegła Charlotte – musimy przedstawić reszcie nasze badania, bo nas oskubią. Dyktuj dalej.

Praca trwała jeszcze długo, ale nie przyniosła żadnych rewelacji. Charlotte miała rację. Tu niczego nie byli w stanie osiągnąć. Co najwyżej mogli postarać się dotrzeć do jakichś sekretów bractwa, ale po pierwsze kapitan był czujny, a po drugie głupio byłoby węszyć wokół tajemnic dotyczących przyjaciół. Jeśli kapitan zechce, powie sam.

Takie stanowisko podzielali również inspektorzy.

Kapitan odebrał od nich gotową pracę, podziękował i nie miał nic przeciwko przechowywaniu jej kopii w komputerze Carney’a. Niczego nowego od siebie nie dodał.

Następne dni nie przyniosły żadnych rozstrzygnięć, a w ostatni dzień roku od rana zaczęli zjeżdżać się goście i nie mieli nawet chwili czasu, by o sprawie porozmawiać spokojnie i bez świadków.

Za to kapitan był w swoim żywiole. Na całe godziny zamykał się z niektórymi gośćmi, ale choć mateczka Betty miała mniej czasu, by go pilnować, nie widać było po nim

jakiegokolwiek kontaktu z gorącymi napojami. Widocznie miał na głowie bardzo ważne sprawy. Za to w noc przejścia starego w nowy rok zabawa miała już iście szampański charakter. Grzmiała pieśń Auld Lang Syne, a kapitan, bez względu na porę dnia i miejsce, gdzie się znajdował, ryczał basem najbardziej mu bliskie słowa Roberta Burnsa „za dawny bracie czas, za dawny czas, kielichy wznieśmy jeszcze raz, za dawny czas”. Nic zatem dziwnego, że za dalsze rozwiązywanie zagadki wzięli się dobre dwa dni później.

Na szczęście nie miało to żadnego znaczenia, bo w tym czasie sprawa niejako sama się rozwiązywała, a w każdym razie wypadki toczyły się w tak dobrym kierunku, że sami nie zdołaliby zaplanować tego lepiej.

Lotte nie miała już wątpliwości, że wdepnęła na bardzo nieprzyjemną i niebezpieczną drogę. Na rannej odprawie Lolitka powiedziała jej to, co sama usłyszała od szefa.

John Carew, z kolei wyraźnie przekazał jej to, co usłyszał od Carney'a, a o czym niektórzy ludzie woleli głośno nie mówić. Słowa jej potwierdził jeden z policjantów, dobrze zorientowany w strukturach przestępczości zorganizowanej, a przy tym zajmujący się młodzieżowymi subkulturami.

Na pierwsze pytanie Lotte, czy jest możliwe istnienie takiej organizacji, wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Istnienie organizacji o charakterze nacjonalistycznym, a nawet faszystowskim jest faktem i to właściwie we wszystkich krajach. To zjawisko nie jest nowe i zawsze znajdują się ludzie o skrajnych poglądach. Nie w tym tkwi problem, bo zdecydowana większość społeczeństwa nie podziela takiej ideologii.

– A w czym jest problem?

– Problem istnieje, jeżeli za wrzaskami idzie śmierć. A tu najwyraźniej idzie.

– Słyszałeś o istnieniu czegoś takiego jak Neue Achsenmachte – naciskała Lotte.

– Słyszałem – wzruszył ramionami policjant – ale pewności, że istnieje, nie ma żadnej.

Taka nazwa nie przewija się w żadnych zeznaniach podczas śledztw o stosowanie przemocy. Nie są również widoczne w żadnych internetowych witrynach, ani w wykazach International Third Position. A ta międzynarodowa organizacja skupia większość tego grup nacjonalistycznych z różnych krajów. Może Neue Achsenmachte, funkcjonuje samodzielnie – zastanawiał się Norman.

– Do tego potrzebna jest gruba forsa, a młodzi jej nie mają.

– A może właśnie mają, jeśli są wspierani przez finansjerę, zwłaszcza międzynarodową – zauważyła Lolitka, którą ku jej zaskoczeniu i radości Lotte zaprosiła na naradę w komendzie.

– O ile są na to jakieś dowody – powątpiewał policjant.

– W każdym razie warto przy tym trochę poszperać.

– Ciekawe gdzie?

– W tej knajpie, gdzie się spotykają skini i dokąd chodzi nasz znajomy z boksów, niejaki Martin.

– Najpierw poczekałbym na wyniki obserwacji knajpy – zauważył ostrzegawczo Norman.

– Dobrze byłoby namierzyć tego gościa, co zabrał broń z drugiego boksu. Gdyby nie ćpun, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli.

– Trzeba tego faceta znaleźć. Mógłby nam wiele wyjaśnić.

– A może dyskretnie wypytać tego barmana. Przecież nie jest ślepy i może coś dziwnego zauważył – podsunęła nieco naiwnie Lolitka.

– I w ten sposób uprzedzić o akcji jedną z być może głównych osób – zauważyła chłodno

Lotte. – Nie, tego typu zatrzymamy równocześnie z całą ferajną z baru.

– Pod jakim zarzutem?

– Być może będziemy mieć pretekst by wkroczyć, a jak nie, to go sami dostarczymy. Ale na pewno nie ma sensu wkraczać na ślepo.

– Myślisz o jakiejś prowokacji? – zaniepokoił się Norman.

– Jeśli trzeba będzie, to tak. Mam na to zgodę zwierzchników – uspokoiła obecnych

Lotte.

– Czy wiadomo już, co się dzieje z narkomanem, który przynosił torbę. Niewykluczone, że do niej zajął i mógłby być ewentualnym świadkiem.

– Nie będzie świadkiem – odpowiedział milcząco dotąd policjant, stojący pod ścianą i intensywnie wpatrzony w widok za oknem – nie żyje. Znaleziono go w pociągu relacji Monachium-Berlin. Wygląda jakby przedawkował, ale lekarzowi objawy wydają się nieco nietypowe. Na wyniki sekcji trzeba jeszcze trochę poczekać. Ale to nie jest pierwszy przypadek takiego tajemniczego zejścia. Tu na dworcu mieliśmy dwa lata temu coś takiego. Objawy są podobne. Wydawało się, że jedna z dziewczyn przedawkowała, jednak sekcja wykazała, że w organizmie znajdowała się mieszanka różnych alkaloidów o silnie trujących właściwościach. Mogło to być otrucie.

– Czy wiadomo, dlaczego ta dziewczyna została otruta? – zapytał Norman.

– Być może za dużo wiedziała. Wtedy akurat toczyło się śledztwo w sprawie kanałów przerzutowych broni i narkotyków z Europy wschodniej do Francji, krajów Beneluksu i na Wyspy Brytyjskie. To była grubsza sprawa, a dziewczyna praktycznie nie opuszczała dworca. Nikt jej przesadnie nie ganiał, bo zachowywała się przyzwoicie, tyle że lubiła tu bywać. Ludzie mają różne upodobania.

– Narkomanka?

– Trudno powiedzieć, ale nawet jeżeli tak, to taka mało nachalna. Czysta, schludna.

I miała forszę. Ani nie kradła, ani nie żebrała. Po prostu zachowywała się jak każdy normalny pasażer. Tyle, że nie podróżowała.

– Śledztwo w tej sprawie oczywiście utknęło – z przekąsem zauważyła Lolitka.

– Nawet nie słyszałem, by go prowadzono – zdawkowo rzucił policjant. Ot po prostu zatrucie zanieczyszczonym narkotykiem. Ryzyko ćpunów.

– I sądzisz, że teraz mamy do czynienia z identycznym specyfikiem?

– Nie mam pojęcia. To muszą potwierdzić wyniki sekcji. Jeżeli będą pozytywne, to mamy wyjaśnione dwa morderstwa i związek z przemysłem naszego Martina, a on wtedy nie tylko wyszedł, ale nawet nie był przesłuchiwany jako świadek.

– No dobrze – podsumowała Lotte. – Podzielimy teraz zadania. Jak widzicie w skład zespołu wchodzi pięć osób. Tak, panią też liczę – Lotte przerwała na chwilę, widząc zdumienie malujące się twarzach wszystkich obecnych i uśmiechnęła się do Lolitki. – Jednak pani zajmie się jedynie powiedzmy białym wywiadem. I to w Berlinie. Tam ma pani więcej przedstawicieli i korespondentów różnych gazet. Dziennikarze wiedzą dużo, a pani jest dziennikarką bardzo rzetelnego pisma i łatwiej pani zaufają. Niech pani zajmie się tymi podejrzanymi organizacjami i sposobami ich finansowania. Chodzi głównie o procedury przestępcze, ale i o inne nieco podejrzaną źródła, powiedzmy bardziej oficjalne, na przykład dotacje. I niech pani rozmawia wyłącznie z dziennikarzami. Po pierwsze inne osoby mogłaby pani spłoszyć, po drugie byłoby to zbyt niebezpieczne. Norman, ty zajmiesz się piwiarnią i jej klientami. Hubert – tu zwrócił się do policjanta spod okna – wyjaśnij wątek narkotykowy i obejmiesz nadzór nad Martinem. Tu pewnie razem z Normanem będziecie musieli współpracować. Wreszcie Peter i ja pójdziemy śladem ofiar. Mam już adres mieszkania brata i jego sublokatora. Okazuje się jednak, że jest to

osobnik sfotografowany przez ludzi McCoy'a w Szkocji, podejrzewany o zabójstwo Bruna i Hansa. Może w mieszkaniu znajdziemy jakieś ślady ich kontaktów z nielegalnymi organizacjami, światem polityki i biznesu.

– Są pytania? – chwilę czekała, a wobec braku odzewu wstała energicznie i rzuciła – życzę powodzenia!

Lolita bez zwłoki poleciała do Berlina, ale wbrew zaleceniom, nie zjawiała się w redakcji, tylko udała się do Kurta Baumana, na co szczególnie naciskał Carney, ostrzegając, by pod żadnym pozorem nie zbliżała się do nikogo z policji. Zadeklarował, że gdyby Kurt miał jakieś wątpliwości, Carney osobiście potwierdzi jej tożsamość. Na pytanie, czy ma jakiś znak szczególny, odpowiedziała, że owszem, ale pokaże go tylko w ostateczności i to zagrożona wyrokiem śmierci, chyba że niedowiarek się jej spodoba, to zrobi to bez oporu, ale w tej sprawie jest wybredna.

Tu świadoma obecności Kurta zrobiła się czerwona jak burak, co ją jeszcze bardziej rozwścieczyło.

Na szczęście Kurt, aczkolwiek nawet atrakcyjny, nie żądał okazania tajemniczego znaku szczególnego. Nie wątpił, że przychodzi od Carney'a, bo jak powiedział jego przyjaciel opisał ją nawet dość dokładnie, choć nie dodał, że jest osobą tak pełną uroku – wtrącił kurtuazyjnie i na wyrost, bo jeszcze nie znał ujawniającego się czasem jej denerwująco trudnego charakteru.

Kurt nie miał wiele do powiedzenia, ale były to wiadomości o ciężkim charakterze gatunkowym. Po raz pierwszy padło wówczas imię Hermana, kluczowej postaci dla ostatecznego wyjaśnienia wątków

– Kim jest ten Herman? – zapytała z notatnikiem w ręku, bo Kurt zdecydowanie nie wyraził zgody na nagrywanie, oświadczając mimochodem, że w tym pomieszczeniu i tak nie byłoby to możliwe.

– Jakby to pani powiedzieć – zastanawiał się chwilę jej rozmówca – to taka szara eminencja z ambicjami wygryzienia mocodawców.

– Czym się zajmuje?

– Jest radcą handlowym, ale sam też prowadzi dość udane przedsięwzięcia finansowe. Firma, w której doradza, prowadzi interesy prawie na wszystkich kontynentach, w tym najbardziej znaczące z firmami azjatyckimi.

– A jaka branża najbardziej ich interesuje?

– Z tego co wiem to głównie elektronika.

– Nie wie pan, jakie to są firmy?

– Wiem, ale nie firmy są ważne.

– Dlaczego?

– Bo w tych kontaktach nie ma żadnych podejrzanych interesów. Ot, po prostu rutynowe, zgodne z procedurami zasady współdziałania. Wiem o tym, bo sam robiłem ekspertyzy. Są tam i duże korporacje, i niewielkie kooperujące firmy. Ważne dla pani są tu raczej pozasłużbowe kontakty ludzi, których obowiązują tajemnice handlowe.

– Dlaczego?

– Bo choć nie ma w tym nic nielegalnego, to jednak postrzegane jest jako nieetyczne, zwłaszcza jeżeli kontakty otoczone są już nie tyle tajemnicą, co wręcz konspiracją.

– Skąd pan wie?

– Widzi pani, to nie tyle kwestia wiedzy, co nosa i umiejętności wyczuwania pewnych niuansów. Tego nie można się nauczyć. Wynika to i z doświadczenia, i pewnego szóstego zmysłu. Jest w Berlinie dużo ode mnie mądrzejszych analityków, a jakoś nie narzekam na brak

zleceń. Ten szósty zmysł mówi mi więcej niż tony papierów.

– I co panu powiedział ten zmysł?

– Że Herman prowadzi tą swoją działalność doradcy w ściśle określonym kierunku. To co jest opłacalne dla firmy dziwnie składa się z jego osobistymi korzyściami. Finansowymi owszem, ale to naturalne, bo ma procent od zysków, ale tu chodzi jeszcze o coś. Proszę sobie wyobrazić, że obsługę prowadzą głównie przedstawiciele konsorcjów z Japonii, Włoch i Niemiec. Niby nic, a jednak coś.

– Ci sami ludzie, banki i przedsiębiorstwa?

– Nie, ale wyłącznie z tych krajów.

– Wydaje się to panu podejrzane?

– A pani nie?

– Nie wiem, nie znam się na tym. Może są to po prostu dobre kontrakty.

– Z całą pewnością, bo firma Hermana kwitnie, ale on sam chyba ma lub będzie miał jakieś spore kłopoty.

– Co pan ma na myśli?

– Przez przypadek miałem klienta z japońskiej firmy elektronicznej. Chciał wiedzieć, jak wygląda zabezpieczenie finansowe biura niejakiego pana Perugia, dyrektora jednego z włoskich banków z siedzibą w Rzymie, ponieważ chciałby mu powierzyć obsługę poważnego kontraktu. Dodał, że pan radca Herman, namówił go na te kontakty i dlatego woli analizę firmy z Niemiec, niż z Włoch. Mówił też, że prowadził już z nim interesy i był zadowolony, ale coś ostatnio mówią o ryzykownych inwestycjach, a jego, jak się wyraził, niemiecki pośrednik, pan Herman nie wydaje się zbyt dobrze zorientowany.

– Perugia mówi pan? – zapytała z przejęciem Lolitka.

– Tak! – potwierdził Kurt – dziwne, ale Carney'a też to nazwisko zainteresowało, zresztą chyba właśnie o niego pytał i tak mi się skojarzyło.

– Nie dziwię się, bo w całej aferze z tajemniczymi zabójstwami właśnie ten osobnik przewija się zadziwiająco często.

– Mój klient, Nakayama z Japonii też sprawiał wrażenie mało skłonnego do miłosiernego odpuszczania grzechów. Kiedy po pewnym czasie przysłał swojego sekretarza, czułem, że pan Perugia będzie miał spore kłopoty. I faktycznie, słyszałem, że zginął w morskiej katastrofie.

– Co?

– Nie wie pani? – zdziwił się Kurt. – Co ciekawego tym jachtem, który zatonął, płynęło jeszcze dwóch finansistów i dwóch podejrzanej konduity maklerów. Pewnie jakoś uzgodnili sposób wyjścia z niezłego bagna, ale cóż, nie dane im było z tej szansy skorzystać.

– Kiedy to się stało?

– Przedwczoraj. Być może pani przyjaciele jeszcze o tym nie wiedzą, kiedy ostatnio rozmawiałem na pani temat z Carney'em, to słyhać tam było w tle niezłą balanę noworoczną. Wtedy Perugia prawdopodobnie jeszcze żył.

– No to wypadki nabrały tempa? – zastanowiła się chwilę i wreszcie przeszła do sedna – ale proszę mi powiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z polityką?

– Polityka, droga pani, to kosztowna zabawa. A pan Herman wyznaje skrajnie prawicową ideologię. Niewielu poważnych przedsiębiorców byłoby skłonnych poprzeć taką kampanię wyborczą. Musi liczyć na skrajnie nacjonalistyczną młodzież, ale muszą też oprócz mrzonek i haseł coś konkretnego zaoferować. Stąd finansowanie obozów, wyjazdów na sportowe imprezy, organizowanie zlotów, a nawet fundowanie stypendiów i wspieranie działalności gospodarczej. Mało?

– Wystarczyłyby już tylko te obozy, aby nawet dobra firma poszła z torbami.

– Chyba tak zaczęło się dziać i pan Nakayama zareagował.
– Ale sama organizacja Neue Achsenmachte fizycznie chyba nie istnieje.
– Raczej nie, a nawet jestem pewien, że nie. To raczej kryptonim ruchu wspierającego przyszłego kandydata do Bundestagu, pana Hermana, dodajmy, że za nim stoją pozornie odrębne środowiska skrajnie nacjonalistycznej młodzieży, rzesze stadionowych ultrasów i podobne elementy. A nazwa pasuje. Pan Herman, Perugia i Nakayama tworzą swoistą oś Berlin-Rzym-Tokio.

– Radzi mi pan sprawdzić pozasłużbowe kontakty pana Hermana?

– Nic pani nie radzę, bo nie składa pani formalnego wniosku o doradztwo. Gdyby tak było, raczej bym pani odradzał. Sama pani wie, ile już tu było zgonów. Ja wiem o pięciu, jeśli zatonięcie jachtu, to nie był wypadek.

– Mogę pana zapewnić, że nie był, pełną listę ofiar, a jest naprawdę imponująca, przedstawię panu niedługo, bo chyba powoli ta hekatomba już się kończy.

– Dziękuję – sucho zauważył Kurt – informacja mi niepotrzebna, nie prowadzę przedsiębiorstwa pogrzebowego.

– To tylko w ramach wymiany informacji – uśmiechnęła się dziewczyna – Ostatnie pytanie: gdzie mieszczą się biura pana Hermana?

Kurt podszedł do wielkiego biurka i z segregatora wydobył wizytówkę, następnie bez słowa wręczył ją Lolitce, a kiedy wyszła długo patrzył na drzwi, za którymi właśnie zniknęła. Wreszcie usiadł w fotelu i zamyślił się głęboko.

Lolitka prawie biegiem mijając kolejne pomieszczenia redakcji. Skserowała wizytówkę i rzuciła ją na biurko kolegi ze słowami – wszystko o tym facecie, firma mniej ważna. Prawie tak samo potraktowała innego kolegę, tylko że tym razem interesowały ją obozy przetrwania, organizowane i prowadzone przez podejrzane elementy. Co miała na myśli nie wyjaśniła, ale dziennikarz chyba tak jak Kurt musiał mieć szósty zmysł, bo tylko kiwnął głową.

Lolitka pobięła dalej.

Hubert niestrudzenie patrolował dworzec i jego otoczenie. Teoretycznie pełnił zwykłą codzienną służbę, ale czego nigdy wcześniej nie robił, zwracał teraz uwagę na biuro informacji i obsługi boksów. Martin był obecny i widać było mocno znudzony. Klientów miał niewielu, jedna starsza para, kierownik wycieczki. Pojawiła się też jakaś młoda dziewczyna, której Martin wręczył klucz, choć była bez bagażu. To zastanowiło Huberta, więc pozornie, nie zwracając na nią uwagi, leniwie maszerował, rozglądając się po zatłoczonej hali. Gdy był pewien, że jest poza zasięgiem wzroku, zawiadomił koleżankę z sąsiedniego patrolu, by podjęła jej obserwację i z zaleceniem by jak najszybciej, gdy tylko dziewczyna odda klucz Martinowi, została dyskretnie, pod byle jakim pretekstem, zatrzymana i przeszukana.

Przecucie go nie zawiodło. Dziewczyna miała przy sobie foliową torebkę z jakimś białym proszkiem, przypuszczalnie narkotykiem. To dawało podstawy do przypuszczenia, że Martin bardzo sprytnie rozprowadzał narkotyki. Po prostu klient płacił za działkę na jego stoisku, tam otrzymywał klucz od boksu, w którym był odpowiadający cenie towar i po jego zabranii oddawał klucz. Potem już diler nic więcej nie obchodziło, a klienci byli również zadowoleni z dość bezpiecznego rozwiązania problemu.

Można było teraz Martina zdjąć prawie natychmiast, bo przerażona dziewczyna złożyła obszernie zeznania, ale rozkaz Lotte był wyraźny. Zatrzymania miały być skoordynowane. Z nudów obserwował więc nadal swój obiekt i dobrze zrobił, gdyż sytuacja się powtórzyła, ale w zupełnie inny, nawet dziwniejszy sposób. Tym razem do biura przyszedł mężczyzna

z bagażem i otrzymał klucz. Zapewne Hubert nawet by na to nie zwrócił uwagi, ale teraz odprowadził wzrokiem pasażera i zdumiał się, gdy ten uporawszy się z umieszczeniem solidnej i jak wyglądała ciężkiej torby w schowku, wrócił do Martina i oddał mu klucz. Kto przy zdrowych zmysłach oddaje klucz od boks, w którym umieścił swój bagaż.

To już było na tyle zastanawiające, że Hubert postanowił jeszcze tego samego wieczora sprawdzić wszystkie boksy i aresztować każdego, kto z kluczami miał nawet ulotny kontakt. To już wyglądało nie na dilerkę, a na hurtownię.

Takich manewrów zauważono tego dnia w sumie pięć i pięć osób w tym uczestniczących znajdowało się areszcie. Trójka z nich to byli ludzie bardzo młodzi i zaniedbani, wyglądający jak narkomani w potrzebie, czwarty też był młody i na pewno związany z jakimiś ciemnymi sprawkami, ale na pewno nie zabiedzony, o czym świadczyły potężne bary i zawzięty brutalny wyraz twarzy, jedynie zbyt wydęty jak na sportowca brzuch mógł świadczyć o zamiłowaniu do piwa. Ćpun z dworca, któremu dyskretnie okazano zatrzymanego, nie miał wątpliwości, że właśnie ten osiłek odbierał feralnego dnia torbę przeniesioną przez Szczura z jednego boks do drugiego. Zeznanie natychmiast spisano i ćpun mógł wreszcie odzyskać, przynajmniej chwilowo wolność. Uwolniony był na tyle rozgarnięty, że natychmiast postanowił oddalić się z niegościnnego terenu.

Za to piąty zatrzymany zdecydowanie różnił się od pozostałych. Wyglądał jak komiwojażer. Nie rzucający się w oczy schludny płaszcz i beżowy kapelusik pasowały do eleganckiej torby, którą mężczyzna zostawił w boksach i oddał klucz Martinowi.

W przeciwieństwie do czwórki młodych zatrzymany nie awanturował się i jedynie spokojnie zażądał kontaktu ze swoim adwokatem, na co Hubert zimno oświadczył, że uczyni to natychmiast, gdy będzie to konieczne. Przez kilkanaście godzin będzie po prostu zatrzymany, jak każdy zwykły obywatel, którego nie stać na prywatnego adwokata. Zatrzymany wzruszył ramionami i obojętnie przyjął to do wiadomości.

Po południu Norman siedział w swoim prywatnym samochodzie i nieco się nudził. Piwiarnia o tej porze nie była zbyt często odwiedzany miejscem, choć czasem ktoś się w drzwiach pojawiał. Byli to z pozoru najzwyklejsi klienci, paru robotników, jakieś pojedyncze osoby najczęściej młodzież płci obojga, ze dwa razy do lokalu weszły osoby mniej pasujące do piwiarni, a bardziej do markowej restauracji. Raz był to nobliwie wyglądający pan, w eleganckim płaszczu i kapelusiku, innym razem około trzydziestoletni mężczyzna w garniturze o sportowym kroju. Jak widać klientela piwiarni była mocno zróżnicowana. Każdy klient na wszelki wypadek został sfotografowany.

Normanowi udało się też zrobić zdjęcie właścicielowi, gdy ten na moment opuścił lokal i bacznie rozglądał się po ulicy. Był to postawny mężczyzna, nieco łysiejący, o czerwonej twarzy i małych świdrujących oczkach. Na jego widok, gdy wyszedł z potężną miotłą w ręce, Norman parsknął śmiechem, bo pan Johan, jak przypuszczalnie jego imię wskazywał napis na witrynie, przypominał przedwojennego stróża albo posługacza w rzeźni. Nawet plamy na roboczym, beżowym fartuchu mogły ten zawód przypominać.

Dopiero dobrze po południu, kiedy ulica zarojła się ludźmi powracającymi z pracy, zwiększył się też ruch w piwiarni. Teraz amatorzy piwa stanowili już bardziej jednolitą grupę. Podobne stroje na dobrze zbudowanych ciałach, wygolone głowy i buńczuczne głośnie zachowanie skutecznie zniechęcały co spokojniejszych mieszkańców do szukania gościny u Johana.

Nic jednak poza tym się nie działo. Żadnych ekscesów, awantur, czy zaczepiania przechodniów. Istniała tu jakby niepisana zasada, by policja nie miała podstaw do jakiegokolwiek

interwencji. Wreszcie około siedemnastej do piwiarni wszedł Martin, a zaraz po nim na ulicy zjawił się Hubert i bez pudła rozpoznał samochód Normana. Szybko przekazali sobie najważniejsze informacje i postanowili czekać na wiadomości i rozkazy od Lotte.

Lotte z pewną niechęcią wchodziła do mieszkania brata. Po wielu trudach udało się jej zlokalizować i to dlatego, że wysłano fotografie do wszystkich posterunków w Monachium. Jedynym śladem było skojarzenie funkcjonariuszki posterunku z tej okolicy. Wraz z kolegą często byli tu wysyłani na patrol, a Peter zwyczajnie się dziewczynie podobał. Sprawdzali wszystkie okoliczne mieszkania i dopiero sąsiedzi jednego z nich poświadczali, że mężczyzna mieszkał tu, ale dawno go nie widzieli. Dodali jednak, że często też bywa w tym mieszkaniu jego sublokator, bardzo elegancki i greczny młody mężczyzna. Wyrazili przypuszczenie, że może być w domu, bo dzisiaj go tu widzieli.

Nie było jednak nikogo, za to przeszukanie mieszkania przewyższyło wszelkie oczekiwania. Był to prawdziwy magazyn materiałów szkoleniowych dla wysokiej klasy terrorystów. Oprócz podręczników opisujących sztuki walki były też informatory z zakresu survivalu, technik dowodzenia, materiały na temat broni i sposobów jej użycia, a nawet sporządzania bomb. Nie brak było też broszur, plakatów i ulotek o jednoznacznie skrajnie nacjonalistycznej treści.

Nie znaleziono jednak broni, za to w biurku znajdowała się dokładna mapa Szkocji z zakreśloną na czerwono okolicą Tain. Potwierdzało to, że mieszkańcy tego lokalu mogli mieć związek z pierwszym lub drugim zabójstwem w domu Eidearda, a najprawdopodobniej z obu tymi przypadkami.

Lotte usiadła na jednym z foteli i zamyśliła się, natomiast Konrad przeszukiwał sypialnię. Tam nie chciała wchodzić.

Oboje zachowywali się bardzo cicho, na wypadek gdyby sublokator Petera wrócił, Lotte zamknęła nawet drzwi na klucz, by nic nie mogło go zaniepokoić. Broń trzymała tuż pod ręką, bo nie wiadomo jak ten człowiek zareaguje, a sądząc po zgromadzonych lekturach nie był to byle amator. Ocknęła się, gdy z sypialni bezszelestnie wysunął się Konrad i jednym gestem wskazującym na drzwi, drugim wskazał jej wnękę między ścianą a szafą. Ledwo zdążyła się ukryć, gdy zgrzytnął klucz i do pokoju wszedł przystojny, dobrze ubrany mężczyzna.

Był odwrócony tyłem, ale musiało go coś zaniepokoić, bo nagle znieruchomiał i błyskawicznie odwrócił się twarzą do Lotte, która zdążyła tylko zobaczyć zarys broni, a potem padł jeden jedyny suchy strzał.

Konrad wysunął się z sypialni i razem z Lotte spoglądali na ciało martwego. Lotte miała zbyt dobrze wyryte w pamięci precyzyjne strzały do Hansa i Bruna, by choć przez ułamek sekundy wahać się z oddaniem strzału. Zresztą precyzja i szybkość z jaką zareagował zaskoczony przecież Helmut, w pełni usprawiedliwiła jej decyzję.

Rozpoznała go od razu. To on był na zdjęciu, które wykonali wywiadowcy McCoy'a. Nie było zatem wątpliwości, że stoi za zabójstwem obu młodych Niemców. Ciekawe tylko, kim on tak naprawdę jest – myślała w zadumie i przeszła jej jeszcze przez głowę paskudna myśl, dlaczego mieszkał z jej bratem i czy był tylko jego mścicielem, czy też wykonywał rozkazy wydane mu przez kogoś innego. Jeżeli tak, to osobą o podobnym charakterze mógł być jej brat, jeśli nie – zastanowiła się – to też nic pocieszającego.

Konrad bez zwłoki wezwał ekipę techniczną i teraz już prawdziwi fachowcy metodycznie i dokładnie dokonywali rewizji.

Ciało Helmuta zostało zabrane. Wyglądało, że tą jakże prozaiczną, choć ponurą czynnością, cały krąg nagłych zgonów, począwszy od starego Eidearda, poprzez Petera, Hansa,

Bruna i Helmuta, został zamknięty. Pozostały jedynie wątki śmierci ośmiu uczestników rejsu, ale jak się wydawało, zostaną one niewyjaśnione.

Rozmach i dokładność jakie w działaniu udowodnili ludzie pana Torano, nie pozostawiały wątpliwości co to swojej skuteczności i dbałości o usunięcie śladów przestępstwa.

Norman i Hubert wreszcie doczekali się.

Tuż po dziewiętnastej zjawiła się Lotte i Konrad. Nie było czasu by dokładnie złożyć sprawozdania, ale najważniejsze informacje zostały przekazane. Norman ze współczuciem, ale i z dumą spoglądał na Lotte i nie miałby nic przeciwko temu, by akcja zatrzymania Martina nastąpiła natychmiast, ale Lotte się nie gorączkowała i postępowała metodycznie.

Około dziewiętej pokazała palcem przez okno, jakby na coś czekała. Wreszcie zobaczyli zbliżających się kilku, jak wydawało się, napakowanych obwiesiów, z szalikami na szyjach i puszkami piwa w rękach. Wtoczyli się do baru, ale zamiast ryku entuzjazmu rozległy się pełne obelg krzyki. Wydawało się, że sytuacja w piwiarni staje się coraz bardziej gorąca, ale Lotte jeszcze zwlekała i dopiero, kiedy u wylotów ulic pojawiły się dwie furgonetki wstała z przedniego siedzenia i rzuciła – ruszamy.

W tym samym czasie z furgonetek wyskoczyli funkcjonariusze i szczerze obstawili wszystkie możliwe wyjścia.

W piwiarni Johan wreszcie opanował rozcgardiasz i po pewnym czasie zapanował w końcu zwykły codzienny gwar. Jak codziennie ktoś zaczął gromko śpiewać, wkrótce do solisty dołączyły się inne głosy, a wreszcie cała sala ryczała już jakąś podniosłą pieśń. Do pieśni dołączyli się przybysze, którzy nie bacząc na ponure, a nawet wrogie spojrzenia mieszały się z bywalcami.

W kulminacyjnym momencie pieśni nastąpił szturm policji, który całkowicie zaskoczył rozochoczone towarzystwo, zwłaszcza, że szalikowcy sprawnie powykręcali im ręce i pchnęli pod ścianę. Zanim Lotte ze swoją niewielką ekipą weszła do piwiarni, ponad dwudziestu gości w milczeniu z zaciętymi twarzami stało przy jednej ze ścian z podniesionymi rękami. Na ziemi leżał tylko nieprzytomny barman trzymany na muszce przez jednego z funkcjonariuszy.

– Sięgnął pod ladę po broń – wyjaśnił krótko policjant.

Lotte skinęła głową i po zrewidowaniu kazała zabrać wszystkich na posterunek. Plon rewizji nie był przesadnie bogaty, znaleziono jedynie kilka noży i kastet. Za to barman miał potężne parabellum, pamiętające zapewne jeszcze czasy ostatniej wojny.

Widać sentymenty były silniejsze od rozsądku.

Cała akcja skoordynowana przez Lotte przebiegła wręcz wzorowo. Po otrzymaniu wiadomości od Lolitki, Lotte połączyła się z Berlinem i poprosiła o przesłuchanie w charakterze świadka radcy handlowego jednej z firm, pana Hermana. Nie udzielił prawie żadnych odpowiedzi, zasłaniał się prawami obywatelskimi, ale już sam fakt poinformowania jego zwierzchników o powodach przesłuchania miał dalekosiężne konsekwencje.

Pan Herman oczywiście nie został zatrzymany, ale miał zakaz opuszczania miejsca zamieszkania. Sądząc z chłodu, jaki po tym incydencie nastąpił w relacjach między panem radcą a zarządem firmy, było widać, że kariera zawodowa tego człowieka jest skończona.

Herman wiedział też, że podobnie ma się sprawa z jego karierą polityczną.

Parę tygodni później w ogrodach pałacowych wdowy Wilshere zebrało się spore grono osób tak czy inaczej powiązanych przez tok zdarzeń.

W ciągu tych kilku tygodni wiele spraw się wyjaśniło, niestety pozostało też wiele niewiadomych, ale raczej nie mających bezpośredniego związku z zabójstwami, a policję interesował prawie wyłącznie ten wątek, zaś w sprawie neofaszystowskiej organizacji, przestępcze działania to był przede wszystkim wątek handlu bronią i narkotykami. Całą bez mała mistyczną otoczkę wyjaśniali już zainteresowani na własną rękę, bo kapitan oświadczył, że cierpi na amnezję, sklerozę i dementi starcze.

Tryskał przy tym takim wigorem, że nikt nie wątpił w bardzo dobry rezultat jego pozakulisowych działań.

Obecni byli wszyscy trzech inspektorzy, Patryk, ksiądz Marco, John Carew i Lolitka. Na specjalne zaproszenie przybyła też Lotte z Normanem i kustosz Archibald. Jako stali bywalcy, prawie domownicy, byli oczywiście Charlotte z Carney'em i stary kapitan, nie licząc Ellen, mateczki Betty i młodego małżeństwa Mary i Boba.

Carney ostatnio wiele czasu spędził nad powiązaniem wszystkich wątków sprawy i nikt tak jak on nie orientował się w subtelnych powiązaniach wszystkich zdarzeń. Zresztą choć wyglądało, jakby trzymał się na uboczu, tak naprawdę wskazywał i rozpoczynał rozpoznawanie każdego z wątków. Ale wtedy, kiedy widział, że istnieje inna możliwość skuteczniejszego załatwienia sprawy, niż poprzez jego bezpośredni udział, potrafił te możliwości wykorzystać. Stało się więc tak, że jak w wielu poprzednich sprawach pochwały i zaszczyty spadały na kogo innego, mimo że prawdziwym ojcem sukcesu był sir ABC.

– Jak wiemy – zagał rozmowę detektyw – całe śledztwo zaczęło się od zabójstwa Eidearda, ojca pana Patryka, ale cały czas rozwiązując zagadkę, zamiast do przodu, zaczęliśmy się cofać i to tak daleko, że znaleźliśmy się w czasach, kiedy na świecie było niewiele z nas tu obecnych. Wiemy – kontynuował, że relikwiarz skradł Antonio Perugia z niewielkiej ukrytej w skale kaplicy, w okolicach Sidi Barrani. Nie było w niej prawie nikogo, nie licząc dwu, może trzech chrześcijan, nawet nie księży, choć tego nie wiemy. Może duchowny pomoże nam to ustalić? – poprosił z takim naciskiem Carney, że wszyscy się wzdrygnęli, ale ksiądz jak zwykle spokojnie odpowiedział.

– Oczywiście, mogę to zrobić, choć nie wiem, skąd pan wie – spojrzał na Carney'a.

– Ksiądz Marco – wyjaśniał detektyw – miał na Sycylii przyjaciela, pana Alberto, który niedawno zmarł po długiej chorobie. Skąd pan Eideard Campbell o nim wiedział, nie mam pojęcia, ale zlecił mu odszukanie w posiadłości pana Perugia jakichkolwiek pamiątek wojennych.

– Dotarł do niego, jak się to mówi na Sycylii, od swoich przyjaciół do ich przyjaciół – wyjaśnił ksiądz. – Ja o tym nie wiedziałem, choć kiedyś zasugerowałem mu, że pokutuję na północy za grzechy popełnione na Sycylii, przez siebie i moich rodaków. Ei potrafił wyciągać wnioski.

– I wyciągnął je rzeczywiście dobrze, skoro przez przypadek trafił na przyjaciela księdza Marca, ale o tym Alberto dowiedział się dopiero niedawno.

– Nic nie rozumiem – oświadczyła wdowa Wilshere.

– Okazało się, że jedyne pamiątki wojenne tego oficera, to list i zdjęcie wysłane z frontu do żony – wyjaśnił ksiądz. – Alberto był jednym z szefów mafii na Sycylii, świeć Panie nad jego duszą, bardzo szanowanym, ale też bardzo grzesznym człowiekiem. Kiedy Ei opowiedział mu czego i u kogo ma szukać, nie wahał się ani przez chwilę. Ei powiedział, że Perugia obrabował świątynię z relikwii i zamordował księży, którzy się nią opiekowali. A trzeba wam wiedzieć, że żaden, nawet najbardziej twardy sycylijszyk, szczególnie szanujący dawne zasady, nie zamorduje księdza i nie obrabuje kościoła. Dlatego Alberto zrobił wszystko co można i zadanie wykonał. Zdobyty list i zdjęcie Perugia wręczyła mi po pogrzebie córka mojego przyjaciela, ale to było

tydzień temu. Nie mogę odgadnąć, skąd pan Carney o tym wie.

– O tym nie wiedziałem – uśmiechnął się detektyw – po prostu tak przypuszczałem i okazuje się, że słusznie. Ponadto ksiądz ma zapewne oryginały albo kserokopie i to zdobyte przez ludzi Alberta, już po śmierci Perugia.

– Zgadza się – potwierdził ksiądz.

– No właśnie, a ja mam do dyspozycji mikrofilmy przygotowane piętnaście lat temu. Zrobienie ich było łatwiejsze i jak się okazuje jakość filmów jest bardzo dobra. Czy były wykonane z posiadanych przez księdza kserokopii czy z oryginałów tego nie wiem, ale Alberto w liście pisze, że takie oryginały istnieją i są w skrytce banku, którym zarządzał właśnie Perugia. Jeżeli Alberto dotarł do tej skrytki, to jego możliwości musiały być naprawdę niesamowite.

– Były niesamowite – mruknął ksiądz. – Jestem tego pewien i jeżeli jest tak jak pan mówi, postaram się dotrzeć do tych oryginałów i przekazać je do archiwów komisji historycznej, zajmującej się zbrodniami wojennymi.

– O tym warto by jeszcze chyba podyskutować – zauważył z niepokojem kapitan.

– Być może, ale to będzie najlepsze rozwiązanie – poparła pomysł księdza Charlotte – utnie to wreszcie wszelkie spekulacje i niejasności, co do praw własności relikwiarza.

– Należy on przecież do Patryka – zdziwił się kapitan, słysząc o różnych spekulacjach i wątpliwościach.

– Już nie – odparł Patryk – postanowiłem, że pozostanie moją własnością do mojej śmierci, potem przejmie go Royal Scottish Museum w Edynburgu. Już napisałem stosowne oświadczenie w obecności notariusza.

– Dzięki wspaniałomyślności pana Patryka – uroczyście potwierdził kustosz Archibald – już wkrótce zostanie wystawiony, tuż obok relikwiarza Monymusk.

– Ciekawa zbieżność – nieco z kpinią zauważył Carney.

– Nie rozumiem, co masz na myśli młody człowieku – obłudny ton w głosie kapitana, był wręcz namacalny, a na twarzy czaił się tak figlarny uśmieszek, jakiego jeszcze detektyw u niego nie widział.

– Zostawmy to na razie – przerwał dyskusję Carney i kontynuował wyjaśnienia – w każdym razie, wydaje się, że Perugia był opętany myślą odzyskania relikwiarza, który traktował jak własność rodziny.

– To oczywiście musiało się wiązać z zemstą na Eideardzie, którego Perugia uważał za zabójcę swojego ojca.

– Nie tylko chodziło mu o Eidearda – tym razem z całkowitą powagą zauważył kapitan. – Wiemy doskonale, że ściągł całą naszą czwórkę. Nadal nie wiem, jak było z wypadkami, w których zginęli sir Wilshere i rodzice Charlotte.

– Trochę już wiemy – niespodziewanie włączył się Black i wszystkie spojrzenia spoczęły tym razem na nim.

– Co pan ma na myśli? – zapytała blada jak papier Charlotte.

– Faktycznie był to wypadek – wyjaśniał inspektor – ale nie oni go spowodowali. Już wtedy było wiadomo, że samochód pani rodziców został zepchnięty do rowu, a sprawca zbiegł. Przypisano to jednak jakiemuś przypadkowemu piratowi drogowemu, dziś możemy przypuszczać, że mogło to być działanie rozmyślne. Ale to i tak tylko przypuszczenia.

– Ale bardzo prawdopodobne, tym bardziej, że wkrótce, w prawie identyczny sposób zginął sir Wilshere – dodał kapitan – i ja, i Ei byliśmy o tym nawet przekonani.

– Ale było to bardzo dawno temu – zauważyła wdowa Wilshere – tymczasem dalsze wypadki nastąpiły dopiero teraz.

– Ponieważ kapitan i Ei dokładnie za sobą zatarli ślady i gdyby stowarzyszenie nie

opublikowano zdjęcia relikwiarza i informacji o poszukiwaniu jego właściciela, być może musiałyby odpuścić.

– Nigdy nie odpuścił – mruknął kapitan. – Wiem doskonale, ponieważ docierały do mnie informacje, że ktoś deptał za moimi śladami, długo i wytrwale. Na szczęście dla mnie, zawsze się spóźniał. Za to Eideard zniknął mu skutecznie. Nie był tak ruchliwy jak ja.

– Ale wreszcie dopadł ojca.

– Dopadł, ale przypuszczam, że tym razem Perugia nie działał od razu, koniecznie musiał zlokalizować relikwiarz. To wymagało czasu i Eideard dzięki temu był doskonale zorientowany, że zaczęła się obława. Nie miał zamiaru już uciekać przed szaleńcem, za to zrobił wszystko, by dokładnie zamącić tropy i na zawsze zabezpieczyć relikwiarz.

– Chce pan powiedzieć, że ojciec poddał się bezwolnie temu wyrokowi i nie próbował przeciwdziałać.

– Musiałyby chyba wyeliminować Perugia, a pana ojciec chłopcze nie był zabójcą – oburzył się kapitan. – Kiedy Ei zabił Antonia Perugia, był żołnierzem, a w dodatku ratował życie przyjaciela. To zupełnie inna rzecz!

– Rozumiem, ale ojciec wykazał taką przenikliwość w zabezpieczeniu relikwiarza i tajemnic waszego bractwa, że mógł skutecznie zadbać też o swoją osobę.

– Widocznie nie chciał – uciął dyskusję kapitan – a poza tym nic nie wiem o żadnym bractwie!

– Mogę panu o nim wszystko opowiedzieć – słodko obiecał Carney, a Charlotte powściągliwie się uśmiechnęła.

– Nie jestem ciekaw pańskich konfabulacji, panie prokuratorze – oburzył się kapitan – sądzę, że inni również nie są ich ciekawi.

– Przeciwnie – zniecierliwieła Mary, a Bob miał bardzo nieprzenikniętą minę, w przeciwieństwie do kapitana, który tym razem był jakby nieco zakłopotany.

– Niewiele wiem – skłamał Carney – poza tym, to rzeczywiście w większości konfabulacje, ale musiałem coś założyć, żeby wyeliminować wątki, które były dla śledztwa zbędne.

Kapitan odetchnął głęboko i poweselał. Spojrzał przelotnie na obecnych przy stole gości, jakby chciał ocenić również ich stopień zaciekawienia, wreszcie popatrzył na Carney'a i jakby udzielając mu pozwolenia, skinął głową.

– Otóż zastanawiałem się – zaczął ostrożnie Carney – czy w samym Stowarzyszeniu Czcieli Relikwii, którego prezesem jest ksiądz Marco, nie wyodrębniło się z czasem jakieś bardziej ściśle grono, nie jakiś odłam, czy zakonspirowane kierownictwo, ale po prostu grupka przyjaciół, mająca dodatkowe zainteresowania i cele w obrębie wspólnego programu.

– To przecież nic złego, jeśli w jakimś religijnym zgromadzeniu, jakaś grupa oddaje szczególną cześć jednemu świętemu – oburzył się ksiądz – przecież parafie mają różnych patronów, a Bóg jest jeden.

– Święta prawda – podchwycił Carney – można nawet powiedzieć, że choć Bóg jest jeden, to przecież istnieją różne religie i w każdej czczone są różne relikwie albo coś bardzo do nich zbliżonego.

– To nie to samo – oburzył się ksiądz.

– Słusznie – zgodził się detektyw – więc zostawmy to. Dla Perugia na przykład było nieistotne, jakiego świętego szczątki skrywa relikwiarz, on go traktował jako klejnot rodzinny – Carney'owi udało się zręcznie skierować uwagę słuchaczy na bezpieczniejszy temat.

– Jak to rodzinny – oburzył się ksiądz – przecież ten zbrodniarz go ukradł i zamordował tych, którzy się nim opiekowali i otaczali nabożeństwem.

– Proszę posłuchać, co morderca o tym pisał do swojej żony – zaproponował obecnym Carney i wyjął z trzymanej na kolanach teczki arkusz papieru – *dokonałem bohaterskiego czynu. Jak potomek krzyżowców, wydarłem z rąk niewiernych bezcenną relikwię. Gdybyś widziała Mario tych trzech brudnych saracenów, ubranych w długie szaty i ich brodate twarze, w których płonęły czarne diabelskie oczy. Gdybyś mogła widzieć mnie, swego bohaterskiego rycerza, jak sam zadaję im śmierć i jak własnymi rękami pokrytymi krwią bezbożnych, zdejmuję relikwiarz z plugawego miejsca, byłabyś pełna podziwu. Wreszcie podpalilem ten niegodny przybytek i obiecałem szczątkom świętego i sobie, że na zawsze pozostanie pod opieką naszej rodziny.*

– Czytałem te bluźniercze słowa – wyszeptał ksiądz. – Nie dziwi mnie, że pycha tak rychło została ukarana. Chrześcijańscy księża, najprawdopodobniej Koptowie zostali przez tego głupca uznani za saracenów!

– To nie miało znaczenia, drogi Marcu – cicho wyszeptwała mateczka Betty. – Antonia skusiło jedynie materialne bogactwo tego przedmiotu i jego mistyczna, a nie religijna wartość. Ten opis chyba miał być jakimś fragmentem późniejszej legendy, uzasadniającej mord. Wszak uważał, tak jak inni, którzy wówczas tę wojnę wywołali, że będzie zwycięzcą, a zwycięzców się nie sądzi.

– Tak to musiało być – zakończył ten wątek Carney.

– Ciekaw jestem, kto kazał zabić Perugia – zapytał Bob – bo wnosząc z tego co tu mówiono, w wypadek nie wierzę. Chyba że był sztorm, a do lądu było daleko.

– Nie było sztormu, a z wyspy do stałego lądu było nieco ponad dziesięć mil – włączył się inspektor Friedel. – Dowiedziałem się nieco poufnie od włoskiej policji, że nie bardzo wierzą w wypadek, ale dowodów na to nie mają. Śledztwo zostało umorzone.

– Dlaczego poufnie?

– Bo my tego śledztwa nie prowadzimy – wyjaśnił McCoy – ale chcieli się zrewanżować za wiadomość o tytku bez ucha, który zaatakował pana Patryka. Też się tym nie zajmują, bo śladów jest niewiele.

– Ja też uważam, że nie będą tego drażnić – zgodził się Carney – bo tak naprawdę nikomu na tym nie zależy. Cała piątka finansistów naraziła się bardzo wpływowym i wysoko postawionym osobom. Nie oni jednak za tym stoją?

– Skąd wiesz? – zapytał Black.

– To już zasługa panny Lolitki – wyraził uznanie detektyw.

– Zręcznie pociągnęła jednego Niemca za język i wygadał się o pewnym Japończyku.

– No to trzeba szukać tego Japończyka.

– Mój kolega Kurt, do tej niedyskrecji nie przyzna za skarby świata – zaśmiał się Carney – a Japończyka szukać nie trzeba. To pan Nakayama – prezes dużej firmy zajmującej się elektroniką.

– Znam to nazwisko – zawołał zaskoczony Patryk – ja z nim kooperuję.

– Przypuszczalnie skontaktował go z panem Jerry, pana zastępcą – wtrąciła Lotte.

– Skąd pani wie i co ma do tego Jerry?

– Przypuszczalnie nic nie ma, ale znał go mój brat Peter – wyjaśniała Lotte. – W notesiku, który znalazł Lolitka, był jego numer telefonu.

– Czyżby moja podwładna stała w centrum czynności operacyjnych? – zainteresował się John Carew.

– Nie tylko stała, ale dużo jeździła i robiła bardzo dużo zamętu – wtrącił Norman – ale działała bardzo umiejętnie i z bardzo dobrym rezultatem. Doszła też do wyjaśnienia roli organizacji NA.

– Czekajcie – zahuczał już uspokoiony oddaleniem niebezpiecznego tematu kapitan – po

kolei. Co miał do Perugia ten Japończyk?

– Stracił bardzo dużo pieniędzy na giełdzie. On i pewien Niemiec Herman. Tymi pieniędzmi rozporządzał właśnie Perugia i bardzo zaryzykował w zakup akcji. Krótko mówiąc, stracili prawie wszystko w bardzo krótkim czasie. To było genialne posunięcie giełdowych graczy i nie sądzę by było całkowicie przypadkowe. Prawda panie Carlos – zwrócił się niespodziewanie do Hiszpana.

– A pan ma jakiś szczególny dar zaskakiwania niewinnych ludzi – zauważył urażony Carlos. – Perugia nie był wśród graczy przesadnie lubiany, ale w biznesie to nie jest kryterium. Kiedy jednak zapytałem, tak ze zwykłej ciekawości moich przyjaciół, czy interesy tej podejrzaney trójki nie są albo nie mogłyby być jakoś zagrożone, wyłącznie z przyjaźni dla mnie, obiecali się w tej materii zorientować. Ale stąd do awarii jachtu, to doprawdy droga bardzo daleka, drogi panie – zakończył z godnością.

– Nic nie mówiłem o awarii jachtu – usprawiedliwił się Carney – ale faktem jest, że załoga była naćpana, a chłopaki nie mieli do tego skłonności. To sprawdzono. Za to kręcił się po pokładzie jakiś nieznany młody chłopak, z wyglądu Azjata, w stroju sprzedawcy pizzy. Nikt go nie znał, a wyspa jest mała. Czym przyplłynął i odpłynął nie wiadomo, ale jeśli przebył drogę w charakterze nurka, a takich jest tam pełno, to pod wodą mógł z jachtem albo z załogą zrobić wszystko. To tyle w tej materii.

– To co z tą organizacją NA? – zwróciła się do Lolitki Ellen.

– Też właściwie nic namacalnego – odparła Lolitka i nagle nie wiadomo dlaczego zarumieniła się. – John polecił mi powęszyć i przejrzeć jakieś materiały o międzynarodowych grupach neonazystowskich. Faktycznie jest ich trochę i większość służb ma na nie oko, ale takiej nie było. Przypuszczam, że ona dopiero była organizowana albo nazwa miała charakter wyłącznie symboliczny. Jej działanie polegało na gromadzeniu i dyskretnym nadzorowaniu radykalnej młodzieży z różnych środowisk, ale bez ich formalnego zrzeszenia, co zaraz by mogło doprowadzić do wzajemnej rywalizacji i w konsekwencji do rozpadu. Poszczególne frakcje, nie tylko nie wiedziały o sobie, ale ich przywódcy byli przekonani, że są jedynymi reprezentantami organizacji. Ciekawe, ale taka izolacja poszczególnych grup sprawiła, że ich spójność była znakomita. Niestety było to kosztowne, stąd coraz większe kłopoty finansowe. A trzeba wam wiedzieć, że i Herman, i Perugia zamierzali właśnie rozpocząć polityczną karierę.

– Herman siedzi? – zapytał z nadzieją kapitan.

– Nie ma podstaw – odparła Lotte. – Oficjalnie z niczym nie był związany. Ten barman Johan coś kręci i pewnie gdyby chciał, mógłby go obciążyć, ale nie chce. W każdym razie Herman politykiem na razie nie będzie, choć też nie jest to wykluczone. Radykałów jest na tyle dużo, że może się jakoś prześliznąć w wyborach, choć na razie niewiele legalnych partii zaryzykuje jego obecność na wyborczej liście.

– A co z tym handlem bronią i narkotykami?

– To wspólna oddolna inicjatywa Johana i Martina. Poszerzony asortyment usług knajpy „U Johana” – wyjaśniała Lotte.

– Tego Herman na pewno nie był świadomy. Za to mój brat i jego kochanek Helmut wiedzieli doskonale.

– Nie ma pani podstaw do tego ostatniego przypuszczenia – zaoponowała Lolitka.

– Mam, ale zostawmy to już w niepamięci. Obaj nie żyją.

– Czyli wszystko zostało wyjaśnione – ucieszyła się wdowa Wilshere. – Jest pan genialny panie prokuratorze.

– O ile zawziętego buldoga można nazwać genialnym – brutalnie zripostował Black. – Fakt, ma nosa, ale jeszcze lepiej wypracowany warsztat śledczy. Co do ostatecznego wyjaśnienia

sprawy, to sami wiemy, że wiele wątków pominięto. Ich wyjaśnienie nikomu życia nie przywróci, a dalsze niebezpieczeństwa zostały zażegnane.

– A ja nadal nie wiem nic o pewnej sprawie – upierała się Mary, co znowu zaniepokoiło kapitana. – Co się stało z pozostałymi kopiami relikwiarza i co zawierały tajemnicze tuby. A pytam dlatego, że ostatnio coś takiego widziałam.

– Raz pokazywałam je pani Mary – niezbyt zgodnie z prawdą wtrąciła Charlotte, na co Mary zrobiła dość duże oczy i zwróciła się do Carney’a – chyba nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– Absolutnie – skłamał detektyw, a kapitan z lodowatą strużką potu na plecach, zastanawiał się jak Carney z tego wybrnie.

Carney opuścił towarzystwo i po chwili wrócił niosąc piękną kopię relikwiarza i tubę z napisem „Monymusk”. Przez chwilę wszyscy z podziwem oglądali dzieło zdolnego plastyka z Edynburga i podziwiali rzetelność i precyzję wykonania tej kopii.

– W środku każdej szkatułki – wyjaśniał detektyw – znajdował się dokładny opis i plany nowego relikwiarza, który zamierzał sporządzić. Ponieważ nie byłyby to tania inwestycja, a nie chciał obciążać budżetu stowarzyszenia, zwrócił się powiedzmy do niektórych, najbardziej zaufanych członków. Ta grupa przyjęła roboczą nazwę Monymusk, na pamiątkę tegoż relikwiarza, znanego i ważnego w wojennych losach Szkotów. Jako symboliczny wyraz wdzięczności otrzymali oni te kopie, w nich jak mówiłem plany nowego relikwiarza i szczegółowy opis tej jego części, której kwotę mieli obdarowani pokryć. Na każdego przypadała jedna ścianka dzieła, a ścian tych jest właśnie dziewięć. Ja od plastyka otrzymałem kopię, niestety pustą, choć byłbym zaszczycony partycypowaniem w kosztach tak wzniesłego przedsięwzięcia.

– Nie ma w tym żadnych przeszkód – odparł gromko kapitan i wskazując duchownego dodał – ksiądz będzie potrzebował dużo pieniędzy na właściwą oprawę ołtarza i zabezpieczenia przeciwpożarowe i oczywiście antywłamaniowe. O tych ostatnich praktykach coś wiemy.

– Bardzo chętnie i ja się przyłączę – skłoniła głową Charlotte i z nieco szelmowskim uśmiechem zwróciła się do Carney’a – wyjaśnij teraz, co z tymi tubami.

– A w tubie – zdecydowanym głosem wyjaśniał Carney – była po prostu kopia pisanego po grecku listu Klemensa Aleksandryjskiego, o rzekomo istniejącej tajemnej ewangelii świętego Marka. Była to raczej symboliczna, żartobliwa sugestia dla przyjaciół, by nie spoczywali na laurach, dalej prowadzili poszukiwania i swoje dzieło. Nic co miałoby jakiś tajemniczy aspekt. Zresztą przeczytajcie sami: *Marek zatem podczas pobytu Piotra w Rzymie spisał czyny Pana; nie wszystkie jednak rozgłosił; nie dał poznać tajemnych, wybrawszy te, które uznał za najprzydatniejsze dla wzrostu wiary u katechumenów. Gdy Piotr poniósł śmierć męczeńską, udał się Marek do Aleksandrii, zabierając ze sobą zapiski własne i Piotra. Z nich przenosząc do swej pierwszej księgi rzeczy postępowi w wiedzy sprzyjające, ułożył Ewangelię bardziej duchową dla potrzeb doskonalących się. Aż do oznajmienia rzeczy nie wymawianych jednak się nie posunął ani nie zapisał nauki mistagogicznej Pana. Natomiast do spisanych przedtem czynów dołożył inne; dodał jeszcze pewne słowa, co do których wiedział, że wyjaśnienie wprowadzi słuchaczy w tajemnicę do sanktuarium prawdy zakrytej siedmioma zasłonami. Tak zatem [to] przygotował, nie będąc, jak mniemam, ani zawistnym, ani nieprzezornym. A umierając pozostawił swoje dzieło Kościołowi w Aleksandrii, gdzie teraz jeszcze jest strzeżone w sposób zupełnie niezawodny i odczytywane tylko tym, którzy są wtajemniczeni w wielkie tajemnice.*

– Ja również mam kopie tych opisów relikwiarza – potwierdził ksiądz Marco – choć o tym liście Klemensa nie wiedziałem i nie chcę wiedzieć. Naturalnie znam tą sprawę, bo nie od dzisiaj jest dyskutowana i na tej podstawie powstały niektóre gnostyckie herezje. Ei widocznie nie chciał mnie denerwować swoimi żartami. Niech sobie żartuje z wami.

– Zatem napijmy się za wielki sukces – zawołał ochotczo kapitan, już nie kryjąc swojej radości, patrząc z podziwem na detektywa.

Kiedy już spełnili toast, wdowa Wilshere pytała obecnych o najbliższe palny. Każdy snuł mniej lub bardziej możliwe do spełnienia marzenia, jedynie Carney i Charlotte milczeli, co w końcu zwróciło wszystkich uwagę, więc zamilkli i spojrzeli pytająco.

– A Charlotte i ja wkrótce udajemy się na mały urlop do Egiptu, w okolice Sidi Barrani – oświadczył Carney, być może zbyt wesołym tonem, jak na wzrok, jakim obdarzył go stary wilk morski.

Samolot łagodnie schodził do lądowania na lotnisku w Inverness. Charlotte ocknęła się z rozmarzenia i spojrzała ze zdziwieniem na Carney'a, który najwyraźniej coś do niej mówił od pewnego czasu.

– Mówiłeś coś?

– Mówiłem, że niewiele dla naszej sprawy wniosła ta podróż – oświadczył.

– Jestem innego zdania – pogodnie oświadczyła Charlotte.

– Mam na myśli Monymusk.

– To już dla nas historia. Musimy przejść do spraw codziennych. Mam pewne plany.

– Doprawdy? – jakby z nadzieją i jednocześnie z pewną obawą zauważył Angus.

– Nie wracam do Londynu! – Charlotte spojrzała prosto w twarz Carney'a. – W zasadzie liczyłam się z tym już wcześniej i przed wylotem coś takiego zasugerowałam dyrektorze szkoły.

– Mam nadzieję, że pozostaniesz ze mną.

– Dzwoniłam do Munlochy i poprosiłam o poczynienie pewnych zmian. To konieczne, jeśli dom ma być czymś więcej niż tylko zabytkową noclegownią.

– Od czasu kiedy się w nim zjawiła przestał nią być.

– Ale teraz stanie się prawdziwą rodzinną rezydencją panie Carney – oświadczyła panna Charlotte.

Uśmiechnęła się na wspomnienie ostatnich dni przed wylotem.

Na trzeci dzień przed odlotem do Afryki do willi w Munlochy przyniesiono paczkę dla panny Charlotte i pana Angusa. Poznali znany już sobie charakter pisma kapitana i z rozbawieniem, a częściowo też z niepokojem rozpakowali przesyłkę.

Carney spodziewał się tego daru, ale nawet on był oczarowany pięknem nowego relikwiarza, choć była to tylko kopia, sporządzona przez plastyka z Edynburga, tym razem również twórcę oryginału. W środku znajdował się list własnoręcznie napisany przez kapitana.

Szanowna Charlotte i Angusie.

Ponieważ kopia starego relikwiarza należy do panny Callan, a tuba do pana Carney'a, pozawalam sobie Wam obojgu przekazać kopię nowego relikwiarza.

Jest to moje ostatnie słowo w interesującej nas do niedawna sprawie.

Monymusk to dziewięcioosobowa grupa wybranych członków Stowarzyszenia Czciocieli Relikwii. Należą do niej przedstawiciele kilku krajów, nieważne na jakiej zasadzie dobieranych. Jej zadaniem jest stworzenie unitarnego porozumienia między różnymi wyznaniem, w celu zakończenia waśni i nienawiści na tle religijnym. Dla mnie utopia, dla Eidearda pragnienie i cel całego życia. Obecnie rolę Eidearda przejął ktoś inny, zresztą pewnie się domyślacie, że jest nim ojciec pewnej znanej nam, przemilej młodej damy i jej równie przemilego męża. Oczywiście ja jako człowiek małej wiary, nie tylko nie byłem kandydatem, ale nawet nie należę do zaszczytnej

dziewiątki. Materiałów już nie mam żadnych, znowu jestem tylko żeglarzem, a mateczka Betty troszczy się już tylko o moją wątrobę. Sekretarza wynająłem księdzu, który ma urwanie głowy z zainstalowaniem nowego relikwiarza. A propos mojego sekretarza, to choć wygląda na ogolonego goryla, to skończył filozofię i zna sześć języków. Przyda się księdzu na drodze przez mękę podczas kontaktów ze swoimi zwierzchnikami.

Ponieważ wkrótce wyruszam w rejs, pozwalam sobie przesłać ten drobiazg, jako zapowiedź prezentu ślubnego i życzyć Wam dużo szczęścia na nowej drodze życia.

Wasz przyjaciel – kapitan Blackwood

Charlotte zbaraniała, zaś Carney pomyślał, że jest to znakomity pretekst do wykonania tego, do czego zabierał się od kilku dni. Zanurzył rękę w kieszeni i wyjął prześliczny, choć skromny pierścionek umieszczony w aksamitnej poduszeczce. Uśmiechnął się do zakłopotanej nieco damy i oświadczył.

– Nie możemy zrobić zawodu kochanemu kapitanowi – uśmiechnął się Carney i dwornie uklęknął na jedno kolano.

– Panno Callan, to pierścionek zaręczynowy mojej matki. Czy mogę panią prosić o rękę? Samolot lekko dotknął płyty lotniska, co oderwało Charlotte od wspomnień.

Na lotnisku czekał na nich samochód ze starym zarządcą za kierownicą, który z wyrazem uwielbienia otworzył drzwi przed panią Charlotte Carney.

Detektyw westchnął ni to z radością, ni to z zakłopotaniem, zaś Charlotte skłoniła się z wrodzonym jej wdziękiem.